

A. E. VAN VOGT

KONIEC NIE- A

(Przekład Aleksandra Jagielowicz)

Wstęp

Co dzieje się z pamięcią czytelnika po dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu lub czterdziestu latach, gdy wspomina książkę czytaną tak dawno?

Mój a pierwsza powieść o semantyce ogólnej, *Świat nie-A* została opublikowana w *Astounding Stories* (obecnie *Analog*) w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym jako trzyczęściowy serial. W tamtych czasach wydawcy magazynów publikujących powieści w odcinkach mieli kiepską, ale raczej właściwą opinię o zdolności czytelnika do przypomnienia sobie, co działo się w poprzednich epizodach. Dlatego musiałem przedstawić streszczenie części pierwszej jako wstęp do części drugiej, a następnie streszczenia części pierwszej i drugiej jako wstęp do części trzeciej, drukowanej miesiąc później.

Poniżej pozbierałem najlepsze fragmenty tych magazynowych streszczeń pierwszych dwóch odcinków i dodałem je do części III.

W roku dwa tysiące pięćset sześćdziesiątym filozofia semantyczna nie-A zdominowała ludzką egzystencję. Corocznie młodzież masowo uczestniczyła w Igrzyskach Maszyny przez cały, pozbawiony nadzoru policji, miesiąc, rywalizując ze sobą o to, by stać się „godnym Wenus”. Zdobywcy *dalszych* miejsc otrzymywali dobre zatrudnienie na Ziemi, zaś prawdziwi zwycięzcy wysyłani byli na rajską planetę Wenus, by stać się obywatelami cywilizacji nie-A.

Gilbert Gosseyn doznał pierwszego szoku już w przeddzień rozpoczęcia Igrzysk. Został wykluczony z grupy samoobrony w hotelu, w którym mieszkał, gdyż wykrywacz kłamstw stwierdził, że nie jest Gilbertem Gosseynem. Służba bezpieczeństwa natychmiast usunęła go z hotelu.

W nocy Gosseyn ratuje życie młodej kobiecie, włączając się wraz z innymi po ulicach nie patrolowanych przez policję. Szybko nabiera przekonania, że nie jest ona, jak twierdzi, ubogą, ciężko pracującą dziewczyną, ponieważ ma przy sobie wysadzaną klejnotami papierośnicę o wartości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. *Zaczyna* zdawać sobie sprawę z tego, że został wplątany w jakąś niesamowitą intrygę, gdy odkrywa nagle, że dziewczyna jest Patricią Hardie, córką prezydenta Ziemi.

W pierwszym dniu Igrzysk Maszyna również twierdzi, że nasz bohater nie jest Gilbertem Gosseynem. Informuje go jednak, że będzie mu wolno brać udział w Igrzyskach pod tym nazwiskiem przez piętnaście dni, a przez ten czas musi się dowiedzieć, kim jest naprawdę.

W nocy Gosseyn zostaje porwany do pałacu prezydenta Hardiego. Przesłuchuje go sam prezydent, kaleka o silnej osobowości, którego nazywają „Iksem”, oraz gigant nazwiskiem Thorson, odznaczający się sardonycznym usposobieniem.

Dowiaduje się, że prezydent Ziemi uwikłany jest w spisek mający na celu zniszczenie nie-A i przejęcie kontroli nad Układem Słonecznym.

Trzech spiskowców ogarnia ogromne podniecenie, gdy zapoznają się ze zdjęciami mózgu Gosseyna. A kiedy, na pół oszalały pod wpływem tortur w celi o stalowych ścianach, próbuje uciekać, ścigają go kule karabinów maszynowych i miotaczy ognia. Tak umiera Gilbert Gosseyn Pierwszy.

Gosseyn odzyskuje przytomność w górskim szpitalu na Wenus. Doskonale pamięta, że został zabity i zdaje sobie sprawę, że w jakiś sposób jego osobowość została przeniesiona w inne ciało, wyglądające dokładnie tak samo, jak pierwsze.

Szybko odkrywa, że na Wenus znajduje się nielegalnie, a zatem automatycznie skazany jest na śmierć. Udaje mu się wziąć do niewoli Johna i Amelię Prescottów, lekarzy zajmujących się szpitalem, połowicznie udaje mu się też przekonać ich o istnieniu spisku przeciwko nie-A. Gosseyn ucieka przed detektywami, którzy zostali wcześniej wezwani, by go aresztować.

Wenus okazuje się fantastyczną krainą drzew wysokich na kilometr z pniami o średnicy kilkudziesięciu metrów, rodzącą nieprzebrane bogactwo owoców i warzyw, z klimatem niezmiennie i cudownie przyjaznym dla ludzi. To świat ze snów, rajski ogród Układu Słonecznego.

Szesnastego dnia agent-roboplan Maszyny Igrzysk ratuje Gosseyna. Informuje go jednocześnie, że nie uda mu się uciec, i radzi, by poddał się ścigającym go detektywom, sprzedając im starannie przygotowaną opowieść. Gosseyn dowiaduje się, że połowa detektywów na Wenus jest agentami gangu, a roboplan zabiera go do jednego z nielicznych pozostałych detektywów, którym można ufać.

W ostatniej minucie, gdy Gosseyn ma już opuścić roboplan, ten wyznaje mu, że w całej historii jest jeden, całkowicie mu nieznan, obcy czynnik. Jeśli w ogóle można odnaleźć jakiegokolwiek dowody, Gosseyn znajdzie je właśnie tu.

Gosseyn stwierdza, że drzewny dom jest zamieszkały, ale w tej chwili pusty. Na tyłach apartamentu natrafia na tajemniczy tunel, który prowadzi w głąb drzewa. Gosseyn, po dziwnym śnie o istotach z innych planet i statkach, które przybywają z przestrzeni międzygwiazdnej, postanawia zbadać tunel.

Okazuje się on jednak bardzo długi, kręty i wpleciony w korzenie olbrzymich drzew.

Gosseyn wraca do domu po zapasy na dłuższą wyprawę, zostaje schwytany i zabrany z powrotem na Ziemię.

Tam natyka się na ciało Gosseyna Pierwszego i wtedy dociera do niego, że znajduje się w drugiej kopii ciała. Otrzymuje propozycję przyłączenia się do gangu, ale odmawia. W chwilę później John Prescott, Wenusjanin, zabija prezydenta Hardiego i Iksa, a pozostałych ludzi, znajdujących się w pomieszczeniu, oszołamia narkotykiem.

Gosseyn i Prescott uciekają. Gosseyn szuka psychologa, który wyjaśniłby mu, co dzieje się w jego mózgu, i co sprawiło, że stał się nagle ośrodkiem intrygi, która zniweczyła plany gangu zmierzające do zaatakowania Wenus.

Psycholog, doktor Kair, bada jego drugi mózg i Gosseyn po raz pierwszy dowiaduje się o wielu trudnościach, jakie musi pokonać, by wyszkolić tę część umysłu. W trakcie badania odkrywają, że Prescott jest w istocie agentem wewnętrznej grupy gangu, a prezydenta Hardiego i Iksa zabił z dwóch powodów: po pierwsze, by przekonać Gosseyna o swojej *bona fides*, po drugie, aby pościg za mordercami skierować przeciwko Maszynie Igrzysk i Wenus.

Kair i Gosseyn uciekają samolotem, dowiadując się uprzednio o deformatorze w ścianie sypialni Patricii Hardie. Kair zamierza umieścić Gosseyna w swojej chatce na brzegu jeziora, ale później, gdy psycholog zasypia, Gosseyn dochodzi do wniosku, że nie ma czasu do stracenia.

Ostrożnie zawraca samolot i wyskakuje ze spadochronem antygravitacyjnym na balkon pałacu, w którym mieszka Patricia Hardie.

Zostaje schwytany przez Eldreda Cranga, detektywa z Wenus - i wypuszczony na wolność. Teraz, gdy Prescott dowiedział się wszystkiego o drugim mózgu, gang nie boi się już Gosseyna. Domyślają się, że mają zabić Gosseyna, ale odmawiają wykonania tego rozkazu.

Uwolniony Gosseyn nie wie, co ma ze sobą zrobić. Wybiera się zatem do Maszyny Igrzysk i dowiaduje się, że istotnie spełnił już swoje zadanie. Został wykorzystany najpierw do tego, by przestraszyć przywódców gangu, a następnie, by im pokazać, że tajna kryjówka na Wenus została odkryta. Wszystko to okazuje się skomplikowanym manewrem politycznym, a teraz on sam musi ustąpić miejsca Gosseynowi Trzeciemu, którego drugi mózg jest już wyszkolony.

Maszyna wyjaśnia mu również, że Wenus została zaatakowana i wszystkie miasta znajdują się pod okupacją, dlatego też nie może tracić czasu i musi się zabić. Gosseyn początkowo odmawia, ale później, kiedy już śmiało zaatakował pałac i przesłał deformator do Maszyny Igrzysk, stwierdza, że nie ma innego wyjścia.

Wynajmuje pokój w hotelu, ustawia fonograf na nie kończące się, hipotetyczne powtarzanie, że musi popełnić samobójstwo, a sam, półprzytomny, stwierdza nagle, że słyszy strzały. Udaje mu się zwlec z łóżka i włączyć radio. Maszyna tym razem zabrania mu zabić się, ponieważ ciało Gosseyna Trzeciego zostało przypadkiem zniszczone, a zatem musi uciec i samodzielnie wyszkolić swój dodatkowy mózg.

Gosseyn jak przez mgłę słyszy jeszcze, że Maszyna Igrzysk została zniszczona. Wraca do łóżka i powoli zapomina o tym, co mu powiedziała. Słyszy tylko zawodzenie: „Zabij się, zabij się!”. Tym razem życie ratuje mu Dan Lyttle, recepcjonista.

W trzecim odcinku *Świata* „drugi” mózg Gosseyna zostaje wyszkolony, ale on sam odkrywa, że kontroluje przepływ energii do dwudziestego miejsca po przecinku, pokonując tym samym zjawisko czasoprzestrzeni.

Konspiratorzy zostają zaatakowani w Instytucie Semantyki na Ziemi i ponoszą zasłużoną karę.

W ostatnim rozdziale Gosseyn, wciąż poszukując swojej tożsamości, znów znajduje ciało - kopię własnego. Sondując umysłem kilka jeszcze żywych komórek mózgu tamtego, uzyskuje pewne niejasne informacje, ale wie już, że przybył za późno.

Wygrał bitwę, lecz nadal nie wie, kim jest...

Lata czterdzieste były najbardziej pracowitym okresem w mojej karierze pisarza. Kiedy zatem okazało się, że *Świat* stał się wielkim hitem dla całej rzeszy czytelników *Astounding Stories* (wówczas nazywanych *Astounding Science Fiction*) napisałem jeszcze dłuższy dalszy ciąg, pod tytułem *Gracze nie-A*.

Graczy zamieszczono w październikowym, listopadowym i grudniowym numerze *Astounding* z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego oraz w styczniowym z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego. Od numeru listopadowego powieść ta zawierała również streszczenia poprzednich odcinków.

Gracze nie-A rozpoczynają się wprowadzeniem nowej, złowieszczej postaci, mrocznej, podobnej do cienia istoty, zwanej Wyznawcą. Poznajemy również nową, przedziwną historię istot ludzkich w galaktyce Mlecznej Drogi, opowiadającą, jak się tu dostaliśmy.

Dwa miliony lat temu, w innej, bardzo odległej galaktyce, rasa ludzka odkryła, że wszystkie zamieszkane przez nią planety obejmuje potężna, śmiertelna chmura gazu. Nie każdy mógł uciec, ale w przestrzeń wysłano dziesiątki tysięcy małych stateczków z uchodźcami pogrążonymi w stanie śmierci pozorowanej. Po trwającej ponad milion lat podróży, małe statki dotarły do Drogi Mlecznej i zaczęły lądować na przypadkowych, podatnych do

zamieszkania planetach, oddalonych od siebie o tysiące lat świetlnych.

Gilbert Gosseyn, bliski krewny jednego z ocalonych, odkrywa wreszcie (w *Świecie nie-A*) pewne informacje o swoim pochodzeniu i szczególnych zdolnościach. Na Ziemi, w roku dwa tysiące pięćset sześćdziesiątym, otrzymał szkolenie, a zatem ma prawo mieszkać na Wenus. Z początku nie wie, że dzięki swym niezwykłym zdolnościom stał się celem machinacji Wyznawcy, człowieka-cienia, który przybył na Ziemię z odległego układu gwiazdowego Najwyższego Imperium - potężnej, międzygwiazdowej cywilizacji.

Celem Wyznawcy jest zatrzymanie Gosseyna w Układzie Słonecznym. Oznacza to, że zamierza najpierw powstrzymać go przed udaniem się na Wenus, gdzie - głęboko pod ziemią - znajduje się ukryty system deformatora czasoprzestrzeni, służący do podróży międzygwiazdowych i przesyłania potężnych statków kosmicznych niemal w jednej chwili o tysiące lat świetlnych. Głównym powodem, dla którego Wyznawca chce zatrzymać Gosseyna na Ziemi, jest zapobieżenie jego wyjazdowi na Wenus, skąd, gdyby zdążył, mógłby towarzyszyć w podróż na Stołeczną Planetę siostrze Enra, władcy Najwyższego Imperium, oraz jej małżonkowi i detektywowi nie-A, Eldredowi Crangowi.

Akcja zostaje pomyślnie przeprowadzona przez agenta Wyznawcy, człowieka nazwiskiem Janasen. Wkrótce potem Gosseyn spotyka się z Janasem twarzą w twarz, ten przekazuje mu naładowany energią płaski przedmiot, który wygląda jak lśniąca wizytówka. Gdy Gosseyn z pełną świadomością ryzyka bierze kartę do ręki, zostaje natychmiast przetransportowany do więzienia na planecie Wizjonerów, rasy ludzi, którzy potrafią przewidywać przyszłość. Tam spotyka między innymi piękną Leej, w której obecności - i przy której pomocy - rozgrywa swą pierwszą konfrontację z Wyznawcą.

Dzięki swoim szczególnym zdolnościom, udaje mu się uciec z celi. Wyznawca obserwuje jego ucieczkę, usiłując nauczyć się jego metod.

W wyniku tych obserwacji cień dochodzi do wniosku, że Gosseyn jest niebezpieczny i proponuje mu współpracę, której celem jest pozornie przejęcie Najwyższego Imperium od Enra i jego siostry Reeshy (na Ziemi używała imienia Patricia).

Gosseynowi przypada w udziale niewdzięczne zadanie poinformowania Wyznawcy, że nie-A nie zamierza nikogo podbijać, chyba że rozumem. Wówczas Wyznawca próbuje go zabić. Pojedynek pomiędzy tymi dwiema istotami mówi wiele o ich niezwykłych możliwościach. Wydają się sobie równi, gdyż obaj uchodzą z życiem.

Gosseyn, przy pomocy Leej, udaje się na Stołeczną Planetę, gdzie Reesha i Crang próbują skłonić Enra do rokowań pokojowych.

Wyznawca, który w swej ludzkiej postaci okazuje się jednym z głównych doradców

Enra, namawia go, aby zniszczył nie-arystotelesowską Wenus.

Enro jest zaniepokojony możliwościami Gosseyna, a po pierwszej konfrontacji pozwala, aby Wyznawca namówił go do zniszczenia Układu Słonecznego.

Gosseyn jednak, z pomocą Leej, Reeshy i Cranga, jak również specjalnych obronnych systemów nie-A, jakie posiada Wenus, pokonuje ogromną flotę, która napadła na obie planety.

Ale okazuje się, że zarówno Leej, jak i okrutny Enro są również potomkami istot, które przybyły z odległej galaktyki, a ich specjalne zdolności mogą się przydać we wspólnej próbie odnalezienia rodzimej galaktyki, aby przekonać się, co tam się stało.

Powieść kończy się zniszczeniem Wyznawcy.

A teraz, kiedy Czytelnik wie już, co działo się w poprzednich częściach (*Świat nie-A* i *Gracze nie-A*), nadeszła pora na *Koniec nie-A*.

I

Gilbert Gosseyn otworzył oczy w kompletnej ciemności. Co się dzieje? - pomyślał, bo od razu poczuł, że nie jest tam, gdzie powinien być.

W ciągu tych kilku krótkich sekund w jego umyśle pojawiło się wiele wrażeń. Leżał na plecach, na czymś, co było wygodne jak łóżko. Był nagi, ale okryty lekką tkaniną. Na całym ciele, na ramionach, nogach, odczuwał punktowo jakby lekkie ssanie, spowodowane przez jakieś nieznanne urządzenie.

Właśnie to ogólne wrażenie oplatania czujnikami sprawiło, że nie spieszył się ze zmianą pozycji. Dlatego miał czas na oddanie się temu specjalnemu sposobowi rozumowania, dostępnemu jedynie komuś z jego wykształceniem.

- Zastanówmy się... O właśnie! To przecież dokładnie taka sama sytuacja, jak każdej żywej istoty w odniesieniu do rzeczywistości...

Istota ludzka to głowa i ciało otoczone... nikt naprawdę nie wie, czym. Nikt nigdy nie sprawdził do końca, czym...

Istnieje pięć głównych systemów postrzegania, które rejestrują otoczenie; a co najmniej trzy z nich dostarczyły mu już niewielkich wskazówek. Nawet one jednak opierały się na informacjach i pamięci, jaka zawierała się w jego mózgu. Wiedział różne rzeczy wyłącznie dzięki wcześniejszej indoktrynacji.

Zasadniczo ludzkie „ja” zawsze znajduje się w ciemności, otrzymując komunikaty za pomocą wzroku, słuchu i dotyku, które, jak anteny telewizyjne lub radiowe, są zaprogramowane na rejestrowanie określonych zakresów fal.

Była to stara koncepcja semantyki ogólnej, ale w zaskakujący sposób przystawała do jego obecnego położenia.

Zastanawiało go szczególnie, że nie przypominał sobie, aby wczoraj kładł się do łóżka w takim otoczeniu. Ponieważ jednak nie wyczuwał zagrożenia, brak tego wspomnienia wcale mu nie przeszkadzał. Ponieważ... cóż za fantastyczne porównanie... ja, jako istota - myślał Gosseyn - znajdują się rzeczywiście w całkowitej ciemności. Natychmiast pojawiły się pierwsze oznaki postrzegania, ale nie powiedziały mu nic, co wskazywałoby na najdrobniejsze, choćby bezpośrednie, powiązanie z wszechświatem... z rzeczywistością, jakkolwiek by się przedstawiała... tam...

Typowo ludzka, uwarunkowana otoczeniem świadomość. Ponieważ jednak nawiedzały go takie właśnie myśli, kolejny proces rozumowania podpowiedział mu, że jego

sytuacja nie odpowiada temu. co normalnie odczuwa budząca się żywa, inteligentna istota.

To podejrzenie, że coś jest nie w porządku powodowało nie tylko zwykłą ciekawość, lecz również intelektualną potrzebę poznania.

Pamiętając o licznych przyssawkach na swoim ciele, Gosseyn ostrożnie podniósł rękę. Najpierw zsunął w dół cienką tkaninę, odsłaniając górną część ciała. Tkanina była tym, czego się spodziewał - nie przymocowanym prześcieradłem - dlatego też w ciągu kilku sekund miał wolne ramiona i dłonie. Teraz mógł zacząć działać.

Ostrożnie pomacał łóżko i natychmiast stwierdził, że dotyka gumowych rurek. Rurki te przymocowane były do przyssawek na jego ciele. Poczul się wstrząśnięty, gdy jego wrażenie, że jest podłączony do przyrządów potwierdziło się. Znieruchomiał. Przecież... przecież to idiotyczne!

Ponieważ... wciąż nie przypominał sobie, jak mógł się znaleźć w takiej sytuacji.

Z pełną świadomością naprężył mięśnie. Ramionami i rękami mocno oparł się o miękką powierzchnię i zaczął się podnosić do pozycji siedzącej. Zaraz jednak, trzydzieści centymetrów wyżej, uderzył głową o coś miękkiego.

Opadł z powrotem, mocno zaskoczony. Teraz zaczął palcami badać powierzchnię nad sobą. „Sufit” tej wąskiej, długiej leżanki wykonano z gładkiego materiału, podobnego do tkaniny, którą był przykryty. Ściany po obu bokach, u wezłowia i u stóp również wyścielono czymś miękkim i także znajdowały się w odległości jakichś trzydziestu centymetrów od niego.

Sytuacja przestała być wyłącznie idiotyczna, czy zastanawiająca. Okazała się po prostu niepodobna do niczego, co znał.

Uzmysłowił sobie nagle, że aż do tej chwili był święcie przekonany, że jest Gilbertem Gosseynem, który budzi się po przespanej nocy. Opadł z powrotem na posłanie i świadomie wykonał wzgórzowo-korową pauzę według zasad semantyki ogólnej.

Teoria głosiła, że rozumująca, czyli korowa część mózgu, łatwiej opanuje nawet najtrudniejszą sytuację niż część wzgórzowa, odpowiedzialna za emocje, gdyż ona potrafi jedynie reagować.

No dobrze, pomyślał, i co dalej?

I nagle przysłała mu do głowy jeszcze jedna, odkrywcza myśl: Oczywiście! budząc się, wiedziałem, kim jestem.

Świadomość, że jest Gilbertem Gosseynem przyjął za tak absolutny pewnik, iż znikła ona z jego umysłu, a przecież nie była to błaha informacja.

Budzisz się i wiesz, kim jesteś. To zdarza się co ranka wszystkim ludzkim istotom.

Tym razem jednak przytrafiło się to komuś, kto nie jest normalną ludzką istotą. Osoba, która się właśnie obudziła, była istotą ludzką o podwójnym mózgu.

Obudził się świadomy tego. Pamiętał też, co przedtem robił: ogromne odległości, jakie przemierzył dzięki szczególnym zdolnościom drugiego mózgu. Niezwykłe wydarzenia, w których uczestniczył, w tym zniszczenie Wyznawcy i, co ważniejsze, ocalenie nie-arystotelesowskiej Wenus przed międzygwiazdą armią Enra Czerwonego, poznanie ludzi takich jak Eldred i Patricia Crangowie, Leej-Wizjonerka i...

Pauza! Odsunąć te wspomnienia. A raczej przyznać, że między tamtymi wielkimi wydarzeniami a tą kompletną ciemnością nie ma najmniejszego związku.

Jak ja się tu dostałem?

Nie była to myśl pełna niepokoju, jedynie bardzo konkretne pytanie... Na razie nie ma powodu do niepokoju czy strachu. W końcu w każdej chwili może wyobrazić sobie jedno z zapamiętanych miejsc: powierzchnia planety, podłoga pokoju, miejsce na statku kosmicznym, i wynieść się z tego ciasnego łóżka, z tej zamkniętej przestrzeni. Jednak jeżeli się stąd wyniesie, nigdy się nie dowie, co tu robi i jak się tu znalazł. Tak więc przede wszystkim musi przyjrzeć się dokładnie temu absurdalnemu otoczeniu.

Z tą myślą raz jeszcze podniósł ręce. Tym razem, kiedy poczuł, że dotyka miękkiego sufitu, napiął mięśnie i pchnął z całej siły.

Kolejne odkrycie. Miękka wykładzina miała około pięciu centymetrów grubości. Pod nią jednak znajdowało się coś twardego jak metal.

Przez chwilę naciskał na to z całej siły. Nie ustąpiło. Zaczął pchać ściany boczne, a potem od strony wezglowia i stóp, również bez rezultatu. Nabrał pewności. Położył się z powrotem, wciąż bez cienia zdenerwowania.

Co jeszcze można robić w takim miejscu? Szkoda by było wynosić się stąd i nigdy się nie dowiedzieć, gdzie był, choć dostępna informacja wydawała się bardziej niż ograniczona. Właściwie mógł zbadać tylko jeszcze jedno: te wszystkie gumowe rurki przymocowane do mojego ciała... co one mi podają?

I jeszcze jedna sprawa: co się stanie, kiedy drugi mózg przeniesie go nagle w inne miejsce?

Rzeczywiście, co się wtedy stanie z tymi wszystkimi rurkami i tym, co wprowadzają do jego ciała? Albo... trochę spóźniona myśl... co z tego ciała usuwają? Co się z tym wszystkim stanie?

Gosseyn rozważał kolejne implikacje. W końcu doszedł do wniosku, że to nie takie istotne. Przecież tam, na zewnątrz, nie potrzebował żadnej aparatury. Zapamiętane obszary,

do których przenosił się metodą upodobnienia do dwudziestu miejsc po przecinku, były wprawdzie odległe od siebie, ale wszystkie znajdowały się w miejscach stosunkowo bezpiecznych dla niego, jako dla formy życia oddychającej tlenem.

Leżąc tak, doszedł do wniosku, że już sama analiza, jakiej dokonał, stanowi w zasadzie odpowiednik decyzji o opuszczeniu swojego więzienia. W zasadzie... ale nie do końca!

... Ponieważ przytrafiło mu się coś, dzięki czemu znalazł się tu. To coś musiało chyba mieć magiczną moc, aby pojmać Gil-berta Gosseyna, człowieka o dwóch mózgach...

Tak, pojmać go! A - co gorsza! - więzień nie wie nawet, gdzie i jak to się stało... Muszę poczekać i odkryć, kto lub co ma tak magiczną moc. No, bo jeśli nawet nieraz mu się udało, nie będzie ryzykował przy następnej okazji.

Przez chwilę, kiedy się odpręzał i pozwolił, aby jego ciało leżało bezwładnie, wydawało mu się, że musi czekać. A potem przyszło mu do głowy zupełnie coś innego.

Przecież musi być jakiś mechanizm, który otwiera to, co go więzi. Był w pojemniku, który pod wieloma względami przypominał trumnę, ale nie do końca. Nikt nie robi trumien z metalu i tak twardych, jak to wyczuł przez poduszki. Oczywiście, człowiek zakopany w ziemi nie będzie w stanie otworzyć własnej trumny - ziemia daje wystarczający opór. Nie byłby to jednak opór stali.

Pokrywy trumien mają w pewnym sensie „luz”. W tak luksusowej trumnie jak ta, wieko na pewno uchyliłoby się odrobinę, na tyle, na ile pozwoliłby na to grobowiec.

Myśl ta cieszyła się jednak krótkim żywotem. Przecież gdyby to rzeczywiście była trumna, nie stanowiłaby ona dla niego żadnego problemu. Półtora metra ubitej ziemi nad głową nie stanowi przeszkody transmisji z dokładnością do dwudziestu miejsc po przecinku.

Z niesmakiem pokręcił głową. Naprawdę, zaczyna tracić czas na bezsensowne rozważania. Człowiek leżący w trumnie nie ma małych gumowych rurek powtykanych w kilkudziesięciu punktach na całym ciełe.

Już miał się położyć z powrotem, kiedy w jego głowie pojawiła się myśl bez żadnego związku z poprzednimi: „Tu Gilbert Gosseyn... Chyba straciłem przytomność. Co się dzieje?”.

Odpowiedziało mu kilka głosów. Najdziwniejsze było to, że choć wydawały się pochodzić od różnych osób, docierały do niego jako jego własne myśli. Słyszał na przykład:

„Leej chyba też to zaszkodziło”, a miał wrażenie, jakby przemówił Eldred Crang.

Albo:

„Wydaje mi się, że stało się coś bardzo ważnego, ale nie wiem, co” i brzmiało to tak,

jakby słowa pochodziły od Johna Prescottta. A Crang powiedział: „Patricio, kochanie, zawołaj lekarza. Na szczęście przewidzieliśmy, że będzie potrzebny”.

- Tak - odezwał się ten pierwszy głos - Wezwij lekarza, ale teraz, zanim umknie pierwsze wrażenie, chcę powiedzieć, że wydaje mi się, jakby było dwóch Gilbertów Gosseynów... - Chwila pauzy. - No i co wy na to?

Kolejna myśl, chyba od Eldreda Cranga:

- O, Leej odzyskuje przytomność. Leej, Leej, co się dzieje? Widzisz coś?

Jakiś odległy głos odpowiedział:

- Coś się zdarzyło. Coś absolutnie niepojętego. Nie ponieśliśmy całkowitej klęski... jestem tego w jakiś sposób pewna. Ale... ale to nie sprawa przewidywania... To się już stało, cokolwiek to jest. A ja... hm... nie widzę kompletnie nic.

- Połóż się, skarbie. - Głos Patricii także zdawał się w jakiś sposób dobiegać do niego przez inny mózg. - Niech lekarz cię zbada.

W umyśle Gilberta Gosseyna, leżącego teraz w całkowitej ciemności czegoś, co mogło być grobem, ale raczej nie było, pojawiło się dziwne wrażenie, że nie jest przy zdrowych zmysłach.

Teraz pamiętam... - myślał niepewnie. Mieliśmy wykonać skok z jednej galaktyki do drugiej, ale...

Zanim zdał sobie w pełni sprawę z niejasności tego „ale”, jakiś męski głos przemówił mu tuż nad uchem:

- Na tym wykresie fal mózgowych jest tylko jedno zniekształcenie, które nie ulega zmianie. Nic się z nim jednak nie łączy, więc chyba w żaden sposób nie może użyć go przeciwko nam. Ale co teraz zrobimy?

Pytanie to mogło w równym stopniu dotyczyć i Gosseyna,

1 mówiącego. Przyszedł chyba czas na kolejną pauzę korowo-wzgórzową.

Zauważył, że tym razem czuje się nieco pokrzepiony, choć głosy umilkły, a ciemność pozostała równie czarna jak przedtem. Wciąż też leżał, a na nagim ciele czuł wyraźnie dotyk rozmaitych rurek i ssawek. Wszystko pozostało dokładnie takie samo.

Jednak w miarę, jak powtarzał w myśli usłyszane słowa, zaczynał wnioskować, że ktoś go uważnie obserwuje. Ktoś, kto mówi po angielsku, w jednym z języków używanych na Ziemi.

Na podstawie tego, co usłyszał, stworzył sobie uproszczone wyobrażenie otoczenia:

Zgaduję, że jestem wewnątrz metalowej skrzyni, o kształcie podobnym do trumny. Skrzynia spoczywa na solidnym stole laboratoryjnym. Obserwują mnie urządzenia

elektryczne, może promienie rentgenowskie lub pewnego rodzaju miotacze cząsteczek. Ktokolwiek jednak mnie obserwuje, nie wie, że jestem Gilbertem Gosseynem, ponieważ dokonując swojej krótkiej analizy, mówił o mnie bezosobowo. Wykazał wprawdzie wyjątkową zdolność logicznego rozumowania... i z pewnością wykrył mój dodatkowy mózg, jednak nie zna mojej tożsamości. Stąd wynika, że to ktoś obcy, nie powiązany z Gilbertem Gosseynem ani z tym, co przeżył w ostatnich czasach.

Prawdopodobnie za chwilę padną kolejne uwagi, więc warto zaczekać jeszcze przez moment, w nadziei, że usłyszy coś interesującego, bo naprawdę musi się dowiedzieć, o co chodzi i co się właściwie dzieje.

Nie czekał długo. Inny głos, niższy, barytonowy, oznajmił:

- Powiedzcie mi dokładnie, w jakich okolicznościach wzięliście tę osobę na pokład.

- Sir - brzmiała uprzejma odpowiedź - wykryliśmy kapsułę unoszącą się w przestrzeni.

Ustaliliśmy, że wewnątrz znajduje się istota ludzka płci męskiej, która wydaje się albo uśpiona, albo nieprzytomna. Teraz jednak, kiedy już mamy go na pokładzie, z bliższych obserwacji wynika, że znajdował się w stanie zawieszenia życia, przy czym mózg pozostawał wrażliwy na różnego rodzaju sygnały. Czym są te sygnały, nie jest nam do końca wiadome. Wydaje się jednak, że odbiera wszystkie myśli swojego *alter ego*, który prowadzi aktywne życie wiele lat świetlnych stąd.

Kolejna pauza. Po chwili drugi głos odparł:

- Może trzeba go postawić w sytuacji stresowej. Niech pozostanie w izolacji... i niech będzie tego świadomy.

- Czego?

- Skonsultujemy się z działem biologicznym. Nowy głos, cichy, ale pełen determinacji, wyraźnie rozkazujący i to z wyższej pozycji, wtrącił:

- Przyglądałem się temu eksperymentowi. Decyzji nie można podejmować na podstawie tak ostrożnej analizy. Mamy poważny kłopot. Nie wiemy, gdzie jesteśmy ani, jak się tu znaleźliśmy. Wyciągnijcie go z kapsuły. Może tam mieć jakieś urządzenia ratunkowe. Trzeba go od nich odciąć.

Mimo, że wnioski wyciągnięte przez jego dozorców były fałszywe, Gosseyn ucieszył się, gdyż najbardziej zależało mu na tym, by wyjść z tego ciasnego więzienia. Wtedy być może uda mu się zobaczyć, jak wyglądają jego prześladowcy; może nawet dowie się, kim są.

Gdzieś w zakamarkach jego umysłu powstawały nowe wątpliwości. Próbował przeanalizować słowa, które dopiero teraz dały mu wyobrażenie o tym, gdzie został znaleziony - w kapsule dryfującej w przestrzeni. Ten fakt nasuwał niemal tyle samo pytań, na

ile udzielał odpowiedzi... ale odsunął te myśli, bo nagle doznał wrażenia ruchu. Gosseyn ostrożnie wyciągnął rękę, aby sprawdzić, czy się nie myli. W chwili, gdy dotknął miękkiego sklepienia, nie miał już wątpliwości, „sufit” bardzo powoli przesunął się w kierunku jego stóp.

Podwójna świadomość przywiodła mu na myśl obraz zbiornika, w którym znajduje się przesuwane łóżko. Interesujące i logiczne, że ludzie, którzy mogą „widzieć”, co się dzieje w ludzkim mózgu, byli w stanie za pomocą swoich przyrządów odkryć, jak działa mechanizm zamykający kapsułę, a teraz nawet ją otworzyć.

Spodziewał się że w każdej chwili część kapsuły po stronie głowy odchyli się w tył, lub odskoczy, a światło w pomieszczeniu go oślepi. Na wszelki wypadek przygotował się zatem na uderzenie jasności.

Tymczasem ruch pod nim ustał. Poczul na policzkach dotyk czegoś świeżego. Był to inny poziom postrzegania, a może kilka poziomów. Czul wokół siebie coraz więcej powietrza i lekki spadek temperatury. Zrozumiał, że głowa i ciało zostały odsłonięte i teraz znajduje się w pomieszczeniu równie ciemnym, jak poprzednie więzienie.

Naprawdę pomyśleli o wszystkim!

Znacznie ciekawsze było to, że właściwie, gdyby nie gumowe urządzenia przytwierdzone do jego ciała, mógłby teraz wstać.

Jednak gdy przypomniał sobie wszystko, co usłyszał, postanowił leżeć nieruchomo. Wydało mu się nagle że to, co pamięta na temat pochodzenia Gilbertów Gosseynów, pasuje do obrazu ciała mężczyzny w kapsule, unoszącego się w przestrzeni. Oznaczało to, że znajduje się na statku kosmicznym i że został zabrany na pokład.

Jednak najbardziej fantastyczny był wniosek, że jest kolejnym ciałem Gilberta Gosseyna, jakimś cudem przebudzonym przed śmiercią poprzedniego ciała.

Pamiętał dobrze, że Gosseyn Pierwszy przyjechał do miasta Maszyny Igrzysk na Ziemi z fałszywymi wspomnieniami dotyczącymi swojego pochodzenia. Potem, kiedy - również na Ziemi - został zabity przez agenta międzygwiazdnych sił inwazyjnych, nagle ocknął się na Wenus, uważając się wciąż za tego samego Gosseyna. Ten drugi Gosseyn zdołał odeprzeć najeźdźców, a następnie wyruszył na Gorgzid, ich rodzimą planetę.

Gosseyn Drugi wciąż tam jest, wiele lat świetlnych stąd, i to on jest w istocie tym *alter ego*, o którym mówił trzeci głos. Dokładnie w tej samej chwili -jeśli może być mowa o czymś takim przy odległościach liczących się w latach świetlnych -Numer Dwa odzyskuje siły po daremnej próbie „skoku” do innej galaktyki, z której, jak uważał, rasa ludzka przybyła w zamierzchłej przeszłości.

Gosseyn Trzeci leżał w kompletnej ciemności na pokładzie czegoś, co, jak sądził, było statkiem kosmicznym. Po chwili przestał wspominać minione dzieje poprzednich ciał Gilberta Gosseyna i, zwracając się w myśli do swojego *alter ego*, zapytał:

- Mam rację, Gosseyn Dwa?

Odpowiedź na zadane pytanie... bo przecież musiała to być odpowiedź, a nie jego własna myśl... przyszła natychmiast.

- Numeracja jest sprawą dyskusyjną. O ile wiem, kolejna grupa ciał Gosseyna ma osiemnaście lat. Wydaje mi się, że ty należysz do mojej generacji, co czyni cię Numerem Trzecim z tych, którzy zdołali wyjść ze stanu zawieszzonego życia i odzyskali pełną świadomość.

- W porządku. Jestem Trzeci, a ty Drugi. Dobrze, Drugi. Mam teraz pytanie: jak sądzisz, czy dam sobie radę w tej sytuacji, mimo że dopiero przed chwilą zostałem zbudzony?

- Jesteś wyposażony równie dobrze jak ja - brzmiała odpowiedź z oddali. -1, oczywiście, będę monitorował wszystko, co się dzieje.

- Mam wrażenie, że jesteś bardzo daleko i chyba niewiele możesz mi pomóc.

- Kiedy tylko zdołasz, „sfotografuj” jakieś miejsce na podłodze i w nagłym przypadku... kto wie?

- Uważasz, że to mądre, żebyśmy obaj znaleźli się w miejscu, gdzie mogą nas zabić?

- Nie, to nie byłoby mądre.

- A jak sądzisz, dlaczego trzymają mnie w takich warunkach, żebym nie mógł nic wiedzieć? Odpowiedź przyszła od razu:

- Są dwie możliwości: po pierwsze, mogą być po prostu ostrożni. Po drugie, mają autokratyczny system władzy. W takiej sytuacji wszystkie niższe rangą osoby muszą się bronić przed nieuchronną krytyką, zabezpieczając się na wszystkie strony. Ten trzeci głos brzmiał zdecydowanie, ale może i on chciałby później powiedzieć, że działał ostrożnie i z rozmysłem. Zgodnie z tym rozumowaniem, wkrótce usłyszysz czwarty głos, o jeszcze większej władzy, który jednak także podejmie swoje środki ostrożności.

-Ico zrobimy?

- Zamierzamy zorganizować drugi skok, skoro pierwszy się chyba nie udał. Mam jednak mieszane uczucia po tym, co stało się z tobą. Będę grał na zwłokę, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

Gosseyn Trzeci otoczony ciemnością, przez chwilę się zastanawiał.

- Jasne - mruknął wreszcie. - Najprostszym rozwiązaniem byłoby dołączyć do ciebie i pomóc...

Urwał, gdyż usłyszał gwałtowny sprzeciw.

- Okay - odparł. - Rozumiem, o co chodzi. Ktoś musi tu zostać. Przecież nie wiemy, ilu Gosseynów w naszym wieku pozostało jeszcze uśpionych i nie możemy być na sto procent pewni, że grupa osiemnastolatków naprawdę istnieje. Poza tym lepiej zrobię, jeśli skupię się na obecnej sytuacji. Wygląda to dość poważnie.

- Faktycznie - nadeszła myśl od dalekiego, bardzo dalekiego Gosseyna Drugiego. - Powodzenia.

II

A zatem jest teraz... a przynajmniej tak mu się wydaje... w pomieszczeniu, a nie w kapsule.

Emocjonalnie czuł się bezpieczniejszy. Wyjaśniła się sprawa gumowych rurek: dawno temu, w rozmaitych kryjówkach umieszczono pewną liczbę ciał Gosseyna. I każdy budził się dopiero po śmierci poprzedniego Gosseyna.

Z wyjątkiem jego samego - Gosseyna Trzeciego - który obudził się pomimo to, że Gosseyn Drugi jeszcze żył. Wyjaśnia to, dlaczego gumowe rurki pozostają przymocowane. Prawdopodobnie stanowią skomplikowany system dostarczania pożywienia i usuwania wydzielin i powinny utrzymywać każde z ciał przy życiu, dopóki pozostaje ono w stanie zawieszenia.

Oczywiście, teraz to już nieważne. Nie znajduje się już w kapsule, lecz - o ile mógł to stwierdzić - w dużym pomieszczeniu.

... leżę na tym ruchomym łóżku, z ciałem wciąż oplatanym gumowymi połączeniami. Ale same połączenia musiały odłączyć się od tych wszystkich zbiorników i maszyn, do których były przymocowane wewnątrz kapsuły. Odłączyły się automatycznie, kiedy zostałem wyciągnięty.

A przecież przez cały czas oddycham bez żadnych rurek. I przedtem, w kapsule, oddychałem tak samo.

... a zatem dlaczego by nie odłączyć tego złomu i sprawdzić, czy mogę wstać?

Między innymi bolesnymi prawdami pojawiła się jeszcze jedna wątpliwość: czy ciało, które nie poruszało się i nie ćwiczyło przez całe życie, jest w stanie poruszać się o własnych siłach? Jednak, jak dobrze pomyśleć... poruszał przecież ramionami. Odpychał sufit. Obmacywał rozmaite zakątki swego przytulnego domku.

Na pewno jednak lepiej mu będzie działać bez tych wszystkich połączeń. Nie ma sensu tak leżeć i leżeć. Najwyższy czas, by otworzyć jakieś drzwi i sprawdzić, jak zareagują porywacze.

Wreszcie miał cel, mógł coś robić. Zdecydowanie przesunął obie dłonie w dół, w jedno miejsce - na brzuch. Tam znajdowała się najgrubsza rurka.

Jedną ręką chwycił skórę w miejscu, gdzie rurka była przymocowana, drugą objął samą rurkę. Już, już miał zdecydowanie pociągnąć - gdy nagle zapłonęło światło.

Dwie pary rąk chwyciły go jednocześnie i powstrzymały.

- Chyba lepiej będzie, jeśli to my odłączymy aparaturę podtrzymującą życie.

Był to głos, który Gosseyn nazwał Głosem Dwa. Jednak nie zaprzętał sobie tym głowy, gdyż jego umysł zajęty był potopem światła. Przez chwilę było go zdecydowanie za dużo dla jego ośrodków wzroku.

Mimo to udało mu się pochwycić kilka przelotnych wrażeń. Cały pokój zdawał się migotać. Obaj mężczyźni byli średniego wzrostu, ubrani na biało - albo tak mu się wydawało w pierwszej chwili kompletnego oślepienia. Ściany zdawały się ciemniejsze, ale i tak w jakiś sposób lśniły, a przy tym wydawały się dość odległe.

W tym całym zamieszaniu dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że wypuścił z raje gumowe przyłączenie dożołądkowe.

Trzymający go ludzie musieli widocznie uznać to za swoje zwycięstwo. Puścili go i odstąpili w tył. Czuł ich obecność i wzrok.

Gosseyn również znieruchomiał, i tylko mrużył oczy przed zalewem światła. Teraz dopiero dotarło do niego, że źródło tej jasności znajdowało się tuż nad jego głową, co zapewne spowodowało jego kłopoty z widzeniem. Ponieważ nie było sensu udawać, odwrócił głowę i spojrzał na obu mężczyzn.

- Nie jestem niebezpieczny, panowie - rzekł. - Powiedzcie mi zatem, co się tu dzieje?

Była to jego pierwsza próba uzyskania informacji. Tylko tyle mógł zrobić w tej chwili i w położeniu, w jakim się znajdował.

Odpowiedzi nie było. Nie oznaczało to jednak całkowitego braku informacji. Wystarczyło tylko ich obserwować, aby uzyskać pewne dane i możliwość dalszej analizy położenia.

Leżał więc na wznak, z odwróconą głową i obserwował duże, jasne pomieszczenie pełne maszyn. Ściana naprzeciwko niego pokryta była rzędami wbudowanych przyrządów. To właśnie one tak lśniły.

Ciekawy był również fakt, że obaj mężczyźni byli białej rasy, jak on. Pomimo to ich twarze nie całkiem przypominały oblicza ludzi z zachodniej Europy i Ameryki na Ziemi. Ubrani zaś byli wprost absurdalnie: w obcisłe, metaliczne koszule podchodzące pod szyję, bombiaste białe spodnie do kolan, a poniżej nieco przy-krótkie, ale mocno naciągnięte na nogi białe pończochy. Oprócz tego każdy z nich nosił na złotożółtych włosach wyjątkowo pękate nakrycie głowy. Wrażenie to spowodowane było skomplikowanym przyrządem, zainstalowanym na szczycie tego dziwnego kapelusza. A może nie na szczycie - może wewnątrz, bo metal i tkanina zdawały się wzajemnie przenikać.

Ich ręce wydawały się normalnej długości i grubości, ale okryte były rękawami z

takiego samego materiału, jak pończochy. Biały materiał kończył się na nadgarstku. Dłonie i palce były odkryte i gotowe do manipulowania wszystkim, co trzeba.

W trakcie tej szybkiej obserwacji obu istot, które z braku lepszych określeń, nazwał Głosem Jeden i Głosem Dwa, Gosseyn przypomniał sobie nagle, że Głos Trzy wspomniał, iż nie wiedzą, gdzie są i jak się tu dostali. zaproponował więc:

- Może będę w stanie pomóc wam dowiedzieć się tego, co chcecie wiedzieć.

Milczenie. Nawet nie próbowali odpowiedzieć. Stali po prostu, gapiąc się na niego. Gosseyn przypomniał sobie nagle słowa swojego *alter ego* - oni żyli w ustroju demokratycznym. To wyjaśniało ich milczenie: ci biedni lokaje stali i czekali na rozkazy wyższej szarży. Może Głosu Trzy, a może jeszcze wyżej.

Okazało się, że jego analiza jest poprawna, gdyż z jakiegoś punktu na suficie odezwał się nagle inny, całkiem nowy głos:

- Więzień jest jedynym elementem łączącym nas z tym, co się stało. Wyciągnijcie z niego wszystko, co wie. Nie musicie być delikatni i pośpieszcie się.

Gosseyn musiał go nazwać Głosem Cztery. W tym samym momencie Głos Dwa poruszył się i rzekł grzecznie:

- Panie, czy mamy odłączyć więźnia od systemu podtrzymywania życia?

Odpowiedź była absolutnie, niewiarygodnie wręcz bezsensowna:

- Oczywiście. Tylko się nie pomylcie.

Słowa te przez moment rozproszyły uwagę Gosseyna. Ich znaczenie potwierdzało bowiem w całej - dosłownie w całej - rozciągłości to, co *alter ego* powiedział o panującym tu systemie politycznym.

Gosseyn zdołał zauważyć dziwne zjawisko: gdy Głos Dwa mówił, jego usta poruszały się, bez wątpienia wypowiedział też jakieś słowa, ale angielskie zdanie nie zostało wymówione ustami - pochodziło z przyrządu na szczycie głowy mężczyzny. Gosseyn mógłby prawdopodobnie pokusić się o analizę aparatu, który pobrał język z jego mózgu - albo pobierał go z minuty na minutę, ale miał tylko tyle czasu, aby odnotować i zapamiętać, że taki system istnieje. Powiedział sobie, że najprawdopodobniej stosowano tu jakieś komputery, by móc porozumiewać się w tym wszechświecie milionów języków. Nie miał jednak czasu, aby zastanawiać się, jak taka maszyna działa, ponieważ w tej samej chwili, gdy dotarła do niego całkiem oczywista sprawa istnienia mechanicznej metody przemawiania w innym języku... zauważył, że Głos Jeden ruszył w jego stronę.

Kwadratowa twarz mężczyzny rozjaśniła się w lekkim uśmiechem. Połączone pamięci i doświadczenia Gosseyna Jeden i Dwa na Ziemi określiłyby ten uśmiech jako złośliwy.

Mężczyzna przystanął i spojrzał na Gosseyna. Z bliska jego oczy były ciemnoszare. A uśmiech dodawał im wyrazu, który na Ziemi byłby odczytany jako cwany i porozumiewawczy.

Jego zachowanie nie wydawało się wcale groźne. Człowiek leżący na plecach nie jest w stanie wystarczająco szybko podjąć jakąkolwiek próbę ataku. Nie ma zatem innego wyjścia, jak tylko czekać, by przeciwnik zrobił pierwszy ruch. Jednak, jak na razie, Głos Jeden zadowolił się wypowiedzeniem paru zdań, które zresztą nie dostarczyły Gosseynowi żadnych dodatkowych informacji.

- Pewnie słyszałeś, że dostaliśmy instrukcje, aby to wszystko zdjąć - jedna ręka podniosła się, celując palcem w gumowe rurki. Głos Jeden dokończył: - Słyszałeś też, że mamy to zrobić szybko.

Gosseyn nie uznał za stosowne odpowiedzieć, ale nagle poczuł się zaniepokojony. Mężczyzna miał w głosie coś dziwnego. Może czegoś nie dostrzegam? - pomyślał. Albo - poprawił się natychmiast - już coś przegapiłem?

Głos Jeden ciągnął z tym samym lekkim, porozumiewawczym uśmiechem.

- Pragnę cię zapewnić, że nie poniesiesz żadnej szkody z powodu szybkości, z jaką zostaną zdjęte te urządzenia, ponieważ -kończył tryumfalnym tonem - zostały one automatycznie odłączone, gdy wyjęliśmy cię z kapsuły.

Oświadczenie to było zbędne i -jak się zdawało Gosseynowi - nie całkiem prawdziwe. Niektóre rurki wciąż były podłączone do organów wewnętrznych, naczyń krwionośnych, nerwów i nie wiadomo, co by się stało, gdyby ktoś je nagle wyrwał.

Mimo to leżał spokojnie, podczas gdy ręce Głosu Jeden dotykały jego skóry, ciągnąc, szarpiąc i wykręcając rurki. Wyciągał je jedna po drugiej. To wcale nie bolało, co uspokoiło Gosseyna i dało mu trochę czasu, aby przemyśleć swoją sytuację. Doszedł do wniosku, że musi zaplanować dwie akcje.

Teraz Głos Jeden, wciąż uśmiechając się sprytnie, odstał w tył. Gosseyn usiadł. Przekręcił się na bok, przerzucił stopy przez krawędź leżanki i oto siedział, wciąż nagi, obserwując swych prześladowców. Ze względu na to, co zamierzał zrobić, wolał na razie nie tracić czasu na dalsze rozmowy. Dlatego, zaledwie wstał i wyprostował się, natychmiast zaczął się rozglądać.

Szukał wzrokiem kapsuły, z której zostało wyrzucone jego „łóżko”. Niestety, własne, wewnętrzne „ja” nie było pewne, czego oczekiwać, dlatego nawet wówczas, gdy spostrzegł ogromny przedmiot, nie od razu to do niego dotarło.

Pierwsze wrażenie było takie, jakby spoglądał na niezwykle ścianę z dziwnymi

drzwiami, wiodącymi do ciemnego pomieszczenia. Minęło kilka sekund, zanim jego umysł przyjął do wiadomości, że mroczne pomieszczenie jest wnętrzem kapsuły.

Zobaczył duży, długi, prostokątny obiekt z -jak zauważył -metalową obudową. Widok pojemnika wysokiego na sześć metrów i długiego - na oko - na dwanaście, podziałał na niego dziwnie krzepiąco. Wszak jeden z jego najbardziej skrytych niepokojów dotyczył przestrzeni: jeśli nawet było dość miejsca na przetwarzanie wydzielin żywej istoty, gdzie pomieścić wszystkie płyny, których potrzebuje jedno ludzkie ciało?

W pewnym sensie i tak pojemnik wydał mu się za mały. Może jednak... - analizował - może Maszyna Igrzysk na kilka dni przed zniszczeniem nie była w stanie sprokurować niczego lepszego?

Obrócił się znowu do mężczyzny i uznał, że drugi problem nie może już czekać. A skoro Gosseyn Drugi... gdzieś tam... obiecał pomóc w razie potrzeby, Gosseyn Trzeci musi teraz poświęcić chwilę, aby podjąć odpowiednie kroki i mu to umożliwić.

Spojrzał zatem w dół, na podłogę, nieco w bok, gdzie było trochę pustego miejsca, i „sfotografował” ją z dokładnością do dwudziestego miejsca po przecinku. Potem, nie sprawdzając, co robią jego strażnicy, odwrócił się w stronę „łóżka” i w taki sam sposób utrwalił je w pamięci. Ponieważ wszystko to zajęło niecałą minutę, musiał przyznać, że może działać zbyt pochopnie. Jednak kapsuła i jej urządzenia stanowiły jego kolebkę i mogło się zdarzyć, że jej wyposażenie przyda mu się w przyszłości, ba, może nawet okazać się niezbędne, by przetrwać.

Teraz, gdy przygotował już pewną linię obrony, mógł wreszcie spojrzeć na Głos Jeden, a potem na Głos Dwa, który stał tuż obok.

- Ekscelencjo - odezwał się nagle z sufitu Głos Trzy. - Czy mogę powiedzieć coś bardzo ważnego?

- Co takiego? - niewzruszonym tonem zapytał Głos Cztery, również z sufitu.

- Panie, zgodnie z odczytami naszych przyrządów, mózg więźnia wykazywał niezwykle konfigurację przepływów energii.

- Chcesz powiedzieć, że teraz...?

- Tak, ekscelencjo. Pauza. Wreszcie:

- No dobrze, więźniu, co uczyniłeś? - warknął Głos Cztery. Gosseyn uciekł się do jednej z najprymitywniejszych technik semantyki ogólnej.

- Panie, gdy wstałem z kozetki, na której leżałem przez czas bliżej nieokreślony i do której byłem przymocowany do chwili uwolnienia, zaciekał mnie statek, w którym mnie znaleziono, o czym dowiedziałem się ze słów wypowiedzianych przez twoich, panie,

pomocników w ciągu ostatnich kilku minut. Wiem, że nigdy przedtem nie widziałem tego statku. Jak przypadkowo usłyszałem, wykryto go, gdy dryfował w przestrzeni, dlatego też z czystej ciekawości spojrzałem na niego. Potem zwróciłem uwagę na samą leżankę. W obu przypadkach byłem niezwykle zainteresowany. Być może właśnie to odnotowały wasze przyrzędy.

Wygłaszając tę umyślnie wymijającą tyradę, Gosseyn czuł się coraz bardziej nieszczęśliwy, że musi to robić. Mimo iż takie pokrętne wyjaśnienia mieściły się, choć w negatywnym znaczeniu tego słowa, w ramach semantyki ogólnej, a już na pewno w ramach jej techniki, sam podstawowy i realny fakt wygłoszenia kłamstwa z całą pewnością odbijał się niekorzystnie na psychice. Co gorsza, przeczuwał, że stoi u progu okresu, w którym takie właśnie wykrętne wypowiedzi będą dla niego warunkiem przetrwania.

Po jego słowach nastąpiła chwila ciszy. Głos Jeden i Głos Dwa stali całkiem cicho. Uznał, że należy ich naśladować, przynajmniej do czasu, aż „jego ekscelencja” przetrawi potok słów, jakim zalał go więzień.

Nietrudno było się domyślić, co zaszło. Prawdopodobnie ich przyrzędy w jakiś sposób zareagowały na procesy zachodzące w jego mózgu w czasie, gdy „fotografował” umysłem dwa miejsca, które uznał za niezbędne na wypadek, gdyby w przyszłości wydarzenia rozwinęły się nie po jego myśli. „Fotografowanie” nie było wszakże czynnością, o której chciałby podyskutować ze swoimi strażnikami.

Mało tego. Zauważył, że dziwnie poruszył go fakt, iż udało im się aż dwukrotnie zarejestrować pracę drugiego mózgu -pierwszy raz stało się to wówczas, gdy nawiązał kontakt z Gosseynem Drugim.

Do uczucia dezorientacji dołączyło się przykre wrażenie profanacji i poniżenia: jego niezwykły talent został zmierzony przez przyrzędy. Nagle interakcja między jego drugim mózgiem a fundamentalną rzeczywistością wszechświata wydała się całkiem prozaicznym zjawiskiem... skoro można je rejestrować.

W działaniu był potęgą, mógł przemierzać niezmierzone przestrzenie galaktyk, a jednak wytwarzało to zwykłe przepływy energii, łatwe do wykrycia.

Wciąż jednak nie wiedział, jaka jest ich natura.

Któregoś dnia... - myślał i w jego umyśle zaczął rodzić się pewien projekt - odkryje ukrytą dynamikę tej energii. Zanim jednak zdążył dokładniej to przemyśleć, przerwał mu Głos Cztery.

- Usuńcie tego osobnika z pomieszczenia i nie dopuście, by miał jakikolwiek kontakt z tym obszarem - przemówił głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Pod żadnym pozorem nie

przyprowadzać go tutaj bez zgody najwyższych władz!

Głos Dwa natychmiast sięgnął do wieszaka na ścianie i chwycił z niego coś, co wyglądało jak szary uniform. Górę rzucił Gosseynowi, a sam wraz ze swym towarzyszem skoczyli w przód i wciągnęli piżamowate spodnie na stopy i łydki więźnia. Gosseyn pojął, że właśnie dostał ubranie, a pośpiech podyktowany został rozkazami Głosu Cztery. Pospiesznie naciągnął zatem „marynarkę” i dosłownie wśliznął się w spodnie.

Zanim dopasował ubranie w talii, jego strażnicy wsadzili mu coś na nogi i szybko zamocowali wokół kostek. Gosseyn nie miał czasu, żeby sprawdzić, co to za „buty”, ani nawet na nie spojrzeć. Wydawało mu się jednak, że uszyto je z cienkiej, rozciągliwej gumy i że automatycznie zaciskają się wokół stopy i pięty, w pewnym sensie zatrzaskują się na nich.

Zanim zdołał sobie to uświadomić, już go prowadzono szybko - i bez oporu - do drzwi w kącie pomieszczenia, a potem wąskim, długim korytarzem.

Widocznie następny akt tej sztuki miał się rozegrać całkiem gdzie indziej.

III

Każdy korytarz gdzieś się kończy - mówił sobie Gosseyn. Wciąż wierzył, że są na statku kosmicznym i uważał, że ma prawo spodziewać się, iż wkrótce on i jego dwaj towarzysze znajdą się w innym pomieszczeniu. Co więcej, uważał, że nie będzie to zwykła kwatery sypialna, jakie widuje się na planetach, gdzie ludzie mieszkają w mieszkaniach i domach. Miał prawo sądzić, że na statku kosmicznym - a zwłaszcza na wojennym okręcie kosmicznym, na jakim prawdopodobnie się znajdował - będzie to kolejna sala pełna maszyn.

Pierwszym sygnałem, że wędrówka przez mdło oświetlony metalowy korytarz przypuszczalnie dobiega końca, było zachowanie Głosu Jeden i Dwa, którzy znacznie zwolnili tempo marszu. Ponieważ trzymali Gosseyna za ramiona, on też musiał zwolnić. W chwilę później znaleźli się przed barierą i nie zdziwił się, kiedy czyjaś ręka wysunęła się do przodu i dotknęła czegoś na ścianie.

Rozległ się cichy trzask. Ściana przesunęła się na bok. Za nią była jasność. Gosseyn nie potrzebował zachęty. Zanim jeszcze zdążyli go pchnąć, sam ochoczo wszedł do środka.

Była to duża sala, o ścianach i suficie z materiału, przypominającego nieprzezroczyste szkło. Ściany były jasnoniebieskie, sufit o kilka tonów ciemniejszy. Podłoga, która rozpościerała się przed Gosseynem na dobre dziesięć metrów, wydawała się zrobiona z czegoś innego.

Dwadzieścia na trzydzieści metrów całkowitej pustki. Żadnych widocznych urządzeń. Żadnych stołów. Żadnych krzeseł.

Żadnego sprzętu. Podłoga, bynajmniej nie szklista, miała niebieskawy kolor i ozdobiona była skomplikowanym, powtarzającym się wzorem.

Pustka panująca w pomieszczeniu wzbudziła w nim uczucie zaskoczenia, ale i tak nie mógł zrobić nic innego, jak tylko czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Czekał zatem, po raz kolejny. Strażnicy puścili go i odstępili, a Gosseyn nieśmiało zrobił kilka kroków, tym samym wchodząc do pomieszczenia. Nie próbowali go zatrzymać. Uświadamiał sobie, że Głos Jeden i Głos Dwa podążają za nim i znów stają po obu jego stronach, równie blisko jak przedtem.

Ale to Gosseyn zatrzymał się w miejscu po przejściu zaledwie kilku metrów. I stał bez ruchu. Nadal mógł jedynie zbierać informacje, żeby dowiedzieć się, o ile to możliwe, co to za statek i skąd przybywa. Powinien natomiast jak najmniej mówić o sobie, nie wykonywać żadnych dramatycznych, zdradliwych gestów, chyba że będzie to konieczne. Do tej pory

jednak nie wiedział, co dla niego znaczy słowo „konieczność”.

Pamiętając o tych ograniczeniach, otworzył usta, aby przekonać się, czy w ścianach bądź w suficie nie zamontowano jakichś urządzeń komunikacyjnych.

Zdażył jedynie powiedzieć:

- Mam wrażenie, że bez żadnego powodu jestem źle traktowany. Nie powinniście uważać mnie za wie...

I to było wszystko. Ze szklanego sufitu spadł mu w słowo lodowaty Głos Cztery.

- Będziesz traktowany dokładnie tak, jak na to zasługujesz. W naszej tragicznej sytuacji mamy pełne prawo do podejrzliwości. Zostaliśmy ściągnięci w nieznaną część kosmosu, znajdujemy kapsułę, a w niej ciebie. A biorąc pod uwagę fakt, że zaledwie się zbudziłeś, nawiązałeś kontakt z jakimś odległym *alter* ego, jesteś doprawdy mocno podejrzany. Dlatego też... - urwał na chwilę, po czym ciągnął dalej: - Dlatego też przyprowadziliśmy cię do tego pomieszczenia, które zazwyczaj wykorzystujemy podczas wykładów, aby przesłuchali cię nasi najlepsi specjaliści, którzy w niedługim czasie zadecydują o twoim losie. - Niemal nie zmieniając tonu, Cztery dodał pod adresem strażników Gosseyna, prawdopodobnie swoich podwładnych: - Zabrać go na podium!

Gosseynowi wydało się, że to ostatnie zdanie nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Poprowadzili go - a on szedł posłusznie podobnie, jak przedtem - przez ozdobioną skomplikowanym deseniem podłogę na drugą stronę tej pustej, puściutkiej „sali wykładowej” w miejsce, gdzie doprawdy nie było żadnego podium. Dopiero, kiedy znaleźli się w połowie drogi na drugą stronę - przynajmniej na początku wydawało się, że właśnie tam zmierzają - podłoga nagle zaczęła się poruszać. Podniosła się. Bezszelestnie wysunęła się w górę na jakieś sześćdziesiąt centymetrów.

Jednocześnie na wzniesionej części rozpoczęły się dalsze, skomplikowane ruchy. Fragmenty „podium” złożyły się i podniosły. Najpierw stół zaczął nabierać kształtu, potem ustawione za nim krzesła. Skierowane były wzdłuż dłuższej osi pokoju.

Następnie między platformą a podłogą nagle zaczęły się drobne przemieszczenia, tworząc wąskie stopnie.

W chwilę później strażnicy wprowadzili na nie Gosseyna. Ponieważ wydawało się, że dotarli już na miejsce przeznaczenia, Gosseyn wstąpił na nie bez słowa. Tam - już z własnej woli - wykonał następny ruch: nie oglądając się za siebie, obszedł stół i usiadł na środkowym krześle.

Akurat na czas, aby ujrzeć, jak podłoga, po której szedł żale-, dwie przed chwilą, zaczęła się... poruszać. W górę.

Nie było to już całkowite zaskoczenie. Z zainteresowaniem przyglądał się, jak wyjaśnia się zagadka skomplikowanego i powtarzalnego wzoru. Wkrótce okazało się, że każdy z motywów jest składanym krzeselkiem, które właśnie zaczęło się rozkładać i z lekkim trzaskiem wskoczyło na swoje miejsce.

W ciągu minuty rozpostarło się przed nim kilkaset krzeseł, ustawionych w znanych wszystkim od zawsze rzędach widowni teatralnych i kinowych, audytoriów i sal wykładowych...

Klik! Klik! Klik!

W trzech oddzielnych miejscach - z tyłu, pośrodku i z przodu - kawałki bocznych ścian rozsunęły się i przez powstałe drzwi zaczęły wchodzić długie szeregi ludzi. Wszyscy na pewno byli mężczyznami, ale ich stroje różniły się od tego, co mieli na sobie Głos Jeden i Dwa. Z twarzy i sylwetek podobni byli do dwóch strażników, ale ich odzież nie była tak bufiasta. Ubrani byli w proste, szare stroje. Gosseyn natychmiast zorientował się, że to wojskowi.

Z nieszczęśliwą miną siedział zatem na swoim krześle i obserwował „najlepszych specjalistów” -jak ich nazywał Głos Cztery

- wlewających się przez sześćcioro drzwi. Wydawało się, że każdy wie, gdzie ma usiąść i w ciągu dosłownie minuty wszyscy znaleźli się na swoich miejscach.

I gapili się na niego.

Sala wykładowa, miejsce za stołem na podium, rzędy słuchaczy otaczające podium: ziemski stereotyp profesorów i innych wykładowców.

Sporo wysiłku kosztowało Gosseyna, zanim udało mu się wyrzucić z umysłu te automatyczne skojarzenia ze wspomnieniami. Oczywiście, nie oznaczało to, że wspomnienie stereotypu zawładnęło jego umysłem na dobre, ale przeszkadzało i tkwiło w mózgu, odwracając jego uwagę od czegoś co, jak czuł instynktownie, było tu decydujące.

Głos Cztery postąpił bardzo inteligentnie. W jednej chwili udało mu się odsunąć od siebie odpowiedzialność za wszystko, co się stanie lub zostanie zrobione.

W systemie autokratycznym to, co zrobił Głos Cztery, było niemal obroną ostateczną.

Czy mogę w jakiś rozsądny sposób przewidzieć, co się teraz stanie? To pytanie Gosseyn zadawał sobie od dłuższej chwili.

Zanim zdołał się zastanowić, na czym ów rozsądny sposób miałby polegać, rozległ się chrobot odsuwanego krzesła. Obejrzał się i zobaczył wysokiego, potężnego mężczyznę, również odzianego w szary uniform, który zajmował miejsce obok niego. W pierwszej chwili trudno było się domyślić, skąd właściwie się tu wziął. Prawdopodobnie wszedł przez kolejne

przesuwane drzwi.

Mężczyzna miał kwadratową twarz, ogromna, kosmata czapa ciemnych włosów wystawała spod skomplikowanego nakrycia głowy. Zauważył chyba spojrzenie Gosseyna, ale nie odwrócił głowy, aby go powitać lub choćby dać znać, że go widzi.

Robi wszystko, żeby nikt później nie mógł go oskarżyć o traktowanie więźnia jak istoty ludzkiej - cynicznie pomyślał Gosseyn.

Nowo przybyły był, zdaje się, najważniejszą osobą. Szttywno podniósł do góry prawą rękę. Po wejściu widownia uspokoiła się nadzwyczaj szybko, prawie nie słychać było szelestów, ale nawet i te, które nie zdążyły się uciszyć, stłumił władczy gest.

Mężczyzna odczekał jeszcze kilka minut, aby się upewnić, że wszyscy go słuchają, po czym otworzył usta i rzekł po angielsku:

- W imię Jego Boskiego Majestatu, otwieram dzisiejsze spotkanie.

Gosseyn przez chwilę był zdezorientowany. Angielskie słowa, padające bezpośrednio z ust mówcy? Jego wcześniejsze domysły dotyczące źródła angielskiej mowy (był przekonany, że angielski język słyszy dzięki aparacikom na głowach obcych) okazały się całkowicie mylne.

Zdziwiło go także coś innego: jego sąsiad przemówił głośno, jakby chciał, aby słyszała go cała sala. Jednak głos ten bez wątpienia należał do Głosu Cztery.

A więc... jego dotychczasowa analiza okazała się niesłuszna: Głos Cztery stoi w hierarchii dostatecznie wysoko, by sobie pozwolić na pewną niezależność.

Największym jednak odkryciem były słowa „w imię Jego Boskiego Majestatu”. Wreszcie wyszło na jaw, kto jest najwyższą władzą w tej fantastycznej sytuacji, w jakiej znalazł się po przebudzeniu trzeci Gilbert Gosseyn. Przy tym, skoro wszyscy tak dreczą na paluszkach, najprawdopodobniej „majestat” rządzi za pomocą metod i zasad, należących do najbardziej ponurej strefy autokratyzmu.

Zamęt myśli w głowie Gosseyna zamarł na chwilę, gdyż nagle na widowni coś zaczęło się dziać: jakiś rytmiczny ruch. Każdy z siedzących tam ludzi skoczył - naprawdę skoczył na równe nogi. Zasalutował. I usiadł z powrotem.

Znów zapadła kompletna cisza.

Szybkość całej sekwencji - od chwili wygłoszenia dźwięcznym głosem znamienych słów do momentu zapanowania całkowitej ciszy - sprawiła, że jednemu bezstronnemu słuchaczowi mózg zatrzymał się na chwilę.

Oczywiście nie całkiem. Słowa „Boski Majestat” aż kipiały od skojarzeń. Pozostawał jeszcze ten fantastyczny fakt, że wszyscy mówili i rozumieli po angielsku. Jednak już teraz

widać było, że wszelkie domysły, jakie mógł snuć na temat tego, co się stało, były jedynie pustymi spekulacjami. A Gosseyn uważał, że najwyższy czas z tym skończyć.

Nadszedł zatem czas, aby i on przemówił do tych ludzi... Pierwsze słowa, jakie wypowiedział po podjęciu decyzji, były proste. Albowiem: skoro masz wątpliwości, przerzuć odpowiedzialność (w tym wypadku, odpowiedzi) za... wszystko na drugą stronę.

Powiedział:

- Nie rozumiem, dlaczego wasze położenie tak was niepokoi. Wcześniej już słyszałem, że nie wiecie, gdzie się znajdujecie. Ale pozostaje pytanie: w stosunku do czego? Skąd jesteście? I kim jesteście?

Mówiąc, zwrócił się do potężnego mężczyzny w nadziei, że skoro oni dwaj znajdują się na podium, wszelkie pytania i odpowiedzi krążyć będą między nim a Głosem Cztery.

Nastąpiła pauza. Pomarańczowożółte oczy patrzyły prosto w jego oczy... o nie znanym mu kolorze. Jeśli oczy wszystkich Gosseynów były podobne, Głos Cztery widział stalowoszare tęczę.

Jednak to pomarańczowożółte oczy zwęziły się lekko. Po czym twardy, nawykły do rozkazywania głos rzekł:

- To my zadajemy pytania. Jak się nazywasz? Gosseyn nie zamierzał się sprzeczać. Uznał, że jedynie mówiąc prawdę wyciągnie z tych ludzi to, co chce wiedzieć.

- Nazywam się Gilbert Gosseyn - odparł.

- Skąd pochodzisz?

- W zasadzie - powiedział ostrożnie - jestem istotą ludzką z planety Ziemia w układzie słonecznym o nazwie Soi.

Nie miał zamiaru nie proszony podawać do publicznej wiadomości, że Gosseyn Pierwszy i Gosseyn Drugi uważali, iż cała ludzkość przybyła tam bardzo dawno i z bardzo odległej galaktyki.

- Dlaczego dryfowałeś w kapsule kosmicznej i dlaczego znajdowałeś się w stanie zawieszonych życia?

Gosseyn głęboko zaczerpnął tchu w płuca. Bez wątpienia to dobre pytanie. Skoro jednak mają już tak dokładne dane, odpowiedział bardzo spokojnym, równym głosem:

- Jestem kopią mojego *alter ego*, która miała się obudzić, gdy on zostanie zabity.

- A czy został zabity?

Gosseyn nie wahał się ani przez chwilę:

- Jak chyba wiesz, i to aż za dobrze, obudziły mnie urządzenia waszego statku. Teraz jest nas dwóch, ale znajdujemy się daleko od siebie.

- Czy to normalna technika przedłużania życia istot zamieszkujących planetę Ziemię?

- Nie. Jest unikatowa i dotyczy tylko mnie i moich poprzedników.

- Czy potrafisz jakoś wytłumaczyć swoją obecną sytuację?

- Raczej nie. Słyszałem kilka domysłów mojego poprzednika, ale to długa opowieść.

- Doskonale. - Twarz zwrócona ku niemu przybrała nagle gniewny wyraz. - Ale jak wytłumaczysz przypadek, który spowodował, że okręt wojenny imperium Dzan ze stu siedemdziesięciu ośmioma tysiącami osób na pokładzie nagle, bez żadnego ostrzeżenia, znajduje się w nieznanym obszarze kosmosu. I że w tym obszarze kosmosu wykrywają kapsułę z tobą w stanie uśpienia?

Po chwili pustki w głowie, Gosseyn wykonał pauzę korowo-mózgową. Myślał: sam się o to prosiłem. W końcu chciałem informacji... a teraz dostał ich więcej, niż mógł strawić. Czuł, że w jego umyśle jakaś analityczna cząstka dodaje cyfry, uwzględniając możliwość, że na każdym z tych okrętów znajdują się tysiące zdolnych do walki żołnierzy.

Było to tak niezwykle zdarzenie w czasoprzestrzeni, że wreszcie uznał, iż tylko semantyka ogólna może podsunąć mu jakąkolwiek odpowiedź. Z tą myślą odparł ostrożnie:

- Istnieje możliwość, że podstawą wszechświata jest złudzenie, a nie byt, i za każdym razem, kiedy złudzenie to ulega wyzwoleniu, nicość momentalnie się do niego dostosowuje. W ciągu takiego ułamka sekundy odległość przestaje mieć znaczenie.

Nie uznał za stosowne wspomnieć, że jest to ta sama rzeczywistość, w której, jak przypuszczano, działa dodatkowy mózg Gil-berta Gosseyna w czasie podróży z podobieństwem do dwudziestego miejsca po przecinku.

W chwili, kiedy spojrzał badawczo na twarz Cztery, analizując jego reakcje, przyszła mu do głowy ostrzegawcza myśl. Niemal widział, jak tamten próbuje ocenić fantastyczne znaczenie jego słów. Oszacować każdą daną po kolei. By wreszcie dotrzeć do sedna zagadki.

- Tak... - ton był ostry, ale nie gniewny - ale co jest czynnikiem łączącym ten punkt w przestrzeni, gdzie zaangażowani byliśmy w bitwę z flotą naszego śmiertelnego wroga i ten fragment kosmosu, gdzie znajdowała się twoja kapsuła?

Bez wątpienia, pomyślał Gosseyn po chwili, dostaję więcej informacji, niż mi się marzyło. Po pierwsze, bitwa. Sto siedemdziesiąt osiem okrętów Dzan przeciwko „śmiertelnemu” wrogowi. Znaczenie tego było ogromne na poziomie znacznie wykraczającym poza granice zrozumienia ludzkiego umysłu. Było to wydarzenie, które zaćmiło nawet historyczną bitwę w Szóstym Dekancie między niewyobrażalnymi siłami Enra Czerwonego a Ligą. Gosseynowi Drugiemu udało się położyć jej kres poprzez pokonanie Wyznawcy. Konsekwencje wydały mu się równie doniosłe. Słowa pojawiły się niemal

automatycznie:

- Jak sądzicie, co się stało wtedy z waszym wrogiem? Czy to możliwe, żebyście mieli aż tyle szczęścia, by zostawić jego i całą flotę... tam?

- Nie podzielamy twojej definicji szczęścia - padła natychmiast lodowata odpowiedź. - Nasze zniknięcie z bitwy oznacza, że cała nasza wspólna cywilizacja jest teraz na łasce wrogiej, nieludzkiej kultury. Uważamy, że jesteś w jakiś sposób odpowiedzialny za tę katastrofę, więc...

Cztery złowroźnie zawiesił głos i wtedy nagle mu przerwano. Z sufitu dobiegł wysoki, przenikliwy głos małego chłopca.

- Przeprowadźcie go tu! Chcę go zobaczyć! Dowiem się, co się stało! Ja się nim zajmę!

Kompletne zaskoczenie. A jeszcze bardziej zdumiewające było to, co nastąpiło zaraz potem. Wszyscy zerwali się z miejsc i zaszalutowali. I tak pozostali. U boku Gosseyna zabrzmiał nagle drżący i zdławiony głos Czwartego:

- Tak, Wasza Wysokość. Natychmiast, Wasza Wysokość! Nieoczekiwany rozwój wydarzeń!... Król-dziecko z absolutną władzą...

Władzą jakiego rodzaju?... pomyślał Gosseyn.

IV

Złota komnata. Takie było pierwsze wrażenie Gosseyna: deko-racja utrzymana w tonie ciepłej żółci. Żłociste pluszowe wykładziny, żłociste draperie na ścianach. Same ściany, tam, gdzie je było widać, miały szarosrebrzystą barwę.

Jak przez mgłą widział inne kolory, dodane dla kontrastu, ale nie miał czasu, aby przyglądać się takim szczegółom, gdyż - skoro tylko wprowadzono go do pokoju - zobaczył w głębi pomieszczenia niewielki postument, a na nim ogromny, żłocisty fotel.

Na fotelu siedział chłopiec-imperator.

Po jednej jego stronie stało kilkudziesięciu mężczyzn w lśniących szatach. Wchodząc, Gosseyn znalazł się dokładnie naprzeciw tej grupy... dworzan?

W istocie to właśnie ich zauważył najpierw. Aby ujrzeć drobnego chłopca w lśniącym, srebrnym stroju, siedzącego na złotym fotelu-tronie, musiał obrócić głowę w prawo.

Chłopiec za to spostrzegł od razu jego i towarzyszącą mu eskortę. Zanim bowiem Gosseyn uświadomił sobie obecność chłopca, ten już zdążył podnieść rękę i przemówić. Był to ten sam chłopięcy głos, który Gosseyn słyszał wcześniej, i brzmiał w nim taki sam gniew.

- Czekaliśmy! - krzyknął piskliwie. - Co was zatrzymało? Gdzie żeście byli?

Cztery zatrzymał się z szacunkiem. Jego twarz, widziana z profilu, wyrażała napięcie i obawę, gdyż wiedział widocznie, że nie uda mu się wyjaśnić niecierpliwemu chłopcu, że pokonanie odległości musi zająć trochę czasu.

- Biegliśmy, Wasza Wysokość - rzekł Cztery i natychmiast dorzucił: - Oczywiście, kiedy już zmusiliśmy więźnia, by się ruszył. Stawiał opór.

Gosseyn potrzebował dłuższej chwili, aby zrozumieć mistrzostwo, z jakim zostało wygłoszone to oskarżenie. Wypowiadając ostatnie słowa, Cztery zręcznie uwolnił się od brzemienia winy, jednocześnie zwalając ją na osobę, która prawdopodobnie nie zdoła się obronić. A co ważniejsze, jako więzień, przypuszczalnie i tak nie był narażony na nic gorszego.

Prawda była taka, że jeszcze w sali wykładowej, kiedy Cztery złapał go za ramię, Gosseyn natychmiast pojął, iż nie ma chwili do stracenia. Kiedy zatem przeciągnięto go już przez drzwi w tylnej części podium, bez namysłu ruszył niemal biegiem.

Krótkie wspomnienie tych wydarzeń zostało przerwane niemal natychmiast.

- Dajcie go tutaj, przede mnie! - wrzasnął młody imperator. - Już ja mu pokażę!

Tym razem szli normalnym krokiem, ale Gosseyn nagle uświadomił sobie coś

dziwnego. Jego dodatkowy mózg był w stanie pobudzenia. Odbierał strumień energii. Odmienny. Żaden z poprzednich Gosseynów, których wspomnienia posiadał, nie przeżył niczego podobnego.

Zmienił zamiar, choć początkowo chciał zachować się biernie i czekać na rozwój wydarzeń, zaprzestać wydawania sądów i odwlec wszelkie decyzje, dotyczące działania, dopóki nie dowie się, co sprawiło, że dorośli tak się boją tego chłopca.

W końcu ludzka historia na Ziemi знаła wiele przykładów, gdy chłopiec zasiadał na tronie, a dorośli zręcznie rozwiązywali wszystkie wyniki z tego problemy.

Tu było inaczej.

Ponieważ jednak nie wiedział, na czym polega ta różnica, Gosseyn uruchomił mechanizm drugiego mózgu, nastawiając go na całkowite zespolenie z ciałem młodego imperatora. Była to pełna fotografia umysłowa, każdej molekuly, każdego atomu, cząsteczki i elektronu.

Chłopiec mówił:

- Wyciągniemy z ciebie wszystkie tajemnice. Każdy okrucieństwo informacji: Dowiemy się, co zrobiłeś z naszym statkiem, wszystko. Lepiej zacznij gadać. A żebyś wiedział, że mówię poważnie, przypiekę cię trochę...

Nawet wiele godzin później Gosseyn nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co się stało. Pojawiło się przelotne wrażenie, że w metalowym pręcie wbudowanym w szczyt oparcia tronu zaczyna zbierać się energia, a energia ta ma źródło w chłopcu.

Wypadki potoczyły się zbyt szybko, by mógł dokonać jakiegokolwiek analizy. A jego reakcja, przygotowana z góry, również była zbyt szybka, aby mógł ją sobie uświadomić za pomocą zmysłów.

W ułamku sekundy jego drugi mózg przeniósł ciało chłopca-imperatora na leżankę w kapsule, gdzie jeszcze niedawno spoczywało jego własne ciało.

Był to jeden z dwóch obszarów, które „sfotografował”, aby móc w razie potrzeby uciec. Leżankę wybrał dlatego, że była miękka jak materac. Lepiej mu będzie tam niż na podłodze.

Potem wydarzenia w sali tronowej potoczyły się bardzo szybko.

Naładowany energią pręt tronu zapłonął i splunął niewielkim płomieniem, który z trzaskiem uderzył w sufit.

Za plecami Gosseyna Cztery wydał okrzyk zdumienia, któremu zawtórowały głosy dworzan.

Tron, który mieli przed oczami, był najwyraźniej pusty. Chłopiec-imperator zniknął.

Minęło kilkanaście sekund, ciągnących się jak wieczność. Każda mijająca chwila wydawała mu się niemal namacalna, gdyż w pomieszczeniu panowała kompletna cisza i bezruch. A przecież w sali znajdowało się mnóstwo ludzi. I choć samo określenie nie miało wielkiego znaczenia, odczucie, jakie Gosseyn rozpoznawał u dworzan i sług młodego imperatora, w jakiś przerażający sposób przypominało... pauzę!

Kilku ludzi zdołało wreszcie oprzytomnieć i ciszę przerwały ponowne okrzyki.

Dla Gosseyna ten czas zawieszenia był bardzo cenny, gdyż zdołał się zastanowić, jak wyjaśnić dworzanom, co się właściwie stało... i nie pozwolić się obwinąć.

Wiedział, co ma zrobić, ale na razie brakowało mu pomysłu, jak to wszystko ująć w słowa, bo niewiele pamiętał z tego, co się stało. Stał więc i powoli próbował przypomnieć sobie szczegóły.

Jego drugi mózg wyczuł natychmiast przepływ cząstek, zanim jeszcze, milionową część sekundy później, energia osiągnęła pełną moc. Oczywiście było to całkowicie niespodziewane, ale na szczęście, gdy tylko zorientował się, jak bardzo niebezpieczny może być młody imperator, uregulował upodobnienie do dwudziestu miejsc po przecinku.

Wszystkie cząsteczki zostały odchylone w kierunku naenergetyzowanego pręta za plecami chłopca. Wynikowy, momentalny przepływ energii rzeczywiście wywołał trzask i świst.

Ale najbardziej nieoczekiwane, niewiarygodne było to, że w mózgu chłopca znajdowało się coś tego samego rodzaju, co drugi mózg Gosseyna, jakiś dodatkowy kawałek szarej materii, niezwykła masa komórek, jakiej nie miewają normalne istoty ludzkie. Niestety, nie był to wyłącznie mechanizm obronny. Działał na zasadzie bezpośredniej kontroli energii, którą można było kierować na konkretny cel. Chłopiec powiedział, że zamierza „trochę przypiec” Gosseyna. Sugerowało to istnienie pewnego rodzaju moralnych skrupułów, a co za tym idzie, najwyraźniej jakiś wychowawca kiedyś próbował nauczyć go opanowania.

Z tego wynikało, że dzieciak nie zabija automatycznie wszystkich, którzy mu się narażą. Jedyne sprawia im ból, a zatem przeraża. Na swój sposób jest zatem wszechmocny; ale niezupełnie szalony, jak się wydawało na początku.

Wniosek: wciąż jeszcze można coś zrobić.

Te myśli przebiegały przez głowę Gosseyna z szybkością błyskawicy. Analiza dobiegła końca, gdy spostrzegł, że pozostali powoli dochodzą do siebie po wstrząsie.

Cztery wyprostował się i zwrócił ku dworzanom. Gosseyn z ulgą odwrócił się także, akurat w chwili, kiedy tamten składał pokłon dworzanom. Dopiero teraz Gosseyn zauważył, że kilku z nich miało na sobie mundury.

- Draydart Duart - przemówił Cztery. - Czy możesz objąć dowództwo?

Nastąpiła chwila milczenia. Oczywiście, wszyscy oprócz Gosseyna wiedzieli, o kim mowa. Kiedy wreszcie ktoś się poruszył, był to jeden z ludzi w uniformach. Wystąpił z grupy i podszedł do Czwartego. Pozostali dworzanie pozostali tam, gdzie znajdowali się w momencie wejścia Gosseyna.

Mężczyzna, który wystąpił do przodu, miał na sobie czerwony mundur. Górna jego część migotała lśniąco metalowymi kształtami, które na Ziemi Gosseyn bez wahania uznaliby za order i baretki. Na tejże Ziemi dałby mężczyźni mniej więcej około czterdziestki.

A skoro Cztery tak mu się kłaniał, pewnie miał dość wysokie stanowisko.

Gosseyn spodziewał się, że Cztery i oficer zaczną rozmawiać. A jednak wojskowy zwrócił się nie do niego, lecz do Gosseyna. Jego głos brzmiał dziwnie błagalnie, gdy spytał:

- Czy on żyje?

Dzięki temu, że zwrócił się bezpośrednio do Gosseyna, czyniąc go odpowiedzialnym za całe zdarzenie, ten ostatni miał możliwość wykorzystać ten jeden, jedyny pomysł obrony, jaki przyszedł mu do głowy.

- Wydaje mi się - oznajmił - że z tym konkretnym obszarem przestrzeni łączą was silne związki. Zanim imperator zniknął, odniosłem wrażenie, że poprzez kontrolę energii jego specjalny mózg spowodował włączenie się czegoś w kapsule, w której mnie znaleziono.

Dlatego też - brnął dalej w kłamstwo, próbując rozwinąć wyjaśnienie - zaczynam rozumieć, jak mogliście się tu dostać z miejsca, gdzie byliście przedtem. Czy to możliwe, aby w chwili, gdy nastąpił Wielki Przeskok, Jego Wysokość był zajęty karaniem kogoś? Wydaje mi się - dokończył - że powinniście wysłać gwardię honorową do laboratorium, w którym została kapsuła. Sądzę, że chłopak... to *znaczy* Jego Wysokość... znajduje się w środku.

- A-a-ale... - zająknął się oficer - uznaliśmy, że trzymanie jej na pokładzie może być niebezpieczne, więc... - Jego twarz zszarzała - ...Więc wystrzeliliśmy ją w chwilę po tym, jak opuściłeś laboratorium.

I to był drugi wstrząs.

Jak szybko może reagować człowiek zwłaszcza, gdy raz za razem przeżywa szok? Obserwacja zastosowania semantyki ogólnej potwierdziła, że odpowiedź wzgórzowa może być prawie natychmiastowa. Mięśnie cofają się przed zagrożeniem. Ciało podrywa się, pulsuje. Może nawet wydawać dźwięki albo wypowiadać słowa...

Na ile świadome są te reakcje? To, rzecz jasna, zależy od udziału czynności kory.

O ile Gosseyn mógł się zorientować, to co działo się po słowach oficera, nie miało z

korą wiele wspólnego. Z tuzin głosów rozkrzyczało się niemal jednocześnie. Wokół kłębili się ludzie. Kilka osób przebiegło obok Gosseyna. Jeśli w ogóle mieli jakiś cel, przypuszczalnie był nim tron, ale do niego nie dobiegli.

Zatrzymali się niepewnie, potęgując jeszcze przez to ogólne zamieszanie.

Wyglądało to na reakcję wzgórzową, ale Gosseyn brał pod uwagę jeszcze jedną możliwość. Byli doświadczonymi sługusami. Miał przed sobą ludzi tak przyzwyczajonych do dwulicowości, że gdyby imperator naprawdę zniknął, oczywiście, poczuliby jedynie ulgę, a jednak...

Ale - również oczywiście - gdyby imperator miał jeszcze jakąkolwiek szansę na powrót, każdy z nich musiałby pokazać innym, że naprawdę okazał szczerą troskę. Przecież wszyscy ci dworzanie wiedzieli, że niezależnie od tego, jak potoczą się ich przyszłe losy, pojawi się kolejny dziedzic tronu, który osądzi ich oddanie. A plotkarze na pewno znajdą czas, aby donosić na nieostrożnych.

Gosseyna, który miał dużo własnych kłopotów, niewiele to jednak obchodziło. Natomiast wiedział, że jego własna przyszłość będzie znacznie bezpieczniejsza, jeśli chłopak żyje. Z doświadczeń poprzednich Gosseynów wiedział też, że w sytuacji kryzysowej władzę obejmuje wojsko. Wystarczyło zresztą obserwować oficera, który go przesłuchiwał, Draydarta Duarta, który chyba był tu dowódcą.

Tak, jak przypuszczał, Draydart szybko otrząsnął się z pierwszego szoku. Odwrócił się i podszedł do odcinka ściany w pobliżu tronu. Tam odsunął draperię i dotknął czegoś na nagiej ścianie. I zaczął mówić.

Tak precyzyjna, stanowcza reakcja natychmiast została dostrzeżona przez pozostałych, gdyż powoli w pomieszczeniu zapanował spokój. Elegancko odziani dworzanie przestali się kotłować i wrzeszczeć na siebie. Dzięki temu ostatnie słowa rozkazu Draydarta rozbrzmiały we względnej ciszy:

- Wykonać! I bądźcie ostrożni!

Po tym ostrzeżeniu oficer opuścił draperię i wrócił tam, gdzie stali Gosseyn i Cztery.

- Oczywiście, nasze przyrzady śledziły kapsułę. Już ją zlokalizowano i wkrótce ściągniemy ją powrotem na pokład -oznajmił, zwracając się jednocześnie do nich obydwu. - Specjalna grupa naukowców otworzy ją i odprowadzi imperatora tam, gdzie uzna, że będzie mu najlepiej. - Nie jestem pewien, czy powinieneś tu być, gdy imperator wróci - dodał jeszcze, zwracając się do Gosseyna.

Gosseyn zdziwił się, że Draydart mówi tak, jakby jego troska o chłopca i o to, gdzie należy go zabrać, ograniczała się do słów „tam, gdzie będzie mu najlepiej”. Jednak z ostatnich

słów Draydarta wywnioskował, że prawdopodobnie miejscem tym będzie sala tronowa. Wszystko to okaże się w chwili ściągnięcia kapsuły. W sytuacji Gosseyna wszakże istniało jedno, bardzo proste rozwiązanie.

- Dlaczego nie spytacie Jego Wysokości, czy życzy sobie mojej obecności, kiedy powróci?

Nastąpiło milczenie. Gosseyn pilnie przyglądał się twarzy oficera, który wyraźnie analizował to, co usłyszał. Draydart udowodnił już absolutną wyższość wojskowych nad cywilami, gdy we właściwym momencie objął dowodzenie. Teraz z kolei jego zachowanie automatycznie stawiało chłopca w roli ofiary, którą manewruje się i przedstawia dla jej własnego dobra, zgodnie z najlepszym osądem Draydarta. Nikt nie będzie pytał imperatora, czy chce być uratowany i skoro tylko to nastąpi, będzie traktowany zgodnie z wszystkimi odpowiednim przepisami.

- Oczywiście - zgodził się Draydart wreszcie.

Sprowadzenie kapsuły zajęło około dwudziestu minut. Wszyscy stali i czekali, dziwnie milczący. Spoglądali, ale nie na siebie, tylko gdzieś w przestrzeń.

I nagle znów rozległ się chłopiący głos:

- Tak, chcę, żeby ten taki-owaki był obecny! Niech nie próbuje uciekać!

Gosseyn uznał, iż należy przyjąć, że określenie „taki-owaki” stosuje się do jego osoby. Wydawało mu się, że nastrój imperatora w chwili, gdy wypowiadał te słowa, nie był zbyt przychylny.

Zaraz potem rozległ się inny jeszcze głos:

- Draydart Duart, sprawdź... - ostatnie słowo nie było Gosseynowi znane, ale brzmiało jak „rowek”.

Oficer natychmiast sięgnął do jednej z dekoracji, zdobiącej lewe ramię jego munduru i chwycił mały, lśniący przedmiot, który był przymocowany na łańcuszku. Podniósł ten przedmiot do lewego ucha, i chwilę posłuchał. Następnie wypuszczając aparacik z ręki, zwrócił się do grupy dworzan:

- Powinniśmy teraz skierować się do... - i znów padło słowo nieznane Gosseynowi, które brzmiało jak „warkocz”.

Podstawowe znaczenie było jednak oczywiste. Następne przesłuchanie odbędzie się w innym pomieszczeniu.

Prawdopodobnie było to pomieszczenie, gdzie więzień - Gilbert Gosseyn - zostanie poddany kolejnym badaniom. Gosseyn przypomniał sobie, że aktywność jego drugiego mózgu została zarejestrowana przez ich przyrządy już dwukrotnie, i ogarnęło go

nieprzyjemne wrażenie, że mają do dyspozycji inne, groźniejsze urządzenia, które lepiej ochronią imperatora przed wszystkim, co może się jeszcze zdarzyć.

Skoro jednak jego głównym celem była samoobrona i - o ile będzie to możliwe - uzyskanie dalszych informacji, wydawało mu się oczywiste, że nadszedł moment, kiedy będzie musiał podjąć jakąś ostateczną decyzję.

V

Nie mając żadnych określonych planów względem „Jego Wysokości”, Gosseyn uznał, iż nie warto „fotografować” z dokładnością do dwudziestu miejsc po przecinku fragmentów podłogi w sali tronowej.

Doprawdy, gdyby kiedykolwiek, w jakimkolwiek celu powrócił w tak znamienite miejsce, wszystkim wydałoby się to podejrzane i żadnym usprawiedliwieniem nie wykręciłby się z łap żołnierzy. Na razie wciąż uważali, że może im się przydać. Wierzyli, że dzięki niemu dowiedzą się, co spowodowało przeniesienie ich floty w ten obszar kosmosu, nie znany zarówno im, jak i jemu. A zatem on też musiał dowiedzieć się paru rzeczy.

Na razie dostępna mu informacja była właściwie bez znaczenia. Pomimo to Gosseyn starannie zapamiętał, że z sali tronowej poprowadzono go korytarzem do wind. Było ich sześć skupionych w jednym miejscu. Jedną z nich przewieziono go w górę na wysokość mniej więcej ośmiu pięter. Następnie poprowadzono go kolejnym korytarzem. Wzdłuż niego rozstawiono strażników w szarych mundurach. Na widok Draydarta kolejno stawali na baczność i salutowali. Salut polegał na położeniu prawej dłoni pośrodku piersi i prawdopodobnie w tej formie obowiązywał tylko niższe szarże.

Pomieszczenie, do którego teraz weszli, bardziej przypominało salon. Były tu sofy, duże stoły i krzesła. Spora grupa dworzan wyroiła się z innych wind i weszła do pokoju w ślad za Gosseynem i jego dwoma strażnikami: Cztery i dowódcą. Każdy z nich zajął miejsce obok krzesła i czekał.

Do ogromnego pomieszczenia prowadziło kilka wejść. Ze swojego miejsca obok Draydarta, Gosseyn widział z jednej strony część alkowy, która z pewnością dokądś prowadziła. Na każdej ze ścian znajdowały się również osłonięte kotarami drzwi. Oczywiście, poza tymi, przez które weszli.

Stał zatem wraz z innymi i czekał... Nie czuł jakiejś szczególnej potrzeby zastanawiania się, co zrobi podczas następnego spotkania. Był jednak lekko zdenerwowany. Cóż za strata czasu! Ci wszyscy ludzie - i on, każdy na swój sposób zaangażowany w zdarzenie na skalę kosmiczną - tracą czas, czekając na młodocianego władcę, który z pewnością sprawi kolejne kłopoty. Na to akurat można było liczyć.

W chwilę później chłopiec szybkim krokiem wyszedł z alkowy i nagle zatrzymał się niepewnie. Potem, jakby wiedziony impulsem, podszedł i stanął jakieś cztery metry od Gosseyna.

Biorąc pod uwagę wszystko, co się zdarzyło, było to bardzo odważne zachowanie. Odwaga malowała się też w jego oczach, kiedy spojrzał na więźnia. Nagle twarz mu się ściągnęła.

- Coś ty zrobił? Coś ty mi zrobił? - W jego piskliwym głosie słychać było ton brawury, ale i obrazy.

Imperator przeszedł do ataku. No, dobrze, wracamy do punktu wyjścia, pomyślał Gosseyn. Po chwili jednak wyczuł, że jest to całkiem inna odwaga i od razu sytuacja wydała mu się znacznie mniej groźna niż przedtem, w sali tronowej. Zupełnie jakby krótki pobyt chłopca w ciemności kapsuły po raz pierwszy od wielu lat wzbudził w nim... ostrożność.

- Wasza Wysokość - cicho rzekł Gosseyn. - Dopóki wasi naukowcy nie stwierdzą, jak działa twoja szczególna kontrola energii w tym konkretnym punkcie przestrzeni, proponowałbym ograniczyć używanie dodatkowej części mózgu do sytuacji, kiedy będzie to absolutnie konieczne.

Ku jego zdumieniu chłopak milczał. Czyżby znaczyło to, że zaczyna myśleć racjonalnie?

Odpowiedź na to pytanie ma zbyt wiele negatywnych aspektów, ponuro pomyślał Gosseyn. Ludzka kora mózgowa, gdzie, jak się uważa, zlokalizowana jest zdolność do rozumowania - a on osobiście wierzył, że tak jest - w normalnych warunkach potrzebuje osiemnastu lat na osiągnięcie pełnego rozwoju fizycznego.

Niestety, młody imperator mógł mieć najwyżej dwanaście lub trzynaście lat. Musi upłynąć jeszcze ponad pięć długich ziemskich lat, zanim jego mózg będzie w pełni dojrzały. Jednakże dwunastoletni chłopcy, choć impulsywni, potrafią się uczyć. Potrafią szybko przyswajając pomysły. A zwłaszcza można ich nauczyć opanowania.

Może ten chłopiec dopiero dziś dowiedział się, że czasami panowanie na sobą jest konieczne?

Gosseyn westchnął w duchu, choć myśli te w pewnym sensie dodały mu otuchy. Ponieważ, kiedy przypominał sobie tych przerażonych dworzan, służalczych wojskowych, a właściwie wszystkich, których do tej pory spotkał, musiał przyznać, że był już na to najwyższy czas.

Przez te kilka chwil, kiedy Gosseyn rozmyślał, chłopiec stał przed nim z lekkim grymasem na twarzy.

I cóż takiego mógłby uczynić Gosseyn Trzeci, aby w jakiś przyzwoity sposób ukierunkować tę dziwną kombinację odwagi i niedouczonej mocy umysłu, którą miał przed sobą w osobie młodzika, sprawującego, zgodnie z prawem, władzę nad stu

siedemdziesięciu ośmioma tysiącami ludzi na tym okręcie.

I nagle Gosseyn zrozumiał, skąd naprawdę bierze się jego niepewność: nie miał osobistych doświadczeń życiowych, które mogłyby mu podpowiedzieć, do czego zdolny jest taki dwunastolatek. Ani on, ani poprzedni Gosseynowie nie pamiętali swoich chłopięcych lat. Oczywiście, ponieważ jego poprzednicy byli na Ziemi i innych planetach zamieszkałych przez ludzi, widzieli dzieci w różnych okolicznościach i tyle Gosseyn Trzeci również pamiętał.

Niestety, ich obserwacje dotyczyły głównie dzieci podczas zabawy. Dzieci walczących o pierwszeństwo w sporcie. Nagle uświadomił sobie, że chyba o to właśnie chodzi. O rywalizację w różnego rodzaju grach. Tak, chyba o to chodzi.

Nie czekając, aż nie w pełni jeszcze ukształtowany mózg zacznie wyciągać niewłaściwe wnioski, depcząc jakąkolwiek etykietę, jaka otaczała tego superchłopca, Gosseyn bez pozwolenia przemówił:

- Jestem pewien, że potrafię wstrzymać oddech dłużej niż ty.

W sali zapanowała napięta cisza. Gosseyn Trzeci miał czas, aby uświadomić sobie, że wszyscy dorośli wokół niego zeszywnieli z zaskoczenia.

- Założę się, że nie - odpowiedział chłopiec i zaraz wciągnął potężny haust powietrza, napęniając nim płuca i wydymając policzki.

Gosseyn Trzeci w odpowiedzi natychmiast uczynił to samo.

Potem stali nieruchomo. Mężczyzna myślał z początku: „No dobrze, zyskałem minutę czy dwie, zanim... co?”.

Próba sił trwała dobrą chwilę, niosąc ze sobą znacznie ważniejsze implikacje: drugi mózg Gosseyna zmagał się z czymś, co prawdopodobnie było pewnym jego odpowiednikiem, który posiadało kilkoro ludzi (a może rodzin) w miejscu, z którego przybyli, a jednym z posiadaczy tej właściwości był chłopiec.

Z każdą mijającą sekundą Gosseyn coraz bardziej uświadamiał sobie, jak idiotycznie musi to wyglądać z boku. A jednak nikt nie odważył się interweniować, ponieważ w zawodach brał udział ich imperator.

Wszyscy stali równie nieruchomi, jak zawodnicy. Z trzydziestu kilkorga ludzi, nie licząc strażników stojących z tyłu, tylko trójka wydawała się z uwagą śledzić rozwój wypadków - choć i oni pozostawali w bezruchu.

Gosseyn spostrzegł, że Draydart i Cztery, jak również trzeci człowiek, stojący z boku, coś kombinują. Widać to było z ich twarzy. Kiedy zauważyli, że im się przygląda, odwrócili się. Po chwili trzeci dworzanin odwrócił się z powrotem i, umyślnie szukając kontaktu

wzrokowego z Gosseynem, poruszył ustami, jakby mówił: „Daj wygrać imperatorowi”.

Był to problem, który Gosseyn także zaczął już rozważać. Jak powinien postąpić z chłopcem? Szybkie spojrzenie na młodego imperatora upewniło go, że oczy już wychodzą mu z orbit, a twarz nabiera czerwonej barwy. Najwyższy czas coś zdecydować. Gosseyn wypuścił powietrze z cichym świstem. W ułamek sekundy potem chłopak uczynił to samo.

- Wygrałem! Wygrałem! - zawołał z zachwytem.

Gosseyn, obdarzony w pełni rozwiniętą korą mózgową -a przynajmniej tak mu się wydawało -już zaczął mieć wątpliwości. Kilkakrotnie zachłysnął się powietrzem, uśmiechnął na znak, że akceptuje porażkę i rzekł:

- Przywilej młodości. Założę się, że jest jeszcze kilka innych gier, w których mogę cię pokonać. Sympatyczna twarz dzieciaka wciąż jeszcze była wykrzywiona z braku powietrza, ale już się rozjaśniała.

- Na pewno nie pokonasz mnie w skrubu - oznajmił wreszcie. - Mama nie chce już ze mną grać, bo jestem dla niej za dobry.

- Zanim ci odpowiem, muszę zobaczyć, co to za gra - odrzekł Gosseyn. - Może jednak spróbujemy w nią zagrać później, kiedy już dostanę jakąś kwaterę i coś zjem - dodał. - W końcu najwyższy czas, aby zacząć mnie traktować jak gościa, nie jak więźnia. Zapewniam cię, że naprawdę chcę pomóc waszym naukowcom, na ile tylko będę w stanie.

Był to jedyny sposób, aby odsunąć w czasie niebezpieczeństwo. A jeśli mu się to uda, to tym lepiej.

Z radością stwierdził, że wszyscy wokoło odczuli tę samą ulgę, kiedy chłopiec powiedział:

- Jasne, niech będzie później.

I młody imperator zwrócił się do człowieka, który przed chwilą szepnął Gosseynowi, aby pozwolił mu wygrać:

- Breemeg - rzekł chłopięcym, ale stanowczym głosem -znajdź mu kwaterę w... - kolejne nowe słowo, które brzmiało jak „Palomar”. - A kiedy już się posili, przyprowadź go do... Miejsca.

Tak brzmiało ostatnie wypowiedziane przez chłopca: Miejsce.

Dworzanin Breemeg skłonił się.

- Tak jest, Wasza Wysokość, natychmiast się tym zajmę. Młody imperator już się odwracał, by wyjść.

- Ja też tam będę - dodał.

Gosseyn stał spokojnie z pozostałymi, dopóki chłopiec nie zniknął w alkuwie.

VI

Do... Palomar... ruszyli niemal pędem. Wydawało się, że jego przewodnik, wytworny Breemeg, również zdawał sobie sprawę, jak wszyscy inni przed nim, że im szybciej załatwią sprawę, tym lepiej.

Biegli zatem długim korytarzem. Pomimo to Gosseyn miał czas spojrzeć na swego towarzysza. W ostrym profilu Breemega dominował ten sam spiczasty, nieco zbyt duży nos, charakterystyczny dla tych ludzi. Kolor skóry przypominał ziemską białą rasę, ale coś w nim było odmiennego - wydawał się zbyt biały, jakby bezkrwisty. Strzecha złocistych włosów na czubku głowy stanowiła chyba cechę fizyczną tego typu urody, właściwego dla części osobników - drugi typ miał bardzo ciemne włosy, jak Cztery.

W tej chwili Breemeg miał zaciśnięte szczęki i zwężone oczy, jakby myślał o czymś wyjątkowo nieprzyjemnym.

Gosseyn, nie mogąc wiedzieć, co to za myśli, dopóki nie zostaną przyobleczone w słowa, resztę drogi przebył w dość beztroskim nastroju. Nie był też zaskoczony, gdy Breemeg wprowadził go przez drzwi do... tak, to musiał być...

Palomar!

Pierwsze wrażenie: ogród pod dachem. Małe drzewka. Krzewy. Coś w rodzaju trawy. Prawdopodobnie była to mała cieplarnia na pokładzie olbrzymiego okrętu.

Zauważył jeszcze znacznie wyższy sufit, na pół ukryte drzwi, nie jedne, lecz całe tuziny, częściowo widoczne pośród krzewów. Drzwi znajdowały się po drugiej stronie ogrodu, a po drodze, głównie z lewej strony - choć widział jedynie przebłyki - lśniła woda.

Basen? Nie mógł być tego pewien, ponieważ niemal dokładnie w tym samym momencie, kiedy wraz z Breemegiem przekroczyli podwójne drzwi, dworzanin powiedział:

- Proszę, panie Gosseyn, teraz zna pan już problem, dręczący dorosłych na pokładzie okrętu flagowego floty Dzan. Musimy spędzać całe dnie na obrzydliwym, nędznym, skandalicznym przymilaniu się młodemu szaleńcowi, który potrafi umysłem kontrolować śmiercionośną energię.

Nieoczekiwana uwaga - tak. Ale właściwie nie do końca nieoczekiwana. Wcześniejsi Gosseynowie widywali takich sługusów i obserwowali ich. Dlatego teraz, słysząc te gorzkie słowa, Gosseyn jedynie w milczeniu pokręcił głową i pomyślał: Zdaje się, że zaraz spróbują wciągnąć mnie w intrygi jakiejś grupy oporu... a odpowiedź, dana w duchu semantyki ogólnej, powinna brzmieć... no właśnie, jak?

Oczywiście tak, aby przeżyć.

Myślał: Przecież jestem tu, na tym okręcie... zdecydowałem się zostać, nie po to, aby brać czyjąś stronę, albo zawierać przyjaźnie, lecz po to, aby dowiedzieć się, co się stało, że ludzie ci znaleźli się w pobliżu kapsuły, w której spokojnie czekałem sobie w stanie zawieszonożego życia...

Powinno to pozostać dla niego najważniejszą sprawą, ważniejszą niż wszystkie problemy szlachty Dzan z ich monarchią. Chyba, że...

Dobrze byłoby pamiętać, że wyciągnięty z kapsuły więzień, Gilbert Gosseyn, właśnie uzyskał nową informację: ktoś, a może nawet cała grupa, nienawidził władzy imperialnej tak bardzo, że teraz ujawnił swą nienawiść, by wykorzystać nowo przybyłego przeciwko imperatorowi.

A jeśli teraz okaże się, że przybysz nie zamierza się w to mieszać, co zrobią spiskowcy?

Czy uznają za stosowne zamknąć mu usta?

Było to możliwe, ale mało prawdopodobne. Gdyby bowiem byli zdolni do morderstwa, łatwiej byłoby im zamordować chłopca i rzucić winę na tego dziwnego, tajemniczego osobnika, który został sprowadzony na pokład wbrew radom tych, ech, spiskowców. Tak mogłoby być.

Gosseyn zdał sobie sprawę, że uśmiecha się ponuro. Prawda była taka, że rozwój wydarzeń według tego scenariusza wymagał czasu. A zatem, najlepiej zrobi stawiając kilka pytań.

Pierwsze, jakie zadał, wydawało się bardzo mało związane z celem, jaki sobie stawiał, jednak również było ważne.

- Co się stało z ojcem młodego imperatora?

Zanim dokończył, znaleźli się przed kolejnymi drzwiami. Słowa Gosseyna musiały jednak wywrzeć pewien skutek, gdyż Breemeg przystanął, podnosząc jednocześnie rękę i kładąc ją ostrzegawczo na ramieniu towarzysza.

Gosseyn przyjął dotknięcie jako sygnał, aby przystanąć. Zatrzymał się zatem i powoli odwrócił twarzą do Breemega.

- Przypuszczam, że chłopak odziedziczył tron po zmarłym rodzicu - dodał, jakby w uzupełnieniu do poprzedniego pytania.

Mówiąc, uważnie obserwował twarz Breemega. Zobaczył, jak wąskie wargi zaciskają się jeszcze mocniej, a potem nagle cofają, przekształcając się we wściekły, wilczy grymas.

- Ten sukсын! - chrapliwie warknął Breemeg.

Ta odpowiedź nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Dworzanin ujawnił swe uczucia w tak gwałtowny sposób, że w dalszych poczynaniach należało brać je pod uwagę.

Gosseyn czekał w milczeniu na jakiegokolwiek wyjaśnienie, które mogłoby rzucić nieco światła na przyczynę tak silnych emocji w stosunku do zmarłego ojca władcy. Bez tych wyjaśnień nie będzie łatwo pokonać dwoistość uczuć tego człowieka, który z jednej strony okazał się przepełniony nienawiścią, a z drugiej postępował jak ugrzeczniony, czujny dworzanin, proszący Gosseyna, by pozwolił chłopcu wygrać.

Oczywiście, równie trudno będzie stwierdzić, jak rozwiązać ten problem, nawet za pomocą semantyki ogólnej. Każde rozwiązanie wymagało, aby stosująca je osoba знаła sytuację.

Minuty mijały, a Breemeg wciąż stał i patrzył. Gosseyn uznał, że najwyższy czas zrobić coś praktycznego, co nie miałoby nic wspólnego z paraliżującą dworzanina emocjonalną rzeczywistością. Zadał więc oczywiste i bardzo praktyczne pytanie:

- Ile mam czasu, zanim będę musiał iść do Miejsca?

- Uch! -jęknął Breemeg.

Gdyby to było możliwe, pobladłby chyba jeszcze bardziej. Wydawało się, że wynurza się z jakiejś bezdennej przepaści własnego wnętrza i wraca do otaczającego go świata. Uścisk na przegubie Gosseyna zacieśnił się. Breemeg pociągnął go w stronę drzwi, które mieli przed sobą. I nagle - ot tak, po prostu -ugrzecznienie wróciło.

- Wejdzmy lepiej do środka - przemówił Breemeg dworzanin. - Musisz szybko coś zjeść. Jego Wysokość nie lubi czekać... jak zresztą wiesz. - Wolną ręką otworzył drzwi, dotykając czegoś, co mogło być odpowiednikiem zamka, bądź automatycznej blokady.

Drzwi otwarły się do wewnątrz. Gosseyn jednym spojrzeniem objął pokrytą dywanem podłogę, zieloną kanapę i wielki zielony fotel, a obok niego stoły. Zza nich ozwał się nagle Głos Dwa:

- Proszę wejść, proszę, panie Gosseyn, wszystko już przygotowaliśmy.

W pewnym sensie był zaskoczony pojawieniem się starych znajomych, ale zanim minął próg, dotarło już do niego, dlaczego Głos Dwa używał liczby mnogiej. Najpierw zatem zobaczył Głos Dwa, a po chwili, przez drugie drzwi, wiodące do mniejszego pomieszczenia, Głos Jeden i od razu pojął, że będzie go otaczała jedynie ścisła grupa osób, które już go znają.

Rzucił Głosowi Dwa „cześć” i pomachał Głosowi Jeden. Przez cały czas czuł za plecami obecność Breemega i nie zdziwił się, gdy ten przemówił tonem zwierzchnika zwracającego się do podwładnego:

- Panie Onda, co pan przygotował dla naszego gościa? Wreszcie pozna nazwiska. A

raczej, jedno nazwisko. Dobre i to.

Głos Dwa - Onda - odrzekł usłużnym tonem:

- Panie, przeanalizowaliśmy skład chemiczny płynów odżywczych w kapsule naszego... hm... gościa i przygotowaliśmy zupę, która zawiera przynajmniej część składników, jakie odkryliśmy.

Był cięższy od Głosu Jeden, ale miał węższą, dłuższą głowę, podczas, kiedy twarz tamtego była niemal kwadratowa. Onda był też starszy. Teraz dodał przepaszająco:

- Przygotowanie czegoś bardziej konkretnego zajęłoby kilka godzin.

Breemeg przyjął wyjaśnienie krótkim skinieniem głowy, które promieniało władczą wyrozumiałością, po czym ujął Gosseyna pod ramię.

- Pokażę ci twoją kwaterę - rzekł.

Było to pierwsze słowne potwierdzenie, że znajdują się w miejscu, gdzie Gosseyn prawdopodobnie będzie mieszkał przez cały okres pobytu na okręcie. Na razie Gosseyn wolał się nie zastanawiać, jak długo to będzie trwało. Tę decyzję będzie musiał podjąć wspólnie ze swym odległym *alter ego*.

Breemeg oprowadził go szybko po apartamencie, składającym się z sypialni z przyległą łazienką, niewielkiego pomieszczenia łączącego funkcję gabinetu i jadalni - przynajmniej tak nazwał je w myśli Gosseyn: przyszedł mu na myśl gabinet, kiedy zobaczył coś, co przypominało ekran tv, oraz różne inne urządzenia elektroniczne rozmieszczone bądź to na ścianie, bądź na półkach. Było tam również biurko, fotel, a z drugiej strony lśniący stół, który zapewne służył do spożywania posiłków. Otaczały go ustawione w równych odstępach krzesła.

Przypuszczał, że jego określenia odzwierciedlały ziemskie zrozumienie tych spraw, ale apartament również przypominał inne mieszkania, z których korzystali ludzie w całym Układzie Słonecznym. Podobieństwo rozciągało się nawet na czwarte pomieszczenie, które wyglądało jak kuchnia, z blatem stanowiącym płytę do gotowania, niewielkim stołem i stojącym obok krzesłem, na którym Głos Jeden postawił już miskę z parującą, zielonobrazową zupą.

Były tam również inne przedmioty, półki, szuflady. Jedyne zupa wydawała się czymś tak oczywistym, iż gdy tylko Onda wskazał mu miejsce przy stole, Gosseyn usiadł całkiem automatycznie, ani przez chwilę nie spodziewając się żadnych niemiłych niespodzianek.

Dlatego słowa, jakie usłyszał wygłoszone zaraz potem, spowodowały u niego pewien wstrząs. Było to pytanie, zadane przez Ondę:

- Panie Breemeg, zanim zajmiemy się innymi sprawami, czy może pan skomentować

awarię, o której mówiliśmy wcześniej, a która ma związek z panem Gosseynem?

Dworzanin, który stał z boku, postąpił krok w przód:

- Mówisz o zerwanym połączeniu?

- Tak, proszę pana.

Pauza.

Semantyko ogólna, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję? - żałośnie pomyślał Gosseyn.

Czuł, że nieoczekiwane sytuacje na tym statku i wśród tych ludzi nie mają końca. Awaria! Zerwane połączenie! - mgliste, nieprzyjemne wrażenie, przy czym na jego wyjaśnienie można było wyłącznie czekać.

Breemeg stanął po przeciwnej stronie stołu i przyglądał mu się uważnie.

- Czy uważasz, że jesteś zdrowy? - zapytał. - Nie czujesz żadnej słabości, żadnego braku? Jak reagujesz na tak wzmożoną aktywność po latach pozostawania w stanie zawieszzonego życia?

Z pozoru wydawało się, że to całkiem rozsądne pytanie i Gosseyn poczuł pewną ulgą. Rozsądne - z wyjątkiem negatywnego wydźwięku słów „awaria” i „zerwane połączenie”.

Myśląc o tym rzekł nieśmiało:

- Wydaje mi się, że jestem w dość dobrej kondycji fizycznej. Dlaczego pytacie?

Breemeg skinął głową Ondzie.

- Ty mu powiedz.

Wyższy z dwóch naukowców - gdyż Gosseyn przypuszczał, że są naukowcami - również skinął podłużną głową i wyjaśnił:

- Jedno z połączeń systemu podtrzymywania życia wewnątrz kapsuły było porwane. Badanie obu rozerwanych części - z których jedna podłączona była do zakończenia nerwowego na karku, wykazało, że uszkodzenie nastąpiło dawno temu. A zatem... - wzruszył ramionami - coś, co według czyjegoś mniemania było potrzebne, aby utrzymać cię w dobrym stanie w tym zamknięciu, nie było ci dostarczane od wielu lat. - Nic nie zauważyłeś?

Gosseyn zdążył już przeprowadzić szybką urny słowa inwentaryzację swych działań od chwili przebudzenia; dzięki semantyce ogólnej mógł zatem nie powtarzać tej czynności teraz, gdy padło bezpośrednie pytanie. Po prostu kręcił głową.

- Czuję się rzeński i silny.

- Cóż - odparł Onda z lekkim powątpiewaniem w głosie. -Trudno mi uwierzyć, że konstruktorzy takiego sprzętu objęliby nim coś, co nie było potrzebne do podtrzymania procesu życiowego. Tak więc... - wyprostował korpulentny korpus - możemy tylko poradzić ci, abyś natychmiast nas poinformował, jeżeli poczujesz się źle. Może uda nam się jakoś ci

pomóc.

Gosseyn skinął głową.

- To chyba leży w moim interesie.

- Wydaje mi się, że to było urządzenie elektryczne - wtrącił Głos Jeden po raz pierwszy od chwili, gdy stanął w drzwiach. Jakiś stymulator nerwowy, czy coś takiego.

Gosseyn zauważył, że Breemeg zaczyna się niecierpliwic. Ponieważ już wcześniej spostrzegł, że obok miski leży plastikowa rurka centymetrowej grubości i około dziesięciocentymetrowej długości, wziął ją do ręki.

To, co ssał, miało smak, który wcześniejsi Gosseynowie mogliby określić jako pomyje, z lekkim posmakiem słodczy soku pomarańczowego i odrobiną tłuszczu.

Okazało się, że jego żołądek pomieścił całą zawartość miski. Skoro tylko wysączył ostatnie krople, spojrzał w górę i zobaczył, że Breemeg już na niego kiwa.

- Panie Gosseyn, idziemy! - zawołał.

Miejsce okazało się kolejnym ogrodem, wiodącym do kolejnych, ale bardziej ozdobnych drzwi. Tym razem jednak otworzył im sam imperator, który widocznie został wezwany dźwiękiem dzwonka, bądź innym sygnałem nadanym przez Breemega.

Gosseyn zauważył, że dworzaniin nerwowo przetyka ślinę -jego grdyka poruszyła się w górę i w dół. Zanim jednak zdołał odzyskać swój oficjalny, niewzruszony wygląd, chłopiec odprawił go krótkim:

- Możesz odejść, Breemeg. Zajmę się naszym gościem, dziękuję.

Skinął ręką na Gosseyna. W chwilę potem drzwi zamknęły się przed nosem Breemega, który teraz albo się wściekał, albo cieszył, że wreszcie może odejść.

VII

Gosseyn podążył za małym imperatorem do obszernej, ze smakiem urządzonej komnaty. Zauważył jednak że tu, tak jak w apartamencie Palomar, elegancję, aczkolwiek znacznie bardziej wyszukaną, podporządkowano *wymogom* lotu kosmicznego.

Kanapy, fotele i stoły były przymocowane do podłogi. Przez miękki dywan pod stopami czuł twardą, stalową powierzchnię.

Był zdumiony tym, że chłopiec pozostawał tu sam. Żadnej służby, ani śladu matki, ani strażników. Wokoło widać było kilkoro zamkniętych drzwi, ale spoza żadnych nie dobiegał najmniejszy nawet dźwięk.

Młody imperator poprowadził go w stronę czegoś, co wydawało się ozdobną ścianą. Gosseyn nie był zdziwiony, gdy ściana okazała się w istocie polem gry o nazwie skrub.

Co ja tu robię? - pomyślał z rozpaczą.

Oczywiście wiedział, co tu robi. Uniknął niedawno konfrontacji z szalonym dzieciakiem dzięki temu, że wciągnął go do zabawy. A teraz chłopiec niecierpliwie pragnął wyjaśnić mu znaczenie lśniącej powierzchni ściany, gdzie po naciśnięciu odpowiedniego elementu, fragment powierzchni zmieniał kolor. Gra polegała na ustawieniu elementów tego samego koloru przez całą długość tablicy w pionie lub poziomie. Zwycięzcą zostawał gracz, który zrobił to jako pierwszy.

Po rozegraniu partii, naciśnięcie kolejnego elementu z boku tablicy odtwarzało planszę, a przycisk kontrolny konfigurował nową, ukrytą zwycięską linię i zwycięski kolor.

Młody imperator wyjaśnił, że sekwencja zmieniających się kolorów dekoracji zawiera podpowiedzi. Jeśli ktoś był sprytny, mógł bez trudu je odczytać i zorientować się, jaki kolor zwycięży jako następny i w jakim kierunku należy ustawiać elementy.

Gosseyn był sprytny i po trzech przegranych rozgrywkach wiedział już, jak pokonać zachwyconego przeciwnika. Postanowił to zrobić.

Reakcja chłopca na zwycięstwo Gosseyna była zaskakująca: obrócił się na pięcie i popędził na drugą stronę pokoju, potykając się o stoły i krzesła. Dobiegł do pięknie zdobionych błękitnych drzwi, zabębnił w nie pięściami, i krzyknął:

- Mamo, mamó, on mnie pokonał!

Po chwili ciszy drzwi otworzyły się powoli. Pojawiła się w nich młoda kobieta, a przynajmniej Gosseyn przypuszczał, że jasnowłosa istota, odziana jak mężczyzna, w mundur, a właściwie spodnie i luźną, barwną bluzę, bez kurtki... że ta delikatna istota naprawdę jest

tak gwałtownie przyzywaną matką chłopca.

Rzeczywiście, kiedy się odezwała, jej głos był kobiecy i melodyjny.

- Panie, Enin mówił mi o tobie, choć nie zapamiętał twojego imienia.

Gosseyn przedstawił się i dodał:

- Chyba mogę pokazać imperatorowi, na czym polegają podpowiedzi prowadzące do zwycięstwa. Oczywiście część już zna - ciągnął - ale jest jeszcze kilka innych, specjalnych.

Mówiąc to, jednocześnie przyglądał się jej smukłej sylwetce i spokojnej twarzy o regularnych, wyrazistych rysach. Uznał, że gdyby matkę imperatora porządnie ubrać w jedwabie albo przynajmniej w sukienkę, byłaby prawdziwą pięknoscią.

Zwrócił również uwagę na imię, którym nazwała syna: Enin. Naprawdę szybko zdobywam informacje na tym statku i to od samej śmietanki towarzyskiej - pomyślał. Może właśnie to powinien teraz robić: drążyć, zbierać szczegóły.

- Dość już gry, Eninie - odezwała się znów kobieta. - Czas na lekcje. Idź, kochanie. - Pochyliła się i pocałowała chłopca w policzek. - Zostaw tu pana Gosseyna, chciałabym z nim porozmawiać.

- Dobrze, mam - posłusznie odrzekł chłopiec. Spojrzał na Gosseyna i szepnął niemal błagalnie: - Panie Gosseyn, nie będzie pan sprawiał kłopotów?

Gosseyn z uśmiechem pokręcił głową.

- Jestem teraz twoim przyjacielem i towarzyszem zabaw. Mała buzia rozjaśniła się.

- Ojejku! Ale się będziemy bawić! - Uszczęśliwiony, spojrział na matkę. - Mam, traktuj go dobrze.

- Będę go traktować tak, jak traktowałam twojego ojca - obiecała kobieta.

- A niech to - chłopiec zadrżał. - Czy to znaczy, że wy... że ty i pan Gosseyn pójdziecie do sypialni, zamkniecie drzwi i nie będziecie wychodzić przez całą godzinę, tak jak kiedyś z tatą?

Nim zdołała odpowiedzieć, chłopak zwrócił się do Gosseyna.

- Panie, jeśli cię zabierze do swojego pokoju, opowiesz mi potem, o czym rozmawialiście?

- Tylko wtedy, jeśli twoja matka na to pozwoli - odparł Gosseyn. - Czy ty opowiadałbyś komuś o prywatnej rozmowie?

- O do licha!

- Obejmuje to również wszystko, o czym my będziemy rozmawiać - ciągnął Gosseyn.

- Ja na przykład... nigdy nie opowiem nikomu, że cię pokonałem w skrub, jeśli ty na to nie pozwolisz.

- Ach! - chłopiec urwał, ale z miny widać było, że się zgadza. - To chyba ma sens. Matka wzięła go za rękę.

- Dobrze, kochanie, znikaj już - podprowadziła go do brązowych drzwi na ścianie po prawej stronie, otworzyła je i zawołała do kogoś, kto widocznie znajdował się za nimi. - Przyszedł twój uczeń. Czas na lekcje.

Nietrudno było wyobrazić sobie reakcję nauczyciela na te słowa. Kimkolwiek był, na pewno nie czuł się swobodniej w obecności swojego ucznia niż na przykład Breemeg, czy inni dworzanie. Chyba, że...

Czy to możliwe, aby w tym sektorze okrętu, zwanym Miejscem, chłopak prowadził normalne, rodzinne życie? Tu, pod okiem kochającej matki, akceptowanej jako autorytet?

Nie widział tutaj jednak nic, co mogłoby mu się przydać w dalszych badaniach. Nic... „Przerzucają mnie z jednej nic nie znaczącej scenki do drugiej”. Właściwie ciągle jeszcze nie wiedział prawie nic.

Co mógłby jeszcze zrobić? Był tylko przedwcześnie przebudzoną kopią Gilberta Gosseyna. Oczywiście, musiał istnieć jakiś poważny powód, dla którego Dzan go odkryli. Przypuszczalnie jednak Gosseyn Drugi będzie w stanie zająć się wszystkimi badaniami, niezbędnymi, aby zrozumieć, dlaczego ci ludzie znaleźli się właśnie tu i właśnie teraz.

Niestety, dziś, kiedy już odzyskał świadomość, dobrowolny powrót do kapsuły - a była to jedna z dostępnych możliwości - nie wydawał mu się zachęcającą perspektywą.

Był więc tylko niepotrzebnym Gosseynem, który -jeśli zdoła - postara się pozostać tu jeszcze przez chwilę, ale lepiej będzie, jeśli poważniejsze sprawy pozostawi swojemu poprzednikowi.

- Co o tym myślisz, Gosseynie Drugi? - spytał w myślach. Odpowiedzi, która pojawiła się w jego umyśle, zdawał się towarzyszyć lekki uśmiech:

- Drogi *alter ego*, znalazłeś się w centrum największego czasoprzestrzennego wydarzenia tej galaktyki, a ja siedzę tu, daleko, z kilkorgiem ważnych przyjaciół, i obserwuję wszystko na odległość. Muszę ci powiedzieć, że Enro wydaje się bardzo zdenerwowany tym, co się zdarzyło. Chętnie użyłby naszej metody transportu, aby się tam pojawić i porozmawiać z tamtymi ludźmi. Do tej pory sprzeciwiałem się temu pomysłowi, ale nawet Crang chciałby cię odwiedzić. Może teraz, kiedy zawarłeś już przyjaźń z imperatorem i jego matką, można będzie coś załatwić...

- O ile wiem, byliby zainteresowani taką wizytą - przyznał Gosseyn Trzeci w myśli. - Może jednak nie teraz.

- My tutaj też nie jesteśmy przekonani, czy to na pewno dobry pomysł. Musimy to

jeszcze przedyskutować.

Gosseyn Trzeci nie podjął tematu. Ta rozmowa umysłów była dość krótka, ale i tak matka władcy miała dość czasu, aby zamknąć drzwi klasy, i podejść do niego.

Wydawało się, że to całkiem normalna chwila w czasie i przestrzeni. Gosseyn przyglądał się kobiecie przez chwilę i przyszła mu do głowy prosta, nieskomplikowana myśl.

- Pani - rzekł przeproszającym tonem. - Wydaje mi się, że powinienem poprosić kogoś, aby odprowadził mnie do apartamentu i został tam, dopóki twój syn nie będzie mnie znów potrzebował.

Młoda kobieta przystanęła, zanim jeszcze skończył mówić i teraz przyglądała mu się z dziwnym wyrazem twarzy, w którym czaił się również cień uśmiechu.

- Lekcja potrwa jakąś godziną - powiedziała szybko.

Była Pierwszą Damą tego królestwa, więc dlaczego czuła się zobowiązana do wyjaśnień? Zauważył jednak, jak znakomicie posługiwała się językiem angielskim. Ale nie spyta jej, skąd tak dobrze zna język. To sprawa naukowców. Później się tym zajmę.

Rozważył wszystko, co do tej pory usłyszał, i wywnioskował, że ojciec chłopca zmarł, gdy dobiegał czterdziestki, oczywiście, według ziemskiej rachuby czasu. Prawdopodobnie wdowy po imperatorach Dzan nie dziedziczą władzy po mężu.

Ta przelotna myśl urwała się, i to z całkiem nieoczekiwanej przyczyny, gdyż młoda kobieta rzuciła z ożywieniem:

- Jesteś pierwszym mężczyzną, przy którym Enin zachował się tak, jak normalny chłopak zachowuje się przy ojcu. Ciekawa jestem, teraz, kiedy już cię zobaczyłam, czy ożeniłbyś się ze mną i spróbował zrobić dla niego to, czego, jak widać, nie potrafi nikt inny?

Przez umysł Gosseyna przemknęła niespokojna myśl; była to ta sama myśl, która nawiedziła go już wcześniej, teraz jednak nabrała całkiem innego znaczenia: Teraz zaskoczyła mnie kompletnie. Czuję się tak, jakbym dał się zrobić w coś, w co nie powinien dać się zrobić nikt szkolony w semantyce ogólnej.

W istocie po prostu nie był przygotowany na taką propozycję.

Czy odmowa, a nawet wahanie przed udzieleniem odpowiedzi, nie zostanie potraktowana jak śmiertelna obraza? Istnieją tacy mężczyźni, którzy natychmiast przyjęliby wszelkie dobrodziejstwa, jakie daje taka sytuacja. Jednak ludzie szkoleni w semantyce ogólnej do nich nie należeli.

Na razie jednak wznosił pierwszą barierę.

- Wasza Wysokość, zaszczyt, jakim mnie obdarzasz, może nie być rozsądnym krokiem z twojej strony. Czy moglibyśmy najpierw przedyskutować następstwa, jakie taki

mariaż mógłby mieć dla ciebie i twojego syna?

Młoda kobieta uśmiechnęła się. Wydawało się, że nie zauważyła, iż w istocie dostała kosza.

- To bardzo rozumna uwaga - odparła. - Nie bierzesz jednak pod uwagę faktu, że mijają dwa lata od czasu, gdy mój ukochany mąż został zabity. Zanim zatem rozpoczniemy dyskusję na temat dalszych aspektów tej sytuacji, chciałabym, abyś wstąpił do mojej sypialni, która, jak wiesz - skinęła głową w stronę błękitnych drzwi po lewej - znajduje się obok tego salonu.

Poderwała się z miejsca.

- Bardzo chciałabym kochać się z tobą, bo jesteś pierwszym mężczyzną, który od jego śmierci obudził we mnie pożądanie. Chodź!

Zatrzymała się dwa metry od niego. Potem podeszła i położyła mu rękę na ramieniu. Gosseyn bez oporu pozwolił poprowadzić się we wskazanym kierunku, a w głowie czuł gonitwę myśli:

Semantyka ogólna raczej nie obejmuje problemów związanych ze stosunkami damsko-męskimi. Od niepamiętnych wieków ziemscy mężczyźni odczuwali gwałtowną potrzebę zaspokojenia seksualnego. Oczywiście, zaspokajali tę potrzebę z wieloma kobietami. Z reguły jednak dany mężczyzna czuje pociąg do kobiety w swoim wieku lub młodszej, która, zgodnie z teorią psychologiczną, gdzieś w najgłębszych zakamarkach umysłu przypomina mu własną matkę. Stąd młoda kobieta, która wzbudziła miłość, stawała się dla niego obsesją. Zanim uczucie ostygło, musiała zrobić dla niego wiele, bynajmniej nie macierzyńskich rzeczy. Zdarza się też, że pojawiają się kolejne kobiety, które jeszcze bardziej przypominają mu matkę, a wtedy, rzecz jasna, jego potrzeby są jeszcze lepiej zaspokojone.

Niestety, ciała Gosseynów nigdy nie miały matki, a przynajmniej nie w tej galaktyce. Na pewno kiedyś, milion lat temu, przed Wielką Wędrówką, przyszło na świat dziecko zrodzone w naturalny sposób. Być może nawet wczesna więź tamtego dziecka z matką sprzed wielu, wielu, wielu lat wciąż jeszcze pozostawała w podświadomości. Teraz jednak trudno byłoby mu odróżnić, które z uczuć odnoszą się do tamtej, pradawnej matki, a które są produktem świadomości, że mężczyzna w zasadzie powinien mieć związek z kobietą.

Niewiarygodne, ale pierwsza okazja do nawiązania takiego stosunku znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Jeśli o to chodzi, jeszcze raz zauważył, że kobieta jest piękna i ma wspaniałe ciało. I wtedy stwierdził, że jej kolejna wypowiedź jest równie niezwykła, jak poprzednia.

- Przypominasz mi mojego ojca. Teraz jestem całkowicie pewna, że znalazłam

najlepszego na świecie mężczyznę, nie tylko dla Enina, lecz również dla mnie.

W chwilę później znaleźli się za otwartymi do tej pory błękitnymi drzwiami, a ona zamykała je za sobą.

Usłyszał tylko lekki trzask zamka.

VIII

Gosseyn Trzeci ze smutkiem doszedł do wniosku, że nie jest to jeden z najbardziej chwalebnych momentów historycznych.

Superman - w obecnym wszechświecie określenie to dziwnie pasowało do Gosseyna - zmuszany przez humanoidalną samicę do wzięcia udziału w czymś, co na oko wydaje się normalnym aktem płciowym. Supermen opiera się, nie chce skorzystać z okazji, choć jest samotnym mężczyzną bez zobowiązań. Co ważniejsze, również żaden ze znanych mu własnych poprzedników nie miał takich zobowiązań, ani też... o ile nie zawiodła go wspólna pamięć... nie miał do tej pory intymnego stosunku z kobietą.

Tylko dwie z żyjących kobiet miały okazję nawiązać taki stosunek z Gosseynem: Leej i dawna Patricia Hardie, choć i tak do niczego nie doszło. Może ta ostatnia byłaby w stanie wyjaśnić, dlaczego nic się nie zdarzyło tej nocy, którą spędziła sam na sam z Gilbertem Gosseynem Pierwszym we własnej sypialni.

Pogrążony w tych ulotnych, wyrywkowych rozważaniach Gilbert Gosseyn Trzeci, za którym właśnie zatrzasnęły się drzwi sypialni, skontaktował się ze swoim *alter ego* po drugiej stronie wszechświata.

- Panie Gosseyn Numer Dwa, mógłbyś poprosić Patricję Hardie, by ci to wytłumaczyła?"

Miał nadzieję, że uzyska jakieś dane, które pozwolą mu poradzić sobie w trudnej sytuacji. Natychmiast też uświadomił sobie coś jeszcze: wszystkie intymne rzeczy, które będzie robił z drugą osobą, zostaną natychmiast zarejestrowane przez umysł Gosseyna Drugiego.

To była dodatkowa przeszkoda, uniemożliwiająca bliskie stosunki z kobietami. Muszą więc uzgodnić między sobą pewne zasady, na przykład: Nie będę patrzył, ale ty też nie podglądaj... i tak dalej.

W czasie, kiedy dochodził do tych wniosków, Gosseyn Drugi przepytował dawną Patricję Hardie. Wreszcie „głos” Patricji przemówił przez mózg Gosseyna Drugiego. Wydawała się odrobinę rozbawiona, jakby dotknęli tematu, o którym nigdy wcześniej nie pomyślała, a szkoda, bo mogłaby uznać go za zabawny.

- Sprawdź wspólną pamięć Gosseynów, a wtedy zorientujesz się, że przez cały czas wszyscy znajdowaliście się w stanie ogromnego napięcia - powiedziała - a ja, choć inne osoby o tym nie wiedziały, byłam siostrą Enra, co automatycznie narzucało pewne ograniczenia

zachowania. Poza tym znałam już Eldreda; fascynacja semantyką ogólną sprawiła, że był dla mnie kimś szczególnym. Powinnam chyba również dodać, że Gilbert Gosseyn Jeden zawsze wydawał mi się kimś bardzo opiekuńczym, na kogo mogłam liczyć.

Teraz, kiedy mamy Gosseyna Numer Dwa i Trzy - ciągnęła - i obaj żyją, zauważyliśmy, że Pierwszy Gosseyn był w istocie zupełnie inną istotą ludzką, a to, że dalsi Gosseynowie, jego cielesne kopie, posiadają jego wspomnienia, to fakt niewątpliwie interesujący, a nawet fascynujący. Jednak biorąc pod uwagę to wszystko, musicie przyznać, że noc, którą spędziliśmy razem, nie sprzyjała intymnej więzi.

Chyba znów się uśmiechała, gdy kończyła:

- Jakoś nie mogę zmusić się do tego, by ci współczuć z całego serca w tej trudnej sytuacji. Przyszło mi jednak do głowy, że jeśli to semantyka ogólna spowodowała, że nie skorzystał z okazji, mamy kolejny standard moralny na świecie. Jak wiecie, we wszechświecie jest wielu wspaniałych mężczyzn, którzy mają własną moralność i niezłomne zasady, powstrzymujące ich od popełniania niegodnych czynów. Cieszę się, że tak jest.

Wywód byłej Patricii Hardie był przydługi, ale ogólnie rzecz biorąc, przekonujący, a przynajmniej tak wydawało się Gosseynowi Trzeciemu. A czas, jaki poświęciła na jego wygłoszenie, umożliwił mu spojrzenie w głąb własnych zasad.

Jasne - pomyślał. - Ma rację.

Wydawało mu się, że znalazł wreszcie korowe rozwiązanie. I stał teraz u wejścia do pokoju, który już na pierwszy rzut oka okazał się luksusową sypialnią. Stał i leciutko kręcił głową, patrząc na kobietę, która, zwrócona ku niemu bokiem, obserwowała go przez ramię.

- Mój światopogląd, jak również moje poczucie obowiązku wobec ciebie nie pozwalają mi skorzystać z przyjaznych uczuć, jakie do mnie żywisz - powiedział.

Ale właściwie było już trochę za późno na odmowę. Kobieta zdjęła już tę dziwną, niekobiecą tunikę, odsłaniając przejrzystą bieliznę i piersi. Obróciła się całkiem i stanęła przed nim. Trudno było mu określić, czy wyraz jej twarzy i lekko pochylone ku niemu ciało nie świadczyły przypadkiem o głębokim szoku.

- Twój światopogląd? - powtórzyła jak echo. - Chcesz powiedzieć... religia?

- To się nazywa semantyka ogólna - odparł tak beznamiętnym tonem, na jaki tylko było go stać.

- I... - wyprostowała się - ...ona zabrania uprawiania seksu bez ślubu?

Ponieważ semantyka ogólna w zasadzie nie zabraniała w sposób wyraźny seksu w żadnej sytuacji, Gosseyn miał wrażenie, że jego rozumowanie poddawane jest ciężkiej próbie i szybko poniesie klęskę. Zachował jednak spokój.

- Adept semantyki ogólnej, pani - oświadczył - szkolony jest, aby brać pod rozwagę większy zakres rzeczywistości niż osoba bez takiego szkolenia.

Muszę przyznać - kontynuował - że w tej chwili nie jestem w stanie podać ci choćby jednego z wszystkich możliwych czynników, jakie kobieta-semantyk mogłaby brać pod uwagę, stawiając opór własnemu instynktownemu zachowaniu jako dobra matka i była imperatorowa, a obecnie również wdowa. Na szczęście, są inne powody, aby nie działać w tej sytuacji zbyt pochopnie.

Kobieta słuchała go uważnie. Teraz jednak pokręciła głową, jakby z naganą.

- Czy był to typowy, rozwlekły przykład codziennych rozmów... - zawahała się - ...semantyków?

Gosseyn w myśli raz jeszcze przeanalizował swój wywód; na pewno była to jedna z bardziej zaangażowanych wypowiedzi, jaką zdarzyło się wypowiedzieć całej trójce Gosseynów.

Pomimo to zmusił się do opanowania.

- Pani - rzekł - chciałbym, żebyś wyobraziła sobie sytuację, jaka tu panuje. Kilka godzin temu na pokład został sprowadzony obcy - to znaczy ja. W ciągu godziny po tym, jak naukowcy go obudzili, matka imperatora oznajmia, że za niego wyjdzie. Wszelkie pozory wskazują... wskazywałyby na to, że użyłem siły mojego umysłu, aby w jakiś sposób wpłynąć na tę damę. Gdyby oficerowie tego wspaniałego okrętu wpadli na taki pomysł, natychmiast ruszyliby do walki w twojej obronie. Nic by ich nie powstrzymało przed podjęciem działań, które mogli by uznać za stosowne.

W miarę jak mówił, wyraz twarzy kobiety ulegał stopniowej przemianie. Wydawało się, że po prostu zaczyna akceptować jego rozumowanie. I rzeczywiście, w chwilę później zaczęła przytakiwać.

- Masz rację, pospieszny ślub nie byłby wcale rozsądnym posunięciem - rzekła wreszcie. - Ale przecież taki całkiem prywatny związek, tylko ty i ja, i skoro oboje wiemy, że skończy się on ślubem... powinien chyba uspokoić wszystkie twoje religijne skrupuły.

Gosseyn poczuł, że się uśmiecha. Z pewnością nie był to temat, na który semantyka ogólna kiedykolwiek się wypowiadała. Mimo to oświadczył z wielką pewnością siebie: - Ale te dotyczące nie semantyki ogólnej.

W czasie tej - krótkiej co prawda - wymiany z Dan, kobieta także musiała sobie coś niecoś przemyśleć, bo nagle uśmiechnęła się do niego.

- Drogi przyjacielu - odrzekła przesadnie słodkim głosem. - Kiedyś musisz mi wyjaśnić, na czym polega semantyka ogólna i jak jej się udało opanować namiętności

najbardziej upartych i zdeterminowanych seksualnie stworzeń wszechświata: mężczyzn! Teraz przyjmuję, choć niechętnie, że z jakiegoś powodu nie potrafisz przystosować się do normalnych stosunków pomiędzy mężczyzną a kobietą. Chyba będę więc musiała przeanalizować raz jeszcze pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarłeś, ale nawet i to może poczekać. I - dodała jeszcze słodziej - ponieważ teraz i tak nic z tego nie będzie, a ta przedziwna rozmowa ostudziła mnie zupełnie, dlaczego nie miałbyś wrócić do salonu? Zaraz do ciebie dołączę.

- Dzięki, pani - odparł Gosseyn, odwrócił się i otworzył drzwi, po czym opuścił sypialnię i przeszedł do salonu.

Było mu trochę wstyd, ale z drugiej strony czuł ulgą, gdyż nie chciał podejmować żadnych zobowiązań, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

- Mam rację, Gosseyn Dwa?

Odpowiedź nadeszła natychmiast, ale miała w sobie tyleż samo powątpiewania, ile gnieździło się w jego własnym umyśle.

- Potrzebujemy więcej informacji, ale Patricia tylko się uśmiecha i kręci głową.

- Powiedz jej - przekazał Gosseyn - że od niepamiętnych czasów kobiety dawały kosza mężczyznom i czuły się z tego powodu całkiem usprawiedliwione. Nie ma się co uśmiechać.

Chyba się z tym zgodzili, bo odpowiedzi nie było.

IX

I co teraz? Usiadł w wygodnym fotelu i czekał, spodziewając się, że kobieta może pojawić się w każdej chwili. A jeśli już przyjdzie, pozostaje pytanie: Dokąd nas to wszystko doprowadzi?

Gosseyn słyszał swój głośny oddech; poprawiał się niespokojnie na fotelu i wówczas dobiegał go szelest własnego ubrania, ocierającego się o miękkie, luksusowe obicie. Poza tym panowała śmiertelna cisza.

Salon niezmiennie sprawiał na nim wrażenie ponadczasowego piękna i luksusu apartamentu, który został ozdobiony i urządzony w taki sposób, aby zaspokoić wymagania ludzi przywykłych do absolutnego bogactwa. To jednak tylko potęgowało jego uczucie, że jest intruzem, który tak naprawdę nie wie, gdzie się znajduje.

To idiotyczne - pomyślał.

Nie do wiary, ale jedno z największych wydarzeń w historii obu galaktyk przywiodło z odległej, samotnej galaktyki gigantyczny okręt wojenny tu, w ten obszar Mlecznej Drogi, a odbywało się to z prędkością upodobnienia do dwudziestu miejsc po przecinku. Implikacji nie można było przewidzieć od razu, ale na pewno nie ograniczały się one do tego, co widział. Kolosalne znaczenie takiego zdarzenia w czasoprzestrzeni musiało być dokładnie zbadane i zrozumiane.

Na pewno ludzie tacy jak Breemeg i Draydart, przedstawiciele kasty wojskowych, już zaczęli działać.

Najwyraźniej coś się dzieje gdzieś tu, na tym ogromnym okręcie. W najlepszym przypadku czujne umysły zastanawiają się właśnie, co dzieje się pomiędzy obcym nazwiskiem Gilbert Gosseyn z jednej strony a imperatorem i jego piękną matką z drugiej.

Ktoś chyba zaraz przyjdzie to sprawdzić.

Myśląc o grupie śledczej, która zapewne już się tu wybiera, Gosseyn doszedł do wniosku, że ograniczenia, jakie sobie postawił w sali tronowej, tutaj nie mają znaczenia... Osobista oferta, jaką złożyła mu kobieta, sprawiła, że teraz czuł się w obowiązku, aby bronić jej i chłopca, gdyby nagle pojawiło się jakieś niebezpieczeństwo.

Zerwał się na równe nogi i szybko zlokalizował miejsce w kącie pokoju, za zaciągniętymi draperiami. Używając dodatkowego mózgu, wykonał „fotografie” miejsca, do którego będzie mógł później powrócić w jednej chwili, metodą upodobnienia do dwudziestu miejsc po przecinku.

Gdy usiadł z powrotem, stwierdził, że jego *alter ego* wykazuje aktywność umysłową.

- Powiedziałem innym, co właśnie zrobiłeś - słowa Gosseyna Drugiego zabrzmiały tak jak przedtem, to znaczy, jak by to były jego własne myśli. - Uważają, że powinni do ciebie dołączyć, a ja zostanę tutaj i będę pilnował naszych spraw.

W przekazanej myśli nieokreślona bliżej aluzja do „tego, co zrobiłeś” stanowiła automatyczny skrót myślowy, używany w komunikacji między dwoma umysłami, i odnosiła się do „sfotografowania” drugim mózgiem kawałka podłogi.

- Chcesz to zrobić... teraz? - upewnił się Gosseyn Trzeci.

- A zatem - ciągnął mózg Gosseyna Drugiego - sprawdźmy, czy możemy między sobą korzystać z twojej lokalizacji w tym pokoju i przenieść ich tam tak samo, jak ty przeniosłeś ciało młodego imperatora do kapsuły. Najpierw Eldred Crang...

Wspomnienie o przeniesieniu chłopca przywiodło mu na myśl inne, ulotne wspomnienia odległych, dalekich „sfotografowanych” obszarów... ciekawe, czy wciąż nadają się do użytku?

Z jego lewej strony, nieco z tyłu, dobiegł cichy dźwięk.

Teraz Leej -pomyślał i obrócił się. Wtedy zobaczył, a raczej przypomniał sobie swoją kopią pamięci, jak Eldred Crang wychodzi zza draperii.

Zaledwie wyszedł, na jego poprzednim miejscu pojawiła się Leej. Ona także szybko się odsunęła, aby w pokoju mogli pojawić się jeszcze kolejno: Enro, Prescottowie, aż wreszcie Patricia Hardie Crang.

- Ale... - wyjąkał nieco za późno umysł Gosseyna Trzeciego. - Czy nie sądzisz, że najpierw powinniśmy...?

Zatrzymał się. Nagle pojawiła się myśl, świadomość różnicy pomiędzy nim samym a Gosseynem Drugim, która właśnie zaczęła się zarysowywać. Prawdopodobnie to, że *alter ego* i on sam znajdowali się w odległych od siebie miejscach, sprawiło, że mieli różne kłopoty, które istniały w jednym miejscu i nie w pełni przenosiły się do Gosseyna w drugim miejscu.

Konsekwencje tego faktu były interesujące. Odmienność doświadczeń powoduje, że z minuty na minutę różniliśmy się coraz bardziej. Niedługo przestaniemy być nawzajem swoimi kopiami...

Ale teraz nie miał czasu, żeby o tym myśleć. Tyle rzeczy pozostało do zrobienia. Gosseyn szybko zwrócił się do nowo przybyłych:

- Matka imperatora wejdzie tu za chwilę. Proszę, przejdźcie tam. - Wskazał alkoję z drzwiami. Zauważył ją dopiero przed chwilą i nie miał pojęcia, dokąd drzwi prowadzą. - Dajcie mi czas, aby wyjaśnić jej, co...

Usunęli się błyskawicznie. Nawet Enro, władca Najwyższego Imperium, po wymianie kilku słów z siostrą we własnym języku, uśmiechnął się tylko cynicznie i wraz z innymi zniknął z pola widzenia Gosseyna.

Jeśli nawet od chwili ich zniknięcia minęło trochę czasu, świadomość Gosseyna Trzeciego tego nie odnotowała. Wydawało mu się, że zaledwie przybysze skierowali się do wyjścia, a już za jego plecami rozległ się trzask otwieranych drzwi. Gdy się odwrócił, stała w nich matka imperatora.

Od razu zrozumiał, dlaczego tak zwlekała z przybyciem. Ubrała się w sukienkę z cieniutkiego materiału, który dawał przedziwny efekt błękitnej puszystości. Zanim jednak zdołał przyjrzeć się jej trochę dokładniej, oznajmiła:

- Wezwałam Breemega. Zabierze cię z powrotem do twojego Palomaru.

Wydawało się, że nadeszła krótka chwila - nie, nie prawdy, lecz przygotowania do niej.

- Pani - rzekł Gosseyn - jak zapewne już ci doniesiono, po przebudzeniu nawiązałem kontakt umysłowy z kimś, kto wygląda dokładnie tak samo, jak ja, lecz w tej chwili znajduje się osiemnaście tysięcy lat świetlnych stąd.

Kobieta skinęła głową. Twarz miała poważną i skupioną.

- Wszystko, co się wydarzyło - odparła, lekko marszcząc czoło - włącznie z twoim przybyciem, było bardzo dziwne.

- To długa historia - ciągnął Gosseyn - ale nikomu nic nie grozi. Jednakże, moje porozumienie z *alter ego* nastąpiło, gdy był z innymi osobami, bardzo ważnymi... w tamtej części wszechświata. Oni chcieliby tu przybyć i porozmawiać z tobą, a także z twoim personelem wojskowym i naukowym

- Jestem pewna, że to możliwe - odrzekła kobieta. - Jesteśmy tu całkiem odizolowani. Jeden ogromny statek, a na nim sto siedemdziesiąt tysięcy mężczyzn, jeden chłopiec i jedna kobieta. Może się okazać - dodała niespokojnie - że jakieś śmiałe umysły na tym okręcie dojdą do wniosku, iż stare zasady i prawo lojalności już nie obowiązują. - Urwała. - Powiedz mi, co potrafią zdziałać twoi przyjaciele w nagłym przypadku? - spytała jeszcze po chwili.

Wydawało się, że nadszedł odpowiedni moment - teraz albo nigdy. Gosseyn wyprostował się i oznajmił:

- Twoje zezwolenie zostało odebrane przez ich umysły, przyjmujemy też twoją władzę... a oto oni.

Z tymi słowami wskazał na alkowę. Skłamał wprawdzie, ale lepiej, że zdołał ją w jakiś sposób przygotować.

Szeroko otworzyła oczy i cofnęła się o krok. Zaraz jednak zdołała się opanować, gdyż wyprostowała się i patrzyła w milczeniu, jak do pokoju wchodzi dwie kobiety i czterech mężczyzn. Nie udało jej się wszakże całkowicie otrząsnąć ze zdumienia:

- Osiemnaście tysięcy lat świetlnych - szepnęła. - W jednej chwili.

- A jak sądzisz, w jaki sposób znalazł się tutaj twój okręt? -zapytał Gosseyn. -
Również w jednej chwili.

Przez cały czas był świadomy tego, iż jej frymuśna sukienka przeznaczona była dla mężczyzny, w którego pamięci tkwią jeszcze ziemskie wspomnienia.

- Jesteś bardzo piękna - szepnął. - Wszystko będzie dobrze.

X

Gosseyn Trzeci objął grupę jednym spojrzeniem. Odpowiedzieli mu tym samym.

Miał przed sobą grupę całkiem zwyczajnie wyglądających ludzi - może z wyjątkiem Enra. Pięcioro z nich było kobietami i mężczyznami normalnego wzrostu i wyglądało całkiem przyzwoicie. Z pewnością z własnej inicjatywy nie spowodują kłopotów.

Ale pomiędzy nimi stał Enro: potężnie zbudowany, wysoki i cyniczny do szpiku kości. Enro, władca Najwyższego Imperium, które nie cofało się przed niczym. Gdzieś tam czekała jego flota, licząca tyle samo statków, ile okręt Dzan załogi.

Co on tu robi, z tą burzą płomienistych włosów i płomienistą duszą mordercy, w towarzystwie swej cudownej siostry i jej miłujących pokój przyjaciół? Enro, zabójca, Enro, chciwy władca... Dobry Boże!

Obrazy, które pojawiły się natychmiast, skoro tylko Gosseyn skontaktował się ze swą drugą... nie, trzecią kopią pamięci Gosseynów, były tak liczne i tak potworne, że...

Musiał dokonać niemal fizycznego wysiłku, aby przerwać ten bezsensowny ciąg rozumowania. Nagle bowiem zauważył, że jego *alter ego*, również nie rozumie, po co Wielki Władca tu przybył.

Niespodziewanie skontaktował się z siostrą - nadeszła informacja od Gosseyna Drugiego - a ponieważ chciał znaleźć się tam bez eskorty, wszystkich ogarnęła nadzieja...

To właśnie Enrowi najbardziej zależało na przeniesieniu się na statek Dzan.

Zagadka! Stał tam teraz, wysoki, sardoniczny, tylko z twarzy nieco podobny do siostry. Dziwna, niebezpieczna postać. Mając tak niewiele danych, trudno było rozsądnie wydedukować, co miał nadzieję uzyskać, przybywając tutaj. Chyba, że...

Trzeba się mieć na baczności!

Co gorsza, tak naprawdę nie było czasu na rozważania, ba, nawet na to, żeby go zapytać. Nadchodził Breemeg, a wraz z nim następne kłopoty.

Gosseyn zwrócił się do matki imperatora i zapytał:

- Pani, czy jest jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli ukryć tych ludzi, dopóki nie zastanowimy się, co robić i z kim powinni rozmawiać?

Piękna twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- Ta alkowa prowadzi do apartamentu, w którym jest kilka sypialni. - Wskazała palcem miejsce, gdzie przez chwilę się ukrywali. - Korzystamy z nich wówczas, gdy Enin i ja mamy gości z rodziny.

Na razie to rozwiązanie wydawało się najlepsze. Przybysze będą mogli poczekać tu nie pokazując się załodze okrętu, dopóki nie zostaną przeprowadzone wszelkie niezbędne przygotowania.

- Pójdę tam z nimi, „sfotografuję” podłogę i w razie potrzeby do nich wrócę... jak ci się to podoba, Gosseynie Drugi? Odległy *alter ego* odparł:

- To chyba dobry pomysł. Mam wrażenie, że skoro ich tam odesłałem, teraz będę w stanie zabrać ich tu z powrotem. - Odległy o tysiące lat świetlnych głos w głowie Gosseyna Trzeciego zmienił temat. - Muszę cię jednak ostrzec. Jak już pewnie zauważyłeś, kiedy przemieszczałem się tam i z powrotem, próbując za jednym zamachem upilnować Secoha Wyznawcę i Enra Czerwonego, mój drugi mózg powoli zwiększał swoją zdolność do śledzenia przez dłuższe okresy zmian w „fotografowanych” powierzchniach, do których się przenosiłem. Możliwe, że powstały podobne, wydłużone połączenia z niektórymi obszarami tej galaktyki, w której obecnie się znajdujesz. A ponieważ to już miało wpływ na twoje życie, proponuję, abyś dokładniej śledził procesy upodabniania w swoim mózgu. Jeżeli pojawi się jakikolwiek automatyczny proces, skieruj go natychmiast na jakąś zbliżoną lokalizację. Jeśli będziesz o tym pamiętał, być może utrzymasz kontrolę nad odległymi obszarami. Gosseyn Trzeci ponuro skinął głową.

- Wiem, o co ci chodzi. Lepiej uzyskać upodobnienie się do jednego z moich miejsc na statku albo nawet twoich w naszej Galaktyce, niż wplątać się w skomplikowaną sytuację w jeszcze większej odległości.

- Racja - brzmiała odpowiedź. A potem Gosseyn Drugi dodał z czymś, co przypominało uśmiech: - Zobacz, rozdzielamy się umysłowo. Już nie mówimy „alter ego”, lecz „ja” i „ty”. Ciekawe, co z tego wyniknie. Może teraz staniemy się różnymi ludźmi.

Dialog ten odbywał się z prędkością myśli. Tymczasem Gosseyn szedł wraz z pozostałymi do nowego apartamentu. „Sfotografował” przy okazji fragment podłogi obok wejścia.

Zatrzymał się przy drzwiach, a nowo przybyli zaczęli od razu zwiedzać mieszkanie i właściwie wszyscy byli do niego zwróceni tyłem. Wchodzili właśnie do swoich sypialni.

To, co nastąpiło za chwilę, prawdopodobnie i tak zdarzyłoby się, prędzej czy później. Gosseyn miał już odejść, gdy usłyszał, jak Prescott mówi coś do swojej żony Amelii.

Gosseyn zmarszczył brwi - coś mu przyszło go głowy. Myśląc gorączkowo, podszedł do Prescottów i zapytał:

- Chwileczkę, o ile dobrze kojarzę, ostatnie moje wspomnienie o pani Prescott wiąże się z jej martwym ciałem, leżącym na podłodze w Mieście Maszyny. Wiedziałeś, że ona nie

żyje, ponieważ dałeś jej zastrzyk, prawdopodobnie jakiś środek pobudzający, i jej usta pozostały białe, zamiast zsinieć.

Prescott był krępy męczyzną o gęstych, jasnych włosach, jego żona - smukłą brunetką. Na dźwięk słów Gosseyna uśmiechnął się tylko i pytająco spojrzął na żonę.

Kobieta uśmiechnęła się także.

- Panie Gosseyn Trzeci, żona wenusjańskiego nie-A, odgrywającego pewną rolę w szeregach wroga, często musi być gotowa na wszystko - odparła. - Pamiętasz coś, co było dla niej bardzo nieprzyjemnym doświadczeniem. Weź jednak pod uwagę, że stwierdzenie w rodzaju: „Jeśli jej usta nie zrobią się niebieskie, to znaczy, że nie żyje”, z punktu widzenia semantyki ogólnej jest po prostu ciekawym stwierdzeniem i niczym więcej. Samo wypowiedzenie takich słów nie oznacza jeszcze, że są one prawdziwe.

Uśmiechnęła się znowu.

- Jeśli poszukasz we wspólnej pamięci Gosseynów, dowiesz się, że mieliśmy już na ten temat bardzo krótką dyskusję z Gosseynem Drugim.

Przypomniał sobie o tym niemal natychmiast. W którymś momencie, podczas rozpaczliwej walki o ocalenie Wenus, drogi Prescottów i niezmiernie aktywnego Gosseyna Drugiego skrzyżowały się. Gosseyn Drugi skakał wówczas z jednej dwudziestomiejscowej lokalizacji do drugiej, walcząc prawie w każdej z nich. Dlatego, gdy małżeństwo pojawiło się niedawno w towarzystwie Eldreda i Patricii Crang, niepotrzebne były już jakieś dalsze wyjaśnienia.

- Och, tak - rzekł Gosseyn Trzeci, przypominając sobie, i zaraz dodał: - Cieszę się.

Odwrócili się - on także. Kiedy jednak w chwilę później spojrzął za siebie, zobaczył, że zniknęli w jednej z sypialni, pozostawiając tylko Wizjonerkę Leej.

Zatrzymała się i teraz stała tam, patrząc na niego. Na jej wyrazistej, spokojnej twarzy błąkał się lekki uśmiezek.

Leej - Wizjonerka z planety Yalerta. Leej ciemnowłosa, która mogła opowiedzieć, co przyniesie mu przyszłość. Zaledwie o tym pomyślał, jej usta rozchyliły się lekko i przemówiła:

- Dwanaście minut od wyjścia stąd, znów użyjesz drugiego mózgu, co oczywiście uniemożliwia mi spojrzenie w przyszłość. To, że pozostało mu tak niewiele czasu wstrząsnęło nim.

- Dwanaście minut! - powtórzył.

Ogarnęła go nagła fascynacja. Było to jego pierwsze własne doświadczenie z wizjonerem, tak przyjaznym i chętnie oferującym informację.

- Czy wiesz, dlaczego tak postąpię? - zapytał.

- Wychodzisz z apartamentu imperatora z tym człowiekiem - zawahała się i zidentyfikowała go - Breemegiem. Idziesz z nim i nagle coś sobie uświadamiasz. I to wszystko. Po tym następuje ciemność.

Gosseyn pozostał tam, gdzie stał; Wizjonerka musiała to przewidzieć, bo także się nie poruszyła.

- Jeszcze coś mi przyszło do głowy - zagadnął Gosseyn.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Ale wypowiedz swój ą myśl, bo na podstawie słów łatwiej jest przewidywać. Skinął głową.

- Na czym właściwie polegała twoja rola, kiedy przepowiadałeś przyszłość w związku z Gosseynem Drugim i innymi przed tym wielkim skokiem?

Po raz kolejny odpowiedź nadeszła natychmiast.

- Postanowiłam... postanowiliśmy, że spróbuj ę przewidzieć, jaka będzie dokładna konfiguracja atomów i cząsteczek w jakimś zamieszkanym obszarze tamtej drugiej galaktyki. Przyjęliśmy, że oba wszechświaty dzieli nicomość. Na tej podstawie Gosseyn Drugi „sfotografował” cały mój mózg wraz z przepowiednią i spróbował upodobnić nas tam w jednym wielkim skoku. W jakiś sposób chyba mu się udało.

Gosseyn Trzeci zamyślił się.

- Oczywiście, pamiętam to wszystko, ale wspomnienia te wydawały się tak skomplikowane, że nie mogłem uzyskać pełnego obrazu. Innymi słowy - dodał z uśmiechem - w tym przypadku semantyka ogólna nie umożliwiała pełnego odtworzenia wydarzeń jedynie na podstawie moich wspomnień. Okazuje się, że słowa jednak mają swoją wartość. Jak sądzisz, co się nie udało? - zapytał na koniec.

- Chodzi o ciebie. - Teraz to ona się uśmiechnęła. - Wyobraź sobie, jak leżysz w tej kapsule, odbierając wszystkie myśli, choć nikt sobie tego nie uświadamiał. Okazało się, że to ty byłeś najdelikatniejszym elementem procesu.

-I tylko z mojego powodu wszystko poszło na odwrót - zauważył.

Nie odpowiedziała.

- Dziękuję - rzekł Gosseyn i zawrócił do drzwi. Minął alkowę i wszedł do salonu, gdzie matka imperatora rozmawiała z jakimś dziwnym, mocno podekscytowanym człowieczkiem.

Nie chcąc przeszkadzać, przystanął w progu i nagle usłyszał, jak kobieta mówi:

- Nie rozumiem. Co ty opowiadasz? Co zrobił Enin? Człowieczek mówił drżącym głosem:

- Zniknął! Na moich oczach! - Zaczął gorączkowo bełkotać. - Wiesz, pani, jak to jest, kiedy go uczę. Przez chwilę siedzi cicho. Potem zaczyna się kręcić. Gada. Podskakuje. Idzie się napić. Żadnych manier. Ale się uczy. Tym razem siedział sobie i nagle puf! i już go nie ma!

Minęła dobra chwila, nim z tego trajkotu udało się Gosseynowi wyłowić jakiś sens. Wreszcie jednak obraz, opisywany przez wysoce podekscytowanego człowieczka, nabrał wyrazistości.

Facecik był nauczycielem młodego imperatora. Twierdził, że w trakcie lekcji, którą prowadził, spoglądał właśnie na swojego ucznia, gdy ten po prostu zniknął.

Gosseynowi przyszło do głowy, że czas tego zdarzenia w dziwny sposób zgrany był z momentem przybycia Eldreda Cranga i innych. Dlatego natychmiast przekazał swojemu *alter ego*:

- Czy sądzisz, że nastąpiło jakieś nałożenie się, z powodu którego Enin automatycznie przeniósł się gdzieś indziej?

- Chyba sobie przypominam - brzmiała odpowiedź - że w chwili transmisji wyobrażałeś sobie dwudziestomiejscowe lokalizacje poprzedniego Gosseyna Jeden i moje. Może robiąc to, nie myślałeś o chłopcu? Bo ja nie mogę sobie przypomnieć.

Nie była to dobra chwila, aby wspominać sobie szczegóły, gdyż zauważył, że kobieta go spostrzegła i, mocno wstrząśnięta, skierowała się w jego stronę.

- Czy to możliwe, żeby to się zdarzyło...? - zapytała niepewnie.

Gosseyn już się pozbierał.

- Już raz przez to przeszedł. Zobaczę, co uda mi się zrobić. Ja...

Oboje zapomnieli o nauczycielu imperatora, zupełnie, jakby nie istniał. Gdyby jednak Gosseyn nawet zdał sobie sprawę z jego istnienia, nie zdążyłby sobie tego uświadomić. Za ledwie bowiem wypowiedział pierwsze słowa kolejnego zdania, gdy rozległ się brzęczyk.

- O mój Boże! - krzyknęła kobieta. - To Breemeg przyszedł po ciebie!

Gosseyn ochłonął trochę i rzekł:

- Nie martw się. Niech się dzieje, co chce. Obiecuję, że za kilka minut wrócę, ale najpierw muszę wiedzieć... musimy się dowiedzieć... co się dzieje na reszcie statku.

Gdy jednak chwilę później szedł obok dworzanina, nawet jemu wydawało się, że zamieszanie przekroczyło już wszelkie dopuszczalne granice. Zanim więc pogrążył się ostatecznie w gęstwinie ogrodu, obejrzał się za siebie. Matka imperatora stała w drzwiach, spoglądając za nim pełnym lęku wzrokiem.

Wiedział, że z jej strony nie jest to wzgórzowa reakcja, gdyż na co dzień była

spokojną, zdecydowaną osobą. Istnieje w końcu coś takiego jak prawdziwe uczucie.

Sam też był niespokojny. Obawiał się bowiem, że jest odpowiedzialny za zniknięcie młodego imperatora.

XI

Breemeg nagle przerwał milczenie. - Wnioskuje - zauważył - że nie wspomniałeś o naszej prywatnej rozmowie ani imperatorowi, ani jego matce.

Znajdowali się w ogrodzie królewskim i dotarli właśnie do długiego, pustego korytarza, i Breemeg widocznie uznał, że tu nikt go nie podsłucha.

- To prawda - odparł Gosseyn.

W obecnych okolicznościach wydawało się to mało ważnym szczegółem. Ważniejsze było to, że od przepowiedni Leej minęły już dwie lub trzy minuty. A zatem za około dziewięć minut zdarzy się coś, co zmusi go do użycia drugiego mózgu.

W pewnym sensie te dziewięć minut stanowiło dość długi czas. Nie warto więc zastanawiać się nad tym... jeszcze przez chwilę.

- Wnioskuje tak - ciągnął Breemeg - ponieważ na pewno nie zostałbym wezwany przez Królową Matkę Stralę, aby cię zabrać, gdybyś choć wspomniał o moich słowach.

Zaprosiła mnie do sypialni, nie mówiąc nawet, jak ma na imię - powiedział Gosseyn, zachowując jednak to wspomnienie dla siebie. - A teraz poznałem je z jakiejś przypadkowej wzmianki.

- Strala! - wypowiedział imię na głos i dodał: - Podoba mi się jego brzmienie...

Breemeg nie zwrócił uwagi na ten komentarz. Natomiast Gosseyn pomyślał, że imię to emanuje kobiecym wdziękiem.

Potem opadła go cała seria ulotnych wspomnień, które wyzwoliły w nim nową energię i determinację. Wspomnienia dotyczyły działań Gosseyna Drugiego na planecie Wizjonerów, na Gorgzid, w stolicy Najwyższego Imperium Enra. Miał dużo do zrobienia. Gdzie jest chłopiec? Należy go uratować i to szybko.

Następne słowa Breemega przerwały ten tok myśli.

- Chyba rzeczywiście naszym najważniejszym zadaniem teraz jest sprawdzenie, gdzie się znajdujemy, i odkrycie, co nas tu sprowadziło.

Słuchając tych słów, Gosseyn zrozumiał, że ktoś, kto rozmawiał z Breemegiem w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu minut, musiał mieć sporo zdrowego rozsądku. Poczul ulgę na myśl, że współpraca w dworzanie będzie teraz łatwiejsza.

Opustoszały korytarz ciągnął się dalej i dalej, podobnie jak wywód Breemega.

- Oczywiście, jeśli istnieje jakakolwiek szansa na nasz powrót do floty, wówczas bunt nie miałby żadnego sensu. I byłoby to najlepsze rozwiązanie, gdyż moglibyśmy wrócić do

naszych rodzin.

Gosseyn musiał przyznać sam przed sobą, że w tej chwili semantyka ogólna nie przyda mu się na wiele. Problem, jaki stanowiłby powrót, zgodnie ze znanymi mu danymi, byłby znacznie bardziej skomplikowany niż wszystko, co się do tej pory wydarzyło.

Dlatego musiał żyć z jeszcze jednym kłamstwem, ponieważ prawda spowodowałaby zapewne szybkie i brutalne działania ze strony tych ludzi. Okazało się, że raz jeszcze optymalne rozwiązanie dla wszystkich - w tym i dla czarnych charakterów - zależy od tego, czy ujawni wszystko, co wie, czy nie.

Alternatywa oznaczała wyłuszczenie wszystkich faktów i zwalczenie ewentualnych reperkusji. To jednak odłoży na później, jeśli się uda.

- Z drugiej strony - ciągnął Breemeg, gdy Gosseyn podjął już decyzję - jeśli pozostaniemy na zawsze w tej części kosmosu, lepiej czym prędzej znaleźć jakąś nadającą się do zamieszkania planetę, a wówczas nasza imperialna rodzinka zostanie tak, jak na to zasługuje. Chłopiec... - wzruszył chudymi ramionami - może oddamy go tobie pod opiekę. - Uśmiechnął się, szczerząc zęby. - Osiemset partii skruba dziennie, jeśli nie więcej.

Znów wzruszył ramionami. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Cokolwiek... byle trzymał się z daleka. A mamusia... Nagle przerwał i całe jego ciało się napięło. Gosseyn domyślił się, że teraz usłyszy najważniejszą część wyводу.

- Czy wiesz, że to jedyna kobieta wśród stu siedemdziesięciu ośmiu tysięcy mężczyzn? Może - Breemeg uśmiechnął się dziwnie. - Pewna grupa przywódców zdecyduje, że skorzystają z jej kobiecych wdzięków.

- I chociaż mówię ci tylko o swoich przypuszczeniach - zakończył wreszcie - wydaje mi się, że są bardziej realistyczne niż to, co opowiadałem wcześniej.

A zatem będzie walka.

- Czy w plan podzielenia się kobietą zaangażowani są również jacyś oficerowie? - zapytał Gosseyn.

Nastąpiła dłuższa pauza. Breemeg zwolnił kroku i spojrzał na Gosseyna. Nagle zatrzymał się zupełnie. Gosseyn z rozpędu minął go, ale zaraz też stanął.

Dworzanin Jego Imperialnego Majestatu Enina oznajmił:

- Dziwne pytanie! Wydaje mi się, że coś się za tym kryje. Może masz jakiś plan, żeby ich... - Urwał, wyprostował się lekko. - Nie, nie omawialiśmy tej sprawy z wojskowymi - odrzekł ponuro. - Dlaczego pytasz?

Gosseyn uznał, że właśnie uzyskał informację, której potrzebował.

- Sądę, że ty i twoi współnicy jesteście dość niecierpliwi - wyjaśnił. - Uważam, że

powinniście zaczekać z wszelkimi prywatnymi planami - celował na oślep - dwa tygodnie. To znaczy, nie róbcie nic nieodwracalnego, co mogłoby spowodować, że zareaguje ktoś nie przygotowany...

Wyraz twarzy Breemega złagodniał, gdy dotarło do niego znaczenie słów Gosseyna, kładąc kres jego niepokojom.

- Fakt pozostaje faktem - odparł. - Musimy się liczyć z obcymi więźniami, których mamy na pokładzie. W efekcie sytuacja polityczna na tym okręcie nie pozostawia wielkiej swobody manewru. Musimy zacząć działać, albo zrobi to ktoś inny.

Wydawało się, że już otrząsnął się z chwilowego szoku, gdyż znów ruszył przed siebie. Gosseyn poszedł w jego ślady niemal automatycznie, ale w uszach dźwięczało mu słowo „obcy”.

- Zaczekaj! - krzyknął.

Opanował się wysiłkiem woli i przekazał w myślach swemu *alter ego*:

- Odnoszę wrażenie, że przyszedł już moment na podsumowanie sytuacji, zgodnie z zasadami semantyki ogólnej. Zbyt wielu ludzi próbuje mi naraz wcisnąć zbyt wiele uogólnień, a ja zaczynam myśleć, że przyjmuję za pewnik wiele rzeczy, które tak naprawdę nie...

Odpowiedź odległego Gosseyna była przyjazna:

- Chyba rzeczywiście zbyt wiele uważamy za pewne i niezmiennie. Wzmianka o obcych więźniach wydaje się wskazywać na to, iż wrogowie Dzanów w tamtej galaktyce są tak samo śmiertelni jak każdy inny. Są wśród nich tacy, którzy zechcą się poddać i pozostać na łasce przeciwnika, jak to czynią żołnierze od niepamiętnych czasów.

Wymiana myśli z Gosseynem Drugim trwała, a Gosseyn Trzeci wciąż szedł u boku Breemega. Teraz spojrział na dworzanina i zaczął się zastanawiać, czy ten zauważył jego milczenie. Na długiej twarzy Breemega nie było jednak widać śladu zainteresowania.

Może zatem wciąż jest czas na podsumowanie.

- Mam wrażenie, że to okręt wojenny - powiedział Gosseyn.

Breemeg znów zwolnił kroku, odwrócił się i spojrział na Gosseyna z wyrazem twarzy, który można by zinterpretować jako zdziwienie.

- Oczywiście - odparł obojętnie. Gosseyn jednak nalegał:

- Już samo istnienie tak wielkiego okrętu... a teraz wspomniałeś jeszcze o obcych więźniach... wszystko to sugeruje, że tam, skąd pochodzicie, nazwijmy to Drugą Galaktyką, macie potężnego wroga.

Breemeg najwyraźniej przeszedł do porządku nad prostotą, żeby nie powiedzieć

naiwnością pytań, i znów ruszył normalnym krokiem. Po chwili skinął głową i stwierdził:

- To dwunożna, dwuręczna, półludzka rasa. Istoty te są dla nas niebezpieczne zarówno z powodu swojej techniki, jak i osobistej mocy. Na przykład, przebywanie w sąsiedztwie Trooga bez elektronicznego zabezpieczenia jest dla istoty ludzkiej ryzykowne. Musieliśmy też opracowywać skomplikowane urządzenia, aby się bronić przed ich systemami komputerowymi, dzięki którym mogą oni wzmocnić środki kontroli umysłowej i opanować umysły załóg Dzan w samym środku bitwy.

- O ile dobrze zrozumiałem, właśnie taka bitwa się toczyła, gdy wasz okręt znalazł się nagle w tym obszarze kosmosu.

- Zgadza się - brzmiała odpowiedź.

Gosseyn przez chwilę próbował sobie wyobrazić tę scenę bitewną w odległej galaktyce, miliony lat świetlnych od Mlecznej Drogi. Istoty ludzkie walczące tak samo, jak tutejsi ludzie walczą od zarania dziejów.

Ze smutkiem pokiwał głową. Semantyka ogólna twierdzi, że żadna istota ludzka nie jest taka sama jak inna istota ludzka: Gilbert Gosseyn nie jest Breemegiem ani Eldredem Crangiem, ani Prescottem, ani Enrem... i w pewnym sensie jest to prawda, jeśli chodzi o pojedyncze osoby. Chyba jednak stwierdzenie to nie rozciąga się na rasę jako całość.

Westchnął i ciągnął dalej swoje podsumowanie:

- Przypuszczam, że zniknięcie waszego okrętu stanowi dla wroga pomyślną okoliczność.

Milczenie. Przeszli jeszcze kilka kroków. Do końca korytarza mieli jeszcze trzydzieści metrów.

- Chyba trochę potrwa - mruknął Breemeg - zanim ktokolwiek zorientuje się, że zniknęliśmy. Może nasza nieobecność nie będzie aż taką katastrofą.

- Twój opis wroga sugeruje, że człowiek po raz pierwszy zetknął się z wyższą formą życia - rzekł Gosseyn, rozważając w duchu wszystko, co powiedział tamten. - Oznacza to... - Urwał i rozejrzał się z niedowierzaniem.

Podłoga się trzęsła. Dygotała!

Widział wibracje widoczne gołym okiem. Podłoga pod nim dosłownie się zakolebała. Fala drgania ukośnie przecinała korytarz, jak zmarszczka na wodzie, przechodząc do dalszych części okrętu.

Nad ich głowami rozdzwonił się alarm. Ostry głos męski zawołał:

- Wszyscy na stanowiska. Superokręt wroga wszedł w naszą przestrzeń...

Głos był tak napięty, że Gosseyn dopiero po chwili rozpoznał Draydarta Duarta.

Uświadomił sobie jednocześnie, że wewnątrz jego mózgu odzywa się rozpaczliwy jęk *alter ego*:

- Trzeci - nadeszła myśl. - Chyba to twoja robota. Pomyślałeś o tej bitwie w odległej galaktyce... mam straszne przeczucie, Że znowu wydarzyło się coś niepojętego... znowu!

Gossey Trzeci nie miał czasu na poczucie winy, gdyż dokładnie w tej samej chwili poczuł w głowie dziwne wrażenie. Zanim je rozpoznał, minęło kilka ułamków sekund poszukiwań w ukrytej pamięci Gossey Drugiego i Gossey Pierwszego. Z uczuciem tym nie było związane żadne doznanie fizyczne, ale...

Dobry Boże! Coś próbowało przejąć kontrolę nad jego umysłem!

Musiałoby minąć dwanaście minut przepowiedziane przez Leej.

Było to tylko jedno z wielu przelotnych wrażeń. Wspomnienie Leej przyniosło natychmiastowe myśli o Crangach, Prescottach, Enro i Strali... oni wszyscy w tej chwili muszą także odpierać ataki kogoś, kto chce opanować ich umysły.

Musi tam wrócić. Szkoda, ponieważ... kolejna przelotna myśl... Naprawdę powinienem poszukać chłopaka...

XII

W twarz Gosseyna dmuchnął lodowaty wiatr. Jak okiem sięgnąć, otaczały go śnieżne szczyty. Tuż pod granią, na której stali, płynęła wartko rzeka o skutych lodem brzegach.

Zobaczył, że chłopiec wpatruje się w tę scenerię szeroko otwartymi oczami. Na blade policzki wystąpił cień rumieńca. Może zimny wiatr przeniknął już całe to szaleństwo i dał się odczuć jako nowa rzeczywistość.

Wreszcie chłopiec zawołał piskliwym z podniecenia głosem:

- Hej, to naprawdę coś, no nie?

Lodowaty wiatr przybierał na sile. Gosseyn uśmiechnął się ponuro i mruknął:

- Taak... To naprawdę... coś

Jego Wysokość Imperator Enin zachowywał się tak, jakby nie czuł zimna. Jego głos był coraz cieńszy, aż piszczał z podniecenia.

- Co się robi w takim miejscu?

Nietrudno było uwierzyć, że chłopak przez całe życie chroniony był przed skrajnościami pogody. Gosseyn uznał, że należą mu się pewne wyjaśnienia i powiedział:

- Ponieważ zostaniemy tu przez jakiś czas, gdyż tam - machnął rękaw stronę odległego o lata świetlne okrętu Dzan - toczy się bitwa, musisz wiedzieć, że obecnie w tej części planety panuje zima. To dzikie tereny, nie widać żadnej oznaki cywilizacji.

- Tam coś jest - powiedział chłopiec, pokazując palcem. - Jestem tu o dwadzieścia minut dłużej od ciebie. Było o wiele jaśniej, i w słońcu wyglądało, że tam coś naprawdę jest.

Gosseyn powędrował spojrzeniem w kierunku wskazanym przez chłopca i zobaczył, że w tym samym kierunku płynie rzeka. W odległości niecałych dwóch kilometrów, w punkcie, gdzie rzeka i dolina zakręcały i znikały z pola widzenia, na śniegu, widniała ciemniejsza plama.

Czyżby to był pierwszy budynek osady znajdującej się za zakrętem?

Dotarcie do tego punktu zajmie im trochę czasu. Jeśli jednak mają tu zostać, właśnie w tym kierunku powinni się udać.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - rzekł na głos. - Zanim nadejdzie noc, musimy znaleźć jakieś schronienie.

Niezdecydowanie spojrział na chmurę zasłaniającą słońce. Stwierdził, że stanowi ona tylko część mrocznej masy, zakrywającej prawie połowę nieba. Fatalnie! Warto byłoby wiedzieć, jakiego typu jest ta gwiazda.

Powietrze wydawało się jeszcze chłodniejsze, niż w chwili jego przybycia. Czas ruszać w drogę.

Na przemian schodząc i zjeżdżając ze zbocza w ślad za chłopcem, Gosseyn Trzeci prowadził milczącą debatę z samym sobą.

Prawdopodobnie, on sam - a przed nim także chłopiec - znaleźli się tutaj dlatego, iż jest to jedno ze „sfotografowanych” miejsc Gosseyna Pierwszego lub Drugiego, lokalizacja, której tamci potrzebowali w konkretnym celu.

Tyle że ani w jego własnych wspomnieniach, ani we wspomnieniach z podróży poprzednich ciał nie figurowała ta zamrznięta kraina górską. Wspólna pamięć, dzielona z dwoma poprzednimi Gosseynami, nie zawierała obrazu takiej sceny.

Była to jednak tylko zagadka, nie zaś katastrofa. Przecież w każdej chwili może użyć swojego drugiego mózgu i na pewno coś się stanie, chociaż trudno przewidzieć, co.

W końcu miałem zamiar powrócić do imperialnego apartamentu, rozważałem, by pomóc Strali i jej gościom, przesłanym na pokład przez Gosseyna Drugiego.

Zamiast tego, jego ostatnia myśl dotyczyła Enina i jego uszkodzony drugi mózg w jakiś tam sposób prześledził skomplikowane szczegóły i przeniósł go w miejsce, gdzie na zamrzniętej planecie czekał na niego chłopiec.

Oczywiście, mogła to być Ziemia. Wciąż schodząc i nie wypuszczając z dłoni ręki chłopca, Gosseyn z nagłym przypływem nadziei rozejrzał się raz jeszcze i głęboko, acz ostrożnie, zaczerpnął tchu. Powietrze, choć mroźne, smakowało dokładnie tak, jak jego grupowa pamięć zapamiętała powietrze Ziemi. Śnieżne szczyty gór, strumień na pół ukryty pod lodem, stały się nagle kolejną wariacją na temat tysięcy innych, podobnych scen z terenów górskich na Ziemi.

Nadzieja towarzyszyła mu jeszcze przez co najmniej sto metrów zejścia. Potem zaczął wkładać - najpierw jedną, potem drugą rękę - za pazuchę luźnego ubrania, w które wtoczyły go Głosy Jeden i Dwa.

Ciało miał ciepłe. Powtarzając ten gest, mógł ogrzewać obie dłonie, choć nie jednocześnie. Czas jednak mijał, a oni wciąż schodzili. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości - nie był ubrany odpowiednio do tego klimatu.

Kilka minut później wydało mu się, że nadszedł czas na podjęcie jakiejś decyzji, ale akurat wtedy chłopiec zaczął marudzić.

- Ja już nie mogę... jest za zimno. Zaraz zamarznę.

Dotarli do szerokiej półki i przystanęli, zabijając ramiona i przytupując jak zmarznięci wędrowcy, by przywrócić krążenie w zamrzniętych rękach i nogach.

Widok był niewiarygodnie wręcz cudowny. Niestety, ze wszystkich stron otaczał ich jedynie lód i śnieg, spiętrzone w przepiękne formacje. Mieli przed sobą jeszcze długą drogę do przebycia. Gosseyn ze smutkiem stwierdził, że znajdują się wciąż około czterystu metrów ponad poziomem rzeki.

Stojąc tam i nie wiedząc, co dalej robić, przypomniał sobie nagle - dzięki Gosseynowi Drugiemu - że kiedy grupa przygotowywała się do długiej podróży, wykonała trzy podstawowe testy.

Najpierw Leej przewidziała lokalizację na Ziemi; następnie Gosseyn Drugi wykonał „fotografię” tego, co „widział” jego drugi mózg na poziomie cząsteczkowym zaangażowanych komórek w jej głowie.

Przeprowadzono jeszcze dwa inne testy, jeden na nieznaną planetę - której istnienie Leej przewidziała - i jeden na jej rodzimą planetę Yalerta. Dopiero gdy te wstępne próby dały zadowalający wynik, Leej wycelowała swą moc przewidywania na miejsce w odległej galaktyce.

Ta planeta, na której wylądowaliśmy wraz z Eninem tak całkiem automatycznie, może być jedną z próbnych lokalizacji, do której nikt nigdy się nie przeniósł... Czy to Ziemia? Czy to Yalerta? A może to ta nieznaną planetę?

Nielatwo będzie dowiedzieć się tego właśnie teraz. Ale jeśli to przypadkiem Ziemia... No to co? Istnieją wprawdzie pewne możliwości, ale wszystkie niezbyt oczywiste.

Wciąż przytupywał i zacierał dłonie. Z niechęcią musiał przyznać, że jeśli już teraz jemu i chłopcu jest tak zimno, nie dadzą rady przejść półtora kilometra do tej ciemnej plamy na zakręcie rzeki. Nawet dojście do rzeki wydało mu się zbyt trudnym zadaniem dla ich przemarzniętych ciał.

Jednak zaczynał już rozumieć błąd w transmisji, który rzucił go właśnie tu... Oczywiście, trzeba się nauczyć to kontrolować, wszystkie te wypadki trzeba dokładnie przeanalizować i wyciągnąć właściwe wnioski. Ale dzieciak był w tym lodowatym świecie co najmniej dwadzieścia minut dłużej niż on. I chyba tylko dwie rzeczy go uratowały: w ciągu pierwszych kilkunastu minut świeciło słońce, a poza tym chłopak miał lepszy kombinezon.

Niestety, słońce już nie świeciło, a zasilanie systemu grzewczego kombinezonu się wyczerpało. Teraz trzeba wypróbować inne możliwości.

Gosseyn chwycił zimną rękę chłopca.

- Enin, słuchaj - rzekł z ożywieniem. - I ty i ja mamy szczególne zdolności. Uważam, że najlepiej byłoby teraz skorzystać z nich i wyzwolić jeden z twoich ładunków elektrycznych.

Chłopak ze smutkiem pokręcił głową.

- On musi pochodzić z istniejącego już źródła. Chmury, która niesie błyskawicę, przewodu pod napięciem i tak dalej... Gosseyn skinął głową.

- Popatrz na te chmury - wskazał palcem. - I na to drzewo. Podpal je!

Poskręcane drzewo, wysokie na sześć metrów, wystawało ze zbocza tuż nad półką, a jego nagie, rozpostarte gałęzie zwisały im nad głową.

Gosseyn czekał, aż chłopiec obejrzy najpierw drzewo, a później chmury.

- Czy w zimie są błyskawice? - zapytał z powątpiewaniem Enin.

- Och - westchnął Gosseyn.

Było to pytanie, które - musiał to przyznać - nie przyszło do głowy ani jemu, ani żadnemu innemu Gosseynowi. Ze smutkiem stwierdził, że rzeczywiście - na Ziemi błyskawice są związane z letnimi burzami.

- Chyba masz rację - zgodził się. Przyszła mu jednak do głowy jeszcze inna myśl.

Wskazał wolną ręką:

- Jeśli ta ciemna plama to rzeczywiście budynek, który ma instalację elektryczną, to co możesz zrobić z tej odległości?

Chłopiec w milczeniu spojrział we wskazanym kierunku. Nastąpiła chwila ciszy - ale nie trwała długo.

Nagle rozległ się trzask i drzewo buchnęło płomieniem!

Przez kilka następnych minut siedzieli tak blisko płonących gałęzi, jak pozwalał im na to żar. Potem kiedy z drzewa zostały już tylko spalone konary, wciąż wydzielano dość ciepła.

Nagle jednak ciepło przestało być najważniejsze. Gosseyn zauważył, że jego towarzysz spogląda gdzieś w bok z nietęgą miną.

- Patrz! - pokazał palcem chłopiec. - Obawiałem się, że tak będzie.

Gosseyn podążył wzrokiem za wyciągniętym palcem i zobaczył słup dymu, wznoszący się z miejsca, gdzie znajdowała się przedtem ciemna plama. Rzeczywiście, to musiał być dom.

- Elektryczność, którą tu sprowadziłem, spowodowała pożar w ich domu, ponieważ zmusiłem ją do opuszczenia przewodów.

Wydawał się zmartwiony. Gosseyn pomyślał, że to imperialne dziecko, pozbawione otoczenia, w którym się wychowało, nagle nabyło - lub automatycznie przypomniało sobie - kanony moralne właściwe grzecznemu dwunastolatkowi, który potrafi odróżnić dobro od zła.

Myśl ta pozostała w jego głowie zaledwie przez moment, gdyż chłopiec dodał:

- Teraz, gdy tam dojdziemy, możemy już nie mieć gdzie spać.

Gosseyn w milczeniu spoglądał na korkociąg czarnego dymu wznoszący się w niebo i myślał ze smutkiem: ...cóż, może jednak nie kanony moralne...

- Mam nadzieję, że nie było ofiar - powiedział.

Szkoda, jaką wyrządzili w tym odległym domostwie nagle przypomniała mu pytanie, które stawiał sobie jeszcze przed chwilą: co to za planeta? Jacy ludzie mieszkali w tym płonącym budynku? Jaki mieli poziom techniki?

Cóż, teraz pewnie się już tego nie dowiedzą.

Świadomie odsunął od siebie wszystkie inne myśli i zauważył, że chłopiec przeszedł pod żarzącym się jeszcze drzewem i niespokojnie krążył po skalnej półce, co chwila spoglądając w dół. Nagle zawołał:

- Chyba łatwiej będzie zejść tędy! -1 wskazał miejsce, gdzie ośnieżone zbocze wydawało się trochę mniej strome.

- Zaraz przyjdę - odkrzyknął mu Gosseyn.

Najpierw musiał sprawdzić, czy uda mu się zrealizować swój plan.

Ostrożnie chwycił najgrubszą ze szerniałych gałęzi. Skrzywił się i natychmiast wypuścił ją z ręki. Była trochę za gorąca. Przez kilka minut obrzucał śniegiem koniec, za który chciał ją trzymać, aż ostygł. Wtedy zaparł się stopami i odłamał cały wielki konar.

Ciągnąc go za sobą, wrócił do chłopca. W chwilę potem znów ruszyli w dół po zboczu. Teraz jednak mieli coś, co przez jakiś czas, dopóki nie ostygnie, posłuży im za przenośny grzejnik.

Wkrótce ręce Gosseyna i chłopca stały się czarne od dotykania ciepłego drewna. Kilkakrotnie zatrzymywali się też, aby postać przez chwilę na cieplejszej, grubszej części konara, przez co pozostawili za sobą na białym śniegu długą smugę popiołu. Ich obuwie również upstrzone było czarnymi plamami.

Gosseyn starał się nie pobrudzić ubrania, ale w chwilach, gdy ześlizgiwali się po stromych nasypach, było to właściwie nieuniknione.

Wreszcie dotarli do brzegu rzeki i z radością stwierdzili, że gałąź wciąż jeszcze ma w sobie trochę ciepła. Gosseyn nabrał przekonania, że maszerując szybko po tym stosunkowo równym podłożu, wkrótce dotrą do odległej o półtora kilometra osady.

Wtedy Enin uświadomił mu, jaką zapłacili cenę za tę odrobinę ciepła podczas zejścia.

- Wyglądamy jak para brudnych włóczęgów - zauważył. -Masz sadzę na brodzie i prawym policzku, i czuję, że ja też jestem okropnie brudny.

- Głównie na czole i szyi - odparł Gosseyn. - No i oczywiście nasze ręce wyglądają tak, jak wyglądają. Musimy znaleźć trochę ciepłej wody.

- No to ruszajmy! - zawołał chłopiec.

Lód i śnieg rozciągały się od horyzontu po horyzont, z wyjątkiem ciemnej plamy przed nimi. Pożar chyba został już opanowany, ponieważ nie było widać dymu.

Gosseyn poczuł pewną ulgą, ale jednocześnie narastała w nim niechęć do dalszej wędrówki wzdłuż rzeki, brnięcia po zamrzniętej ziemi i wleczenia za sobą ledwie ciepłego już konaru.

Przez całą drogę myślał o swoim *alter ego* i czuł jego obecność tuż obok swojej własnej świadomości. Gdzieś tam, w odległej przestrzeni, Gosseyn Drugi działał. Przeniósł się już na statek Dzan i z obrazów, jakie przesłał mu po przybyciu, można było wnioskować, że system komputerowy ogromnego okrętu wojennego automatycznie rozwinął tarczę energetyczną, która odcięła zrobotyzowane siły obcego okrętu, usiłujące przejąć kontrolę nad umysłami Dzan.

Z tego bezpiecznego otoczenia Gosseyn Drugi bez trudu dostrzegł zdenerwowanie Gosseyna Trzeciego i podsunął mu:

- Uratowałeś chłopca. Fakt, że stało się to przypadkiem, w wyniku kłopotów, jakie masz ze swoim drugim mózgiem, ale dzięki temu uzyskaliśmy pewne informacje i naprawdę nie musisz czuć się winny. Pamiętaj, że istoty ludzkie nie lubią zagadek. A twoja sytuacja jest do pewnego stopnia właśnie zagadką. Gdzie jesteś? Co to za budynek przed tobą? Dlaczego nie miałbyś tam dotrzeć i rozwiązać zagadkę.

Gosseyn Trzeci uważał, że przede wszystkim musi sprawdzić, czy to Ziemia.

- Udałbym się do stolicy i rozpoznał sytuację.

- Właściwie to niezły pomysł - brzmiała odpowiedź. - Szczególnie dlatego, że nie powinieneś wracać na okręt, dopóki ja tu jestem. Nie powinniśmy przebywać w tym samym miejscu, zanim nie ustalimy, co może się stać, kiedy dwie kopie znajdą się obok siebie. Z rozwoju sytuacji wnoszę jednak, że nie pozostanę tu zbyt długo...

Jednocześnie - automatycznie - jeden mózg przekazał drugiemu wyjaśnienie zagadki, dlaczego Enro tak bardzo chciał należeć do grupy delegatów. Okazało się, że zabrał ze sobą urządzenie sygnalizacyjne i za pomocą systemu deformatorów sprowadził flotę Najwyższego Imperium. Okręty, jeden po drugim, pojawiały się w sektorze, w którym znajdował się okręt Dzan, i zajmowały pozycje bojowe.

Wtedy wróg jakby się opamiętał. Zaprzestał wszystkich agresywnych działań i zaczął emanować troskę i zmieszanie, ponieważ załoga prawdopodobnie także nie wiedziała, gdzie się znajduje. Wkrótce potem przesłali dziwny komunikat:

- Chcemy negocjować!

Było to niesłychane ustępstwo obcych, dlatego wydało się wysoce podejrzanе. Gosseyn Drugi jednak był za negocjacjami.

- Ty ratuj siebie i chłopca - tłumaczył Gosseynowi Trzeciemu. - Już rozmawiałem z Królową Matką Stralą i możesz mi wierzyć, że jej ulżyło, gdy usłyszała, że jesteście razem.

Gosseyn Trzeci szedł dalej, ślizgając się trochę i wlokąc za sobą gałąź tak, aby przypadkiem nie przewrócić chłopca. W myśli rozważał skutki wdzięczności młodej matki, nie wiedząc właściwie, jak powinien się czuć. Przyszło mu do głowy tylko jedno:

- Wiesz co, panie *alter ego*, wygląda na to, że będę pierwszym Gosseynem, który pójdzie z kobietą do sypialni nie po to, aby spać.

Nadeszła pełna zadumy odpowiedź:

- Chyba nie natrafiłem jeszcze na kobietę, która jest mi przeznaczona. Wiesz, że i Leej, i Patricia są już z kimś związane... Zanim cała ta sytuacja rozwiąże się w jakiś sposób - ciągnął dalej, w tym samym refleksyjnym tonie - może wszyscy będziemy lepiej wiedzieli, jakie jest nasze ostateczne przeznaczenie. W twoim przypadku oznacza to: ratuj syna, a dostaniesz matkę.

Maszerując oblodzonym brzegiem rzeki na planecie, która mogła być Ziemią, Gosseyn Trzeci odparł:

- Przyszłością zajmiemy się później. Na razie mam kłopoty tutaj. Nogi już mi zlodowaciały, a reszta ciała przemarzła do kości. Rozważania, przeznaczone dla Gosseyna Drugiego, płynęły swobodnym torem: - Wiesz, kiedy analizuję to, co dzieje się z moim drugim mózgiem, wydaje mi się, że jeśli się skoncentruję i nie pozwolę sobie na żadne uboczne myśli, pójdę tam, gdzie zechcę.

Gosseyn Drugi zmienił temat:

- Może być z tym problem. Wydaje mi się, że Enro przyjrzał się damie, a ponieważ nie udało mu się z własną siostrą, Patricia, doszedł do wniosku, że małżeństwo łączące dwie imperialne rodziny może stanowić bardzo użyteczny czynnik w stosunkach międzygalaktycznych.

Gosseyn Trzeci, sterczący w świetle lodu i śniegu, nie wiedział, czy się z tego cieszyć, czy smucić. Gdy wreszcie osiągnął stabilny stan emocjonalny, była to spokojna obojętność.

- A czy pani Strala została poinformowana o zainteresowaniu naszego wielkoluda?

- Odnoszę takie wrażenie, jakby przyszło jej to na myśl -brzmiała odpowiedź: - Ale czuję, że...

Łączność między umysłami nagle osłabła, zupełnie jakby Gosseyna Drugiego

ogarnęło zwątpienie.

- No, co? - ponaglił Gosseyn Trzeci.

Odpowiedź brzmiała niepewnie, prawie jak domysł:

- Myślę, że zanim ta sytuacja się rozwiąże, wszyscy będziemy lepiej wiedzieli, jakie jest nasze ostateczne przeznaczenie. W twoim przypadku oznacza to: ratuj *syna*, a dostaniesz matkę... i właśnie tak uważam - powtórzył swoją poprzednią myśl.

Gosseyn Trzeci jednak myślał już o czym innym.

- Musimy dowiedzieć się, czy Enro może obrócić ten kontakt na swoją korzyść. A ponieważ zdolny jest do masowych morderstw, musimy dopilnować, żeby nie miał ku temu okazji. Pewnie się zgodzisz, że nie chcemy, aby flota Enra uzyskała dostęp do tej drugiej galaktyki - ciągnął. - A zatem, jeśli to ode mnie zależało, nie będzie żadnego ślubu z matką imperatora. Ale to na potem - dokończył. - Teraz...

Zdecydowanie, jakie wypełniało jego umysł, musiało udzielić się poprzez lata świetlne, gdyż kolejna myśl odległego *alter ego* brzmiała po prostu:

- Trzymaj się, Trzeci.

Aby zapobiec wszelkim uprzedzeniom związanym z zagadką, Gosseyn zlokalizował fragment zamrożonej ziemi w tym świecie lodu i śniegu, i „sfotografował” go drugim mózgiem. Teraz będzie mógł tu wrócić zawsze, jeśli zechce kontynuować swą podróż na piechotę. Naturalnie, wtedy zadba o cieplejsze ubranie.

Zakończył rozmowę z *alter ego* takim stwierdzeniem:

- Chyba będę mógł żyć z niepewnością, co to za budynek. I chyba przeżyję żal, że nigdy nie będę miał szansy spotkać się z więźniami na okręcie Dzan, pierwszymi nie-ludzkimi istotami, z jakimi zetknęliśmy się, Gosseyn, w naszych podróżach. Ale Breemeg twierdzi, że to prawie ludzie, prawda? Cóż, i tak jest to zdarzenie jedyne w swoim rodzaju. Chyba jednak będę jakoś musiał żyć z tymi dwiema tajemnicami, ponieważ robi się coraz zimniej i zaraz się ściemni. Zatem...

XIII

Ziemia! Znajdowali się na tylnym podwórzu małego domku. Dom stał na wzgórzu, niżej było miasto. Jak okiem sięgnąć Gosseyn widział głównie dachy i zielen, otaczającą niemal każdy budynek.

Stojąc tak, czuł, jak ogarnia go ciepło, i to zarówno z zewnątrz - było chyba lato -jak i od wewnątrz. To wewnętrzne uczucie błogości wydawało się tak naturalne, że minęło sporo czasu, zanim je zidentyfikował:

- Czuję się tak, jakbym powrócił do domu.

Po chwili doszedł jednak do wniosku, że ciało znalezione w kapsule, unoszącej się w kosmosie, nie może - bez znacznego naciągania logiki - uważać się za legalnie przypisane jakiegokolwiek planecie.

Prawdopodobnie jeszcze długo oddawałby się takim rozmyślaniom, gdyby nie to, że Enin wyrwał go z zadumy.

- A cóż to za rudera? Gdzież my znowu jesteśmy? - spytał.

Był to zdecydowanie przeciwny punkt widzenia. Gosseyn zauważył, że imperator Dzan spoglądał nie na rozciągające się dole miasto, lecz na podwórze i stojący tu dom.

I nagle, po raz pierwszy od chwili przybycia, Gosseyn przypomniał sobie wcześniejsze - żywione lata świetlne stąd - obawy, gdzie wylądują: tam, gdzie zechcą, czy tam, gdzie ich zaniesie?

Udało się! Ta metoda skupienia, oddalenia wszystkich ubocznych myśli i spraw... działa!

- Hej, Gosseyn Drugi, widzisz? Mogę opanować ten defekt... Odległy *alter ego* nie odpowiedział. W ogóle nie czuł myśli tamtego. No dobrze - później!

Spojrzał na chłopca i rzekł z naganą w głosie:

- Jesteśmy w miejscu, gdzie będzie nam ciepło. A może wolisz wrócić na śnieg?

Enin wzruszył ramionami, najwyraźniej nie czując wdzięczności z powodu zmiany.

- Jak się tu dostaliśmy? - zapytał z odrazą w głosie. Gosseyn uśmiechnął się:

- Cóż, tak to już jest, Eninie. Potrafię przemieszczać się w przestrzeni... to mój specjalny dar, jak się już pewnie przekonałeś...

Podniesiona ku niemu twarz dwunastolatka nie wyrażała krytyki, choć młody imperator przeżył już próbkę tego „specjalnego daru” w obecności swych dworzan. Stwierdził tylko:

-Jasne! Więc... Gosseyn wyjaśnił:

- Lepiej łądować w miejscach, gdzie nikt nie może cię zobaczyć. Ten domek należy do mojego przyjaciela, i doskonale odpowiada naszym potrzebom. Nikt z sąsiedztwa nie zobaczy, jak się tu dostaliśmy. Prawda?

- Aha, chyba tak - mruknął Enin. - Masz rację.

- A poza tym - ciągnął Gosseyn - jeśli spojrzysz w górę, zobaczysz, że jest ranek. Mamy przed sobą prawie cały dzień.

Zdażył już określić porę dnia z położenia słońca na niebie, ale wypowiedzenie tych słów na głos wywołało w nim reakcję wzgórzową? Ogarnęło go uczucie przynależności, niekoniecznie tu, do tego konkretnego miejsca, lecz wszędzie, naprawdę wszędzie na tej planecie.

Jasne oczy chłopca zwęziły się.

- Co my tu będziemy robić?

Wtedy Gosseyn przypomniał sobie, że Dan Lyttle, właściciel domku, pracował ostatnio na nocnej zmianie w recepcji hotelu. Oznaczało to, że o tak wczesnej porze dnia jeszcze nie wrócił z pracy.

Ogarnięty nagłą nadzieją, ruszył w stronę domku i zastukał do tylnych drzwi. Słyszał, że Enin idzie za nim.

- Chcesz wejść? - rozległ się jego zdumiony głos. - Dlaczego więc po prostu nie wejdiesz?

Właściwie mógł to zrobić. Jeśli Dan Lyttle wciąż był właścicielem domku, prawdopodobnie nie miałby nic przeciwko temu, gdyby po powrocie zobaczył, kto się u niego rozgościł.

Nie o to jednak chodziło Jego Wysokości Imperatorowi.

- Słuchaj no - napomniął chłopca. - Nie jesteśmy na jednej z twoich planet. Tu musimy przestrzegać miejscowych zasad. -Utkwił wzrok w tych młodzieńczych, bezczelnych oczach i ciągnął dalej, nie zmieniając tonu: - Nie wchodzi się do domów innych ludzi bez pozwolenia. Zrozumiano?

Na szczęście Enin nie miał czasu odpowiedzieć, gdyż dokładnie w tej samej chwili drzwi otwarły się, i na progu stanął znajomy, szczupły mężczyzna.

- O Boże, to naprawdę ty! - wykrzyknął.

To samo mógłby powtórzyć Gosseyn, ale z odcieniem ulgi w głosie, jako że osobnik, który je wypowiedział, został zidentyfikowany przez pamięć Gosseynów jako Dan Lyttle - właściciel domku, recepcjonista, który przyszedł do pokoju Gosseyna Drugiego - i uratował

mu życie.

Twarz miał tak samo szczupłą, jak przedtem. Wydawał się jednak dojrzały niż we wspomnieniach. Była to jednak tylko niewielka różnica. Ważniejsze było szczere zadowolenie z wizyty w jego małym domku.

- Przyszliście w porę. Mam dziś wolny dzień. A raczej -uśmiechnął się - wolną noc. Może wam się na coś przydam, ale na razie widzę, że najbardziej potrzebujecie kąpieli i snu. Bierz chłopaka i idźcie do mojej sypialni, a ja się prześpię tu, na kanapie.

Gosseyn z radością przyjął zaproszenie, choć „chłopak” chwilę się wahał. Zaraz podążył jednak pokornie do wskazanego pomieszczenia. Ale gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, zapytał:

- Czy my naprawdę tu zostaniemy? Gosseyn wskazał palcem na drugą stronę podwójnego, małżeńskiego łóżka.

- Najpierw się wykąpiesz, a potem położysz tam. A ja, kiedy się umyję, wezmę tę stronę. Potem zastanowimy się, co będziemy robić dalej.

W tym momencie pojawił się Dan Lyttle, niosąc długą koszulę dla Enina i piżamę dla Gosseyna.

Wkrótce obaj już spali.

Gosseyn obudził się, ale drzemał jeszcze z przymkniętymi oczami. Przyszło mu do głowy coś dziwnego: był to pierwszy normalny sen tego ciała.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym. Kiedy kładł się do łóżka, wydawało mu się to - z jakiegoś powodu - całkiem naturalne, takie... zwyczajne, że nawet nie przyszło mu do głowy, jak wyjątkową osobę stanowi.

W chwilę później poczuł, że się uśmiecha. W końcu był tylko punkcikiem we wszechświecie uśpionych ludzi.

Otworzył oczy, przekręcił się na bok i spojrzał na drugą stronę łóżka - po czym usiadł ze zmarszczonymi brwiami.

Chłopca nie było.

Spuścił nogi na podłogę i zaczął wkładać kaptcie. Kaptcie? To, w co wsuwa się stopy, wstając z łóżka? Słowo „kaptcie” przyszło mu na myśl automatycznie, chociaż były to te same buty, w których brnął po śniegu. Czuł się nieco zaskoczony, ale oprócz tego... wiedział, że jego reakcja była czysto wzgórzowa.

Zauważył, że buty są czyste, podobnie jak ubranie, które zapewne uprano, gdy on spał, i starannie powieszono na oparciu krzesła.

Najpierw poszedł do toalety i po raz pierwszy w życiu oddał mocz. Potem, przy

umywalce, wziął do ręki leżącą tam szczotkę i ulegając pokusie, starannie się uczesał. Umył twarz i dłonie, korzystając z gościnnego ręcznika (przed snem obaj użyli ręcznika Lyttle'a).

Dokonując tych wszystkich ablucji, pozwolił myślom odpłynąć do drugiego Gosseyna... tam.

Natychmiast pojawiły się przyćmione wspomnienia działań, jakim oddawał się Gosseyna Drugi przez kilka ostatnich minut. A potem, nagle... bezpośredni kontakt!

Spieszyli się. Drugi oznajmił:

- Wiem, gdzie jesteście. Dlatego się nie martwię... jeszcze nie.

- Teraz dopiero mogą przyjrzeć się twojej sytuacji - odparł Gosseyn Trzeci. - Widzę, że ten jeden wrogi okręt wciąż pozostaje w przestrzeni, ale żaden obcy nie wszedł na pokład. A załoga okrętu Dzan, mimo odczuwanej wściekłości, jeszcze nie przeszła do akcji. Prywatne cele Enra mogą zachwiać całokształtem spraw, ale minie jeszcze trochę czasu, zanim pojawią się kłopoty.

Skupmy się zatem na tobie - doszła go myśl z drugiego krańca Galaktyki. - Rozmawiałem z Enrem i nie wiem właściwie, po co udałeś się na Ziemię.

Trzeci westchnął ponuro.

- Właściwie to był przypadek, ale sądzę, że szczęśliwy. - Rozwinął swoje rozumowanie. - W końcu wszyscy Gosseynowie mają dużo kontaktów na Ziemi. Musimy wiedzieć, co się tu stało po twoim odjeździe. Kto wszedł do rządu po śmierci prezydenta Hardiego? Jaki jest status nie-A? Mogę to sprawdzić. Chyba pamiętam, że policja i siły rządowe miały zaprowadzić tu porządek, ale...

To było bardzo duże „ale”. Mimo to jego wywód sprawił, że *alter ego* w odległej przestrzeni międzygwiazdnej, choć niechętnie, ale przyznał mu rację.

- Przypuszczam - odparł - że dowiemy się paru rzeczy, a także tego, co jeszcze zostało do zrobienia. Zastanów się jednak: trudno ci będzie udać się do miasta, które kiedyś było miastem maszyny. Na przykład: ani ty, ani imperator nie macie przy sobie pieniędzy. Przez jakiś czas możecie zostać z Danem Lyttle'em, ale trudno się spodziewać, że recepcjonista będzie was utrzymywał ze swojej pensji.

Gosseyn Trzeci uśmiechnął się, gdy jego własna myśl udzieliła odpowiedzi na obiekcje tamtego.

- Rozumiesz? - zapytał.

- Aha... - Wrażenie uśmiechu. - Gosseynowie chyba rzeczywiście mogą zgłosić roszczenie do własności lub przynajmniej zarządzania Instytutem Semantyki Ogólnej, jako że Iks też był przecież Gosseynem. Nie przypominam sobie jednak, żeby można tam było od

razu dostać jedzenie za darmo.

- Staruszek miał tam mieszkanie - odparł Gosseyn Trzeci. -Może miał też zapasy jedzenia. Oczywiście, będzie tam też dozorca. Ciekawe, kto mu płaci pensję?

- No to co zrobisz? Weźmiesz Instytut szturmem?

- No... - Pauza. Gosseyn Trzeci zdał sobie sprawę, że też się uśmiecha, choć nieco złowróźnie. - Trudno mi uwierzyć, że te słowa wypowiedział Gosseyn, który nie wahał się za pomocą oszustwa skłaniać służbę na Yalercie, żeby go karmiła. Nie wspomnę już o tym, że zawsze jadł do syta, gdziekolwiek się udał, nie mając przy sobie ani grosza lokalnych pieniędzy.

W odpowiedzi Gosseyna Drugiego brzmiała rezygnacja.

- Zdaje się, że twarzo zamierzasz zostać - mruknął i chyba westchnął. - Okay, pozdrów Dana ode mnie.

- Cóż... - odparł tamten smętnie - to będzie chyba trochę trudne. On myśli, że ja to ty.

- Oczywiście. Trudno mi ciągle pamiętać o tym, że teraz jest dwóch Gosseynów. Wątpię, żeby Iks chciał, aby dwójka z tej samej grupy wiekowej jednocześnie uzyskała świadomość.

Wspomnienie Iksa przypomniało o czymś Gosseynowi Trzeciemu.

- Przez cały ten czas zdawałem sobie sprawę, że taka osoba istniała kiedyś, jako coś w rodzaju przodka. Nie myślałem jednak o nim zbyt często. Dlatego twoje wspomnienia w najlepszym przypadku można opisać jako niejasne. Opowiedz mi coś więcej.

- Hm - w myślach tamtego mózgu wyczuwało się cię niepewności. - Istnieje powód, aby przypuszczać, że znajdował się na jednym ze statków, które przywędrowały z innej galaktyki. Tyle tylko... to wyłącznie domysły... że tamten statek się rozbił, uszkodzając męskie ciało, które później poznaliśmy jako Iksa. Uszkodzone były również komputery zawierające dane. W każdym razie drugi z mężczyzn uciekł z obiema kobietami, ponieważ po ich wyjściu uszkodzony statek został przeniesiony przez również uszkodzony komputer w inny obszar Ziemi. Iks odzyskał siły na tyle, że mógł od czasu do czasu wracać na statek i czekać w stanie zawieszzonego życia przez setki, a nawet tysiące lat.

Oczywiście, zaczął uświadamiać sobie istnienie potomków tego drugiego mężczyzny i kobiet. Okazało się, że nastąpił nawrót do dzikości, co zdaje się oznaczało również parzenie się z małpami.

Jak zauważyłeś na dzisiejszej Ziemi, właściwie wszystko dobrze się skończyło. Ale to Iks posiadał całą pamięć i to on, posługując się własnym nasieniem, stworzył tych wszystkich Gosseynów. Teraz my musimy zapewnić, aby system klonowania, jaki opracował, przetrwał

dla przyszłych pokoleń. I taki powinien być twój cel, niezależnie od innych działań, jakie będziemy podejmować, by zaspokoić własne potrzeby.

Uważam, że należy dokładnie przeszukać apartament Iksa, sprawdzić, czy nie ma tam ukrytych pokoi, tajnych schowków, gdzie przechowywał zapiski, a nawet urządzenia, pozwalającego mu robić to, co robił.

- Na pewno się rozejrzę - obiecał Gosseyn Trzeci. - W razie potrzeby skonsultuję się z tobą.

- Teoretycznie - dobiegła odpowiedź odległej kopii ciała--umysłu - jesteśmy tą samą osobą. Twój osąd prawdopodobnie będzie dokładnie taki sam, jak mój.

Była to prawda, ale... gdzieś w głębi ducha czuł się całkiem oddzielną osobą.

Warto byłoby sprawdzić, jak działa upodabnianie - pomyślał.

- Na pewno działa - odpowiedź Gosseyna Drugiego brzmiała w jego mózgu prawie jak własna myśl. Prawie, ale niezupełnie.

W końcu to on stał tu teraz i mył twarz, czesał włosy. On -nie Gosseyn Drugi. Robił to przecież przez cały czas trwania tej błyskawicznej myślowej rozmowy.

W zasadzie miał tylko jeden powód do zmartwienia. Ziemia stanowiła dla Gosseynów niebezpieczne miejsce - przynajmniej ta jej część, na której się w tej chwili znajdował.

Są tu ludzie, którzy bez trudu rozpoznają twarz Gosseyna. Wystarczy jeden strzał z jakiegokolwiek broni, aby zabić to ciało. Gdyby tak się stało, przekonanie, że cała pamięć tego doświadczenia przetrwa w umyśle Gosseyna Drugiego, nie było żadną pociechą.

Przodkowie Gosseyna bez wątplenia przekazali kopiom swoich potomków niezwykłą technikę zachowania osobowości. Jednakże dla tej jednej osoby w całym długim szeregu, prawda była taka, że własne „ja” wciąż mieszka wyłącznie w jednym, żyjącym ciele.

XIV

Korzystając po kolei z każdego przedmiotu i wykonując kolejne etapy toalety, stwierdził, że pamięta, jak podobnych urządzeń używał ostatnio tamten Gosseyn. Ale nie poświęcił tej sprawie uwagi. Znowu zaczął zastanawiać się nad Eninem, który był gdzieś na dworze. Szybko odłożył elektryczną maszynkę do golenia. A potem znów włożył kapcie i doszedł do wniosku, że powinien czym prędzej znaleźć normalne ubranie i jakieś lepsze buty. Wychodząc z sypialni, usłyszał głos Enina:

- Tak, panie Lyttle, ale co to jest założenie?

Gosseyn przystanął na chwilę, słuchając Dana Lyttle'a, który wyjaśniał pojęcie „założenia” według definicji semantyki ogólnej. Oczywiście, należało spróbować. Ciekawe, jak to zadziała na umysł, który jeszcze nie w pełni dojrzał. Poza tym jakich korzyści ze stosowania semantyki ogólnej może spodziewać się ten chłopiec, skoro i tak już ma wszystko, czego mógłby zapragnąć?

Wycofał się poza zasięg wzroku, uchylił drzwi, pozostawiając jedynie szparę, wąską na kilka centymetrów, i słuchał.

-To znaczy... dlaczego postępuj ę tak, jak postępuję? -W głosie Enina brzmiało zdumienie.

Tak - odparł Dan Lyttle. - Przed chwilą wszedłeś tu i zażądałeś, żebym ci zrobił śniadanie. A ja cię posłuchałem, prawda?

- No to co?

- Jesteś gościem w moim domu, a traktujesz mnie jak sługę. O to właśnie mi chodzi: jakie przyjąłeś założenie? - Głos Dana stał się nieco bardziej napięty.

Nastąpiła krótka pauza.

- Jestem imperatorem - powiedział wreszcie chłopiec. -Wszyscy robią to, co każe.

- To znaczy: tak jest tam, skąd przybywasz?

- Ten świat nazywa się Dzan - poinformował Enin.

- A zatem - ciągnął Dan Lyttle -jedno z twoich założeń jest takie, że na Ziemi powinieneś być traktowany tak, jak u siebie?

- Jestem imperatorem wszędzie, gdzie się udam - odparł bezczelnie chłopak. Gosseyn Trzeci uśmiechnął się ponuro.

-I - ciągnął Dan - rozumiem, że na podstawie swoich założeń sądzisz, że jesteś lepszy od innych ludzi?

- Jestem dużo lepszy od innych ludzi. Urodziłem się imperatorem.

- Zakładasz zatem, że z powodu przypadkowego miejsca urodzin, masz prawo rządzić wszystkimi istotami ludzkimi?

- No... zanim zginął mój ojciec, nie myślałem o tym za często. Ale kiedy zostałem imperatorem, traktowałem ludzi dokładnie tak, jak on. Robię tak od chwili wstąpienia na tron. I co w tym złego?

- Cóż... My, adepci semantyki ogólnej, ciekawi jesteśmy, jaki proces myślowy sprawia, że ludzie postępują nieracjonalnie. Na przykład: jak zginął twój ojciec?

- Wypadł z okna pałacu - brzmiała wojownicza odpowiedź. - Czy uważasz, że jego założenia miały z tym coś wspólnego?

- Może i tak... jeśli dowiemy się dokładnie, jak znalazł się w pobliżu tego otwartego okna. Czy byli świadkowie?

- Zdarzyło się to podczas spotkania rządowego na wysokim szczeblu.

- A on był tak zajęty mówieniem albo myśleniem, że podszedł do okna, którego nie zauważył i wypadł? Czy tak zeznawali świadkowie?

- Moja matka twierdzi, że tak było. - Pauza. - Nie pytałem, kto jej to powiedział.

- Możemy zatem założyć, że wszyscy, którzy byli z nim wtedy w pokoju, sprawdzili, że tak naprawdę się stało?

- Hej! - zawołał Enin w podnieceniu. - Czy właśnie to jest założenie? Sam tego nie widziałeś. Musisz więc założyć, że ludzie, którzy to widzieli, mówią prawdę?

- Częściowo. Najważniejsze są jednak założenia ukryte głęboko w umyśle, tak głęboko, że nie dostrzegasz, że tam właśnie są, ani czym są naprawdę. Ale działasz jednak tak, jakby były prawdziwe.

- No tak... jestem imperatorem. To prawda.

- A jak traktujesz innych ludzi?

- Mówię im, co mają robić. I niech to lepiej robią.

- Wychodzisz zatem z założenia, że imperator może się szarogęsić wobec wszystkich ludzi, których jest władcą... może być nawet złośliwy i zły.

- Traktuję ich tak, jak ich traktował mój ojciec. I chyba takie były właśnie jego... jak ty je nazywasz...? Założenia.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nigdy nie zastanawiałeś się, jakie założenia przyjął? Po prostu je małpowaleś?

- No... - Pauza i nagle zmiana tonu: - Może powinieneś posmakować trochę mojej mocy?

W głosie Enina brzmiało coś takiego, że Gosseyn uznał, iż prawdopodobnie pierwsza lekcja semantyki ogólnej właśnie dobiegła końca.

Z tą myślą pchnął nagle drzwi sypialni i wszedł do salonu.

I zatrzymał się jak wryty, bo pod ścianą siedziało rzędem sześciu mężczyzn. Czterej mieli na sobie coś w rodzaju munduru, a w rękach trzymali pistolety. Niewątpliwie był to jakiś rodzaj broni energetycznej, nie do zidentyfikowania z tej odległości, a choć nie celowali w żadnym konkretnym kierunku, znajdowali się, jak to się kiedyś mówiło, „w pełnej gotowości”.

Dodatkową zagadką było to, że Dan Lyttle udzielał chłopcu lekcji semantyki ogólnej pod okiem sześciu uzbrojonych intruzów. Poza tym chłopak zachowywał się tak, jakby byli z Danem sami w pokoju. Nawet w ostatniej chwili, gdy zagroził Lyttle'owi, wydawało się, że nie zauważył obserwatorów.

Dopiero po chwili Gosseyn przypomniał sobie, że Jego Wysokość Imperator od co najmniej dwóch lat przyzwyczał się do ignorowania obserwatorów, w przekonaniu, że jego specjalna kontrola energii siłą umysłu zawsze go obroni.

Odetchnął. Wrócił do normalnego stanu na tyle, na ile było to możliwe w tej sytuacji. I w samą porę, gdyż Enin, gdy tylko go zauważył, podbiegł i chwycił go za ramię.

- O rany, ale się cieszę, że pan już wstał. - Wydawało się, że zapomniał o swojej groźbie wobec gospodarza, zaś intruzów nadal kompletnie ignorował. Podniósł na Gosseyna rozjaśnione oczy. - Zawsze pan tak długo śpi?

- No, nie wiem... - Gosseyn zdołał przywołać na twarz uśmiech, a ponieważ był to jego pierwszy w życiu normalny sen, mógł teraz powiedzieć: - Tam chyba było strasznie zimno... a ja byłem wyjątkowo cienko ubrany, więc...

Z kłopotliwego położenia wybawił go Dan Lyttle.

- Zdaje się, że po twojej ostatniej wizycie naszpikowano mój mały domek aparatami podsłuchowymi - oznajmił. - Kiedy spaliście, poszedłem do hotelu, żeby pożyczyć dla twojego młodego przyjaciela grę wideo. Gdy wróciłem, ci panowie siedzieli tam, gdzie ich teraz widzisz.

Zanim jeszcze Dan Lyttle skończył swoje wyjaśnienie, jeden z dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach wstał. Był średniego wzrostu i dość pulchny. Na okrągłej, grubo ciosanej twarzy miał niemiły uśmieszek. Odczekał uprzejmie, aby Dan Lyttle skończył to, co miał do powiedzenia, po czym odezwał się cichym głosem:

- Panie Gosseyn, gdy tylko zje pan śniadanie, będziemy musieli pana skuć. Szef chciałby się panu trochę przyjrzeć.

Nie była to chwila na wykonywanie nie przemyślanych gestów. Chyba dotarło to nawet do Jego Wysokości, bo odezwał się cienkim, ale opanowanym głosem:

- Panie Gosseyn? Dać mu popalić?

- Enin, nie! - Gosseyn właśnie rozważał informację, jaką uzyskał od przedstawiciela intruzów. Wyjaśnił więc: - Uważam, że mamy się spotkać z pewnymi ludźmi, z którymi i tak chciałem się zobaczyć. Wszystko jest w porządku. Później się zastanowimy, co z tym zrobić, dobrze?

- Dobrze.

W czasie tej wymiany z Dan Lyttle nie poruszył się. Teraz dopiero powiedział:

- Chyba przypilnuję, aby nasz młody przyjaciel się nie nudził, gdy będziesz jadł śniadanie.

Podszedł do ściany koło drzwi wejściowych i zdjął pokrowiec ze lśniącej maszyny, której tam nie było, gdy kładli się spać. Łatwo się było domyślić, że to gra wideo wypożyczona z hotelu, gdzie Lyttle pracował.

Obaj mężczyźni, a także grupa nieproszonych gości, przyglądali się, jak chłopiec podchodzi do przyrządu. Najpierw zajrzał do wnętrza pod przezroczystą płytą. Potem przyjrzał się przyciskom. Wreszcie ochoczo sięgnął i przekreślił wyłącznik. Wnętrze maszyny nappełniło się światłem. Obraz przedstawiał podwodne miasto i jego ludność, zagrożoną przez gigantyczne bestie morskie.

Nietrudno było zgadnąć, że rola gracza polega na zdziśiatkowaniu atakujących stworzeń za pomocą sterowanego komputerem systemu broni.

Gosseyn przez chwilę z uśmiechem obserwował, jak imperator Dzan *zaczyna* strzelać, wydając radosne wrzaski. Potem jednak zwrócił się do Dana Lyttle'a, pytając o sytuację na Ziemi. Jednocześnie delektował się śniadaniem, złożonym z jajek, bekonu i grzanek.

To, co powiedział Dan, nie napawało optymizmem.

Okazało się, że zwolennicy zabitego prezydenta Hardiego w jakiś sposób zdołali zagarnąć po nim władzę. Prawdopodobnie też nie zdawali sobie sprawy, że sam prezydent nie był odpowiedzialny za wyczyny swego rządu, lecz stanowił jedynie pionek w międzygwiazdnej walce o władzę, której tak naprawdę nawet do końca nie rozumiał. Wyglądało na to, że jego spadkobiercy to w większości skorumpowani politykierzy, typ znany Ziemianom od niepamiętnych czasów. Lyttle nie podawał nazwisk i było to chyba mądre posunięcie. Osoby nazwane mają tendencję do odgrywania się, że ci ludzie dysponowali potężnymi środkami.

Lyttle powiedział również, że od czasu ataku sił Enra, to znaczy od kilku miesięcy,

urwały się wszelkie kontakty z Wenus.

Na ten temat Gosseyn miał własne informacje, ale nie zamierzał się nimi dzielić.

Prawda była taka, że miliony nie-Arystotelesowskich mieszkańców Wenus od jakiegoś czasu emigrowały. Transportowano ich w małych grupach na zamieszkane planety należące do Ligi, gdzie rozpowszechniali filozofię i metody działania semantyki ogólnej pośród mieszkańców tamtych sektorów galaktyki.

Zajmie im to trochę czasu.

Jednak Gosseyn wątpił, aby Wenusjanie całkowicie przestali się przejmować tym, co dzieje się na Ziemi. Z pewnością wielu z nich przebywało tu obecnie, próbując zminimalizować skutki przejścia rządów przez sługusów Enra. Zapewne prowadzili teraz rozgrywkę z Ziemianami, którzy zostali odpowiednio umotywowani, by przyłączyć się do najeźdźców, a nie zdołali załapać się na najwyższe stanowiska.

Gosseyn Trzeci uważał, że jeśli chodzi o załatwianie spraw ze skorumpowanymi urzędnikami, również on mógłby bardzo wiele pomóc.

Po tym krótkim podsumowaniu miał już zamiar odłożyć widelec, kiedy uświadomił sobie, że Dan Lyttle stoi nieco z tyłu i podstawia mu pod nos wilgotny ręcznik.

- Wytrzymaj usta - powiedział.

Gosseyn wziął ręcznik, lecz nagle zauważył, że palec Lyttle[^] jest dziwnie wyciągnięty. Tak, jakby na coś wskazywał. Na coś na obrusie.

Zaczął wycierać sobie usta i dyskretnie podążył wzrokiem w kierunku wskazywanym przez palec. Zobaczył, że na obrusie leży niewielka, biała płytka, drukowana układami scalonymi. Jak się tam znalazła, jak Lyttle zdołał ją przemycić w chwili, gdy podawał śniadanie? On sam musiał przyznać, że nic nie zauważył, ponieważ pogrążony był w rozmyślaniach. Obcy zaś prawdopodobnie nie zwrócili na to uwagi, zasugerowani tak zwykłym widokiem jak spożywania śniadania.

Lyttle pochylił się znowu i tym razem szepnął:

- To Maszyna Igrzysk! To jej tożsamość!

- Hej, ty! - odezwał się przedstawiciel intruzów. Gosseyn natychmiast zareagował:

- Mówisz, że nie zmyłem żółtka? - zapytał.

Po czym znowu zaczął wycierać sobie usta, jakby szept Dana miał coś wspólnego z tą czynnością. Odłożył ręcznik na płytkę i wstał.

- Dziękuję, że pozwoliliście mi zjeść. Najwyższy czas jednak, aby mnie związać i wezwać waszego... jak mu tam?... szefa.

Podszedł do przybyszów, słysząc, jak za jego plecami Dan krząta się, sprzątając ze

stołu. Na pewno zręcznie usunął płytkę, która została w tak prozaiczny sposób określona jako tożsamość najważniejszej maszyny w dziejach ludzkości.

Związali go: najpierw sznurem, nogi na wysokości kostek i kolan, potem ręce kajdankami z tyłu. Położyli go na sofie pod ścianą, po przeciwnej stronie pokoju, niż sami siedzieli, po czym z powrotem zajęli swoje miejsca.

- Nie ruszaj się - rozkazał człowiek o topornej twarzy. - Pan Blayney jest już w drodze.

- Blayney! - mruknął Gosseyn, ale tylko pod nosem. Teraz, kiedy usłyszał to właśnie nazwisko, nie było obaw, że „się ruszy”.

XV

Daleko pan zaszedł od naszego ostatniego spotkania, panie Blayne - powitał go Gosseyn. - Głowa rządu i dowódca sił zbrojnych.

Odpowiedź nie padła od razu. Na gładkiej twarzy mężczyzny, który patrzył na Gosseyna, malowała się surowość, ale i zaskoczenie. Blayne wydawał się starszy, niż podpowiadała to Gosseynowi Trzeciemu wspólna pamięć Gosseynów. Krępe niegdyś ciało było teraz szczuplejsze, jakby opuścił wiele posiłków albo jakby metabolizm dostosował się do życia w stresie.

Ubranie, które miał na sobie, było - o ile to możliwe -jeszcze bardziej eleganckie niż ostatnio.

Wciąż nie odpowiadał na zaczepkę Gosseyna.

Gosseyn leżał, a milczenie się przedłużało. Przypomniał sobie z pewnym smutkiem, że ostatnim razem, kiedy leżał związany, Blayne też tak stał i patrzył na niego, po czym bez żadnej przyczyny pochylił się i kilkakrotnie mocno go uderzył.

Zaryzykował kolejną, bardziej ugodową uwagę:

- Widząc taki sukces, podejrzewam, że pomyliłem się w o-cenie pańskiej osoby - mruknął.

Na te słowa na twarzy Blayneya pojawił się cień uśmiechu. Niemile milczenie dobiegło końca.

- Skorzystałem z pańskiej rady i przeszedłem podstawowe szkolenie z zakresu semantyki ogólnej, korygując pewne, nazwijmy to, nieprawidłowe elementy osobowości, na które zwrócił mi pan uwagę.

Gosseyn z nieszczęśliwą miną przypomniał sobie, że te nieprawidłowe elementy osobowości, które skrytykował poprzedni Gosseyn, polegały na zbytnej trosce Blayneya o przyszłe możliwości. Wygłosił wówczas proste ostrzeżenie pod adresem potężnego Thorsona, twierdząc, że człowiek, który zawsze spodziewa się najgorszego, wcześniej czy później - najczęściej wcześniej - będzie podejmował niepotrzebne, paranoidalne działania zapobiegawcze.

Nie byłoby dobrze, gdyby ta cecha pozostała, ponieważ w chwili prawdziwego kryzysu mogłaby spowodować bardzo gwałtowną reakcję. W obecnej zaś sytuacji jej ofiarą byłby naturalnie Gilbert Gosseyn Trzeci.

Należy więc podjąć wszelkie środki ostrożności, aby oddalić od siebie taką

możliwość.

- Jeśli podstawowy kurs tak szybko doprowadził pana do stanowiska szefa rządu - powiedział - może warto byłoby spróbować dalszego szkolenia nie-A i pozbyć się pozostałych... nieprawidłowości - powtórzył określenie semantyki ogólnej po bardzo krótkiej przerwie - jakie mogły jeszcze pozostać z poprzedniego uwarunkowania.

Nawet ten mizerny uśmiech, który gościł na gładkiej twarzy Blayneya, zniknął, ustępując miejsca gniewowi. Blayney pokręcił głową.

- Gra polityczna jest czysto arystotelesowska - odparł. - Nie ma tu miejsca dla idealistów.

Na twarz pochylającą się nad Gosseynem wróciło zdziwienie. Blayney dotknął sznura krępującego kolana więźnia.

- Właśnie próbowałem sobie uzmysłowić - mruknął tym samym miękkim, cichym głosem - dlaczego znowu pozwoliłeś... na to?

Pytanie dowodziło, że Blayney słyszał już coś niecoś o dwudziestomiejscowych zdolnościach mózgu Gosseyna.

Oczywiście była to tylko jedna z wielu możliwości i nie należało jej uważać za pewnik. Gosseyn odparował:

- Nie zmyślałem od tamtego czasu. Kto by pomyślał, że zadacie sobie tyle trudu, żeby obserwować ten mały domek.

Mówiąc te słowa, podszyte zręcznym komplementem, uważnie obserwował gładką twarz i poczuł satysfakcję, kiedy zauważył, że tamten się trochę rozjaśnił.

Mimo to Blayney nie odpowiedział, nie wyjaśnił też przyczyny takiego postępowania.

W jakimś sensie komentarz Gosseyna wcale nie wymagał odpowiedzi. Po pierwsze, wątpliwą sprawą było uzyskanie uczciwej odpowiedzi od takiego krętacza. Zaangażowana w to była cała grupa dostojników, pod dowództwem Thorsona i skrycie wspierana przez potężne wojska Enra. A teraz prezydent Hardie już nie żył, Thorson także. Nic więc dziwnego, że Blayney, który był bliskim współpracownikiem albo jednego, albo drugiego, natychmiast z tego skorzystał.

No i oczywiście, przy sfalszowanych wyborach ci, którzy zajmowali się fałszowaniem - lub ich główni pomocnicy - próbowali zyskać jak najwięcej. Nawet wtedy jednak trudno byłoby uwierzyć, że w dwudziestym szóstym wieku naszej ery ludzie uciekali się wciąż do takich metod.

Widać było, co tajna interwencja sił międzygwiazdnych może zrobić z nic nie podejrzewającymi mieszkańcami planety.

Na szczęście spisek został unieszkodliwiony, jeśli nie liczyć tego, co Enro może jeszcze namącić na okręcie Dzan.

... No i te niedobitki, które pozostały... jak Blayne - które wciąż jeszcze trzeba zlikwidować. Na szczęście istniała pewna możliwość, że ten człowiek nie wie, co się naprawdę stało...

Być może pytanie zadane przez Gosseyna uchroniło go przed gwałtowną reakcją nowego szefa rządu w tym rejonie Ziemi.

Poza tym położenie Gosseyna było nadal trudne. Jak do tej pory, nie udało mu się osiągnąć.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, pozwolił sobie na częściowe uruchomienie świadomości nie-A.

Naturalnie, pierwsze wrażenie obejmowało wnętrze domku. Kolejnym była myśl, prawdopodobnie nie bez znaczenia, że Blayne jeszcze nie powiedział, po co tu właściwie przyszedł... zniżając się z wysokości prezydenckiej rezydencji. Sam jednak fakt, że się ruszył, oznaczał, że zaraz podjęte zostaną pewne decyzje.

Największym zagrożeniem były zatem zwyczajne istoty ludzkie, chociaż osobnicy, którzy wtargnęli do domku Dana Lyttle'a, nie podejmą chyba wrogich działań, dopóki nie dostaną wyraźnego polecenia.

Gosseyn, który już wcześniej powziął niezbędne środki ostrożności, pobierając drugim mózgiem myślowe fotografie czterech rewolwerowców, teraz uznał, że powinien przynajmniej zaoferować im jakąś szansę. Ponieważ w salonie znajdowała się osoba, która miała „prawo” wydawać im rozkazy, włącznie z Zastrzelić go! - a oni usłuchaliby go na pewno - ofertę taką musiał złożyć natychmiast, a nie w momencie wydawania rozkazu. Tak więc Gosseyn odezwał się do strażników:

- Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyście odłożyli broń. Nie potrzebujecie jej, bo przecież jestem skuty i związany.

Ciekawe - trzech z nich nie okazało po sobie, że usłyszeli tę prośbę. Czwarty, który siedział najdalej, spojrzał na cywila, który do tej pory mówił za całą grupę i rzekł:

- Co o tym myślisz, Al?

Zapytany odpowiedział natychmiast cichym głosem:

- Szef jest tutaj... - wskazał na wytwornie odzianego osobnika stojącego nad Gosseynem. - Rozkaże nam, co zechce i kiedy zechce.

Strażnik spojrzał na Gosseyna i wrzucił ramionami, po czym usiadł i pogрузzył się w milczeniu, nie wypuszczając broni z ręki.

Gosseyn odwrócił wzrok od mężczyzn i ponuro uśmiechnął się do Blayneya.

- Zdaje się, że w waszej grupie nie ma przyszłych Wenusjan. Człowiek-który-stał-się-równy-królom zmarszczył brwi.

- Czy to była próba zachwiania dyscypliny wśród ludzi, którzy przysięgli wykonywać swoje obowiązki, nakazane im przez upoważnionego do tego komendanta?

Gosseyn podniósł wzrok na nalaną, gniewną twarz i pokręcił głową.

- Semantyka ogólna uznaje konieczność istnienia prawa w zacofanych społeczeństwach. To jednak, co zdarzyło się tutaj, wykracza poza normalne przepisy prawne. Urwał na chwilę. - Czy mam rozumieć, że pozostanę związany, chociaż nie postawiono mi żadnych zarzutów?

Blayney potarł szczękę.

- Ty jesteś przypadkiem szczególnym. - Wykrzywił usta w uśmiechu. - Ja dałem rozkaz, a ci ludzie usłuchali go, tak, jak powinni.

- Dlatego do nich przemówiłem. Uczestniczą w nielegalnej akcji i działają jak automaty. Przybywając tu, przyszli jako poddani, a nie po to, aby poznać jakiegokolwiek fakty. Później, kiedy wrócą do domu, jeśli ktoś ich spyta, co dziś robili... cóż wtedy odpowiedzą?

Uśmiech Blayneya stał się nieco bardziej sztuczny, odsłonił zęby.

- Są związani przysięgą i nie wolno im ujawniać osobom postronnym niczego, co dzieje się w czasie ich dyżuru.

- Innymi słowy - odparł Gosseyn - gdyby pan kazał im mnie zastrzelić, zrobiliby to bez cienia wahania, nie znając nawet przyczyny?

- Tak. -Blayney zaczął zdradzać zniecierpliwienie. - Jeszcze przez jakiś czas tu, na Ziemi, będziemy mieć rządy autokratyczne. Lepiej wróćmy do tematu. Po co się tu zjawiłeś?

Gosseyn jednak znowu zwrócił uwagę na czterech uzbrojonych strażników. Do nich też zwrócił się słowami:

- Pytam każdego z was z osobna, czy w tej konkretnej sytuacji chcecie postępować jak bezmyślni śludzy?

Drugi-strażnik-od-strony-Gosseyna poruszył się i rzekł do Blayneya:

- Panie prezydencie, czy ma pan jakieś szczególne rozkazy?

Blayney w milczeniu pokręcił głową,

Wciąż jeszcze był zatem czas na zdobycie nowych danych. Gosseyn zawołał Dana.

Było to co najmniej nieoczekiwane. Lyttle, choć skończył pracę w kuchni i miał wolne ręce, stał tylko i czekał.

Potrzebował teraz kilku sekund, aby dojść do siebie, ale zaraz odpowiedział:

- Słucham?

Zanim Gosseyn zdążył mu wyjaśnić, czego od niego chce, nastąpiła kolejna przerwa. Enin, który do tej pory w milczeniu obserwował rozwój wydarzeń, teraz powiedział:

- Zamierzacie sobie tylko pogadać? -A może... - zwrócił się do Gosseyna - potrzebuje pan mojej pomocy?

- Jeszcze nie teraz, Eninie - odparł Gosseyn z uśmiechem. -Jeśli będę jej potrzebował, zawołam cię. Teraz, jeśli chcesz, możesz wrócić do gry.

- Dobrze.

W kilka sekund później radosne okrzyki zabrzmiały znowu.

- Dan - rzekł Gosseyn. - Czego życzyłbyś sobie dla Ziemi?

- Mam nadzieję - odpowiedział natychmiast Lyttle - że zostaniesz i pomożesz odtworzyć na Ziemi całą semantykę ogólną sprzed czasów Wenus, w tym również... - dodał po krótkiej przerwie - doprowadzić do całkowitego odtworzenia Maszyny Igrzysk.

- Semantycy ogólnie zgadzają się między sobą- skomentował Gosseyn - że Maszyna Igrzysk okazała się bardzo nieodporna na ludzką ingerencję w jej działania.

- Musimy pamiętać - stwierdził Lyttle - że to w zasadzie zwykły komputer, i zainstalowanie kilku tysięcy kostek z oprogramowaniem zabezpieczającym wiele by tu pomogło. Oczywiście jednak - dodał stanowczo - żadna maszyna nie może sprawować władzy nad ludźmi.

Odpowiedź ta postawiła Dana w szczególnej sytuacji, i nawet tak spójny tandem jak ciało i umysł Gilberta Gosseyna potrzebowały dobrej chwili, by przeanalizował napływające skojarzenia.

Nagle recepcjonista - Dan Lyttle - który przyszedł do pokoju Gilberta Gosseyna i uratował mu życie, stał się nieodłączną częścią i uczestnikiem wszystkiego, co się zdarzyło.

A jednak, jak wyjaśnić, że Gosseyn wynajął pokój w tym właśnie hotelu, gdzie na nocnej zmianie pracuje Bardzo Ważny Recepcjonista?

Ta praca wydawała się tak zwyczajna, młody człowiek tak normalny, domek znajdujący się tu, na wzgórzu, tak blisko - zdawałoby się przypadkiem - miejsca, skąd Maszyna w czasie Igrzysk przemawiała co dnia do zgromadzonych tysięcy ludzi, pełnych nadziei, iż dzięki swojej wiedzy o semantyce ogólnej wywalczą sobie prawo wyjazdu na Wenus. A każdy z nich poddawał się testom samotnie, w jednym z tysięcy boksów...

Zawsze było coś niezwykłego w sposobie, w jaki Dan Lyttle trzymał głowę, nosił się i zachowywał. Oczywiście, znajomość i codzienne stosowanie semantyki ogólnej wywierało taki efekt na większość ludzi.

On był jednak człowiekiem, którego Maszyna Igrzysk, w obliczu śmierci, wybrała na depozytariusza najważniejszej części swojego gigantycznego systemu komputerowego, to znaczy... jej samej!

A teraz ten sam człowiek spokojnie wygłaszał oświadczenie na jej temat.

Wyjaśnienie tajemnicy Dana Lyttle'a będzie musiało poczekać. Na razie należało jedynie uznać, że cel tego człowieka jest zbieżny z jego własnym. Dlatego też dla Gosseyna Trzeciego nadszedł czas działania. W milczeniu wysłał - jeden po drugim - cztery sygnały do dodatkowego mózgu.

A potem odprężył się i czekał ze wzrokiem utkwionym w suficie.

Nagle z jego lewej strony rozległo się głośne: „Uchchch!” A potem:

-Hej!

Ten ostatni okrzyk wydał przedstawiciel całej szóstki intruzów, który do tej pory stał spokojnie z boku. Gosseyn zidentyfikował go bez trudu, ponieważ jeszcze raz zwrócił głowę w jego kierunku.

Teraz zobaczył tam dwóch ludzi w cywilnych ubraniach. Obaj stali z wytrzeszczonymi oczami, gapiąc się bok, na cztery krzesła, które jeszcze kilka sekund temu zajęte były przez czterech uzbrojonych ludzi w mundurach.

Wszyscy czterej zniknęli.

Wciąż jednak sytuacja nie była dobra. Owszem, do pewnego stopnia się poprawiła, ale chociaż udało mu się uwolnić od zagrożenia, jakie stwarzało czterech uzbrojonych ludzi, do normalnych warunków dla istoty ludzkiej było jeszcze daleko.

Nogi miał związane tak samo, jak przedtem; kajdanki opasujące mu przeguby wykonane były z metalu. Chętnie gotów był też przyjąć na siebie odpowiedzialność za to, co się zdarzyło od chwili jego przybycia. Nie był oryginalnym Gosseynem, ale postanowił, że tu przyjedzie. W wyniku tego i Dan Lyttle, i jego mały domek znaleźli się w niebezpieczeństwie. Dlatego on i Enin nie mogą się teraz ulotnić, wykorzystując upodobnienie do dwudziestu miejsc po przecinku.

Nie był to odpowiedni moment, żeby ujawnić swój podstawowy cel - pomyślał ze smutkiem. Mimo to spojrzął na Blayneya i wypowiedział te wielkie i ważne słowa:

- A dlaczego by nie przywrócić uczciwego rządu w Mieście Maszyny Igrzysk?

XVI

Cisza! Blayne stał tam, spoglądając z góry na człowieka, którego do tej pory uważał za swojego prawdziwego więźnia.

Gosseyn wypowiedział swoją główną kwestię, określił cel tak podstawowy, że cokolwiek innego - słowa lub czyn - mogłyby go jedynie zaciemnić. Teraz leżał cicho. Dopiero drugi z adiutantów przerwał ciszę.

- Panie prezydencie, może lepiej oddalić się od strefy deformatora? - zapytał głębokim barytonem.

Na twarzy Blayne'a zdziwienie znów ustąpiło miejsca złości.

- Potrzebujemy chyba bardziej radykalnego rozwiązania. - Wskazał palcem na Gosseyna. - Wynieście tego człowieka na zewnątrz. Jakies sprzeciwy? - zapytał jeszcze, spoglądając na więźnia zwężonymi oczami.

Pomimo pozycji leżącej, jaką zajmował, Gosseynowi udało się wzruszyć ramionami.

- Nie widzę potrzeby - odparł. - Chciałem jedynie zadać panu to pytanie, nie narażając się na gwałtowną reakcję. - Jeszcze raz wzruszył ramionami. - No więc?

Znowu odezwał się Cywil Numer Jeden:

- A co z tamtymi - niepewnie machnął ręką w stronę pustych krzeseł. - Co z naszymi chłopcami? Czy nie powinien ich... hm... sprowadzić?

Blayne, częściowo zwrócony w stronę mówiącego, spojrzał na Gosseyna.

- Co z nimi? - zapytał.

- Żyją- odparł Gosseyn i po chwili wahania dodał: - Ale nie znajdują się na Ziemi.

- Cały czas zastanawiałem się, gdzie schowałeś deformator, który ich usunął, ponieważ... - zawahał się - ...trzeba go było dobrze wycelować, żeby krzesła zostały.

Rozmowa ta przyniosła Gosseynowi pewną ulgę: teraz był już pewien, że Blayne nie wie nic o właściwościach jego dodatkowego mózgu i jest przekonany, że posłużył się ukrytą maszyną. Uznał, że należy utwierdzić go w tym przekonaniu.

- Wie pan zapewne - odpowiedział spokojnie - że kontakty międzygwiazdne, oprócz niebezpieczeństw i zagrożeń, przyniosły nam wiele nowinek technicznych.

Prezydent kraju, który kiedyś był Stanami Zjednoczonymi Ameryki, przytaknął.

- Myślę, że to dobre wyjaśnienie. Wydawało się, że naprawdę je akceptuje, ponieważ za chwilę odezwał się bardziej poufnym tonem:

- A co do twojego pytania, chciałbym powtórzyć to, co już kiedyś powiedziałem. -

Uśmiechnął się drwiąco. - Słyszałeś kiedyś o partiach politycznych?

- W związku z czym?

- No, cóż... - wyrozumiale - ...górną warstwę partii stanowi grupa wtajemniczonych, którzy zajmują wszystkie kluczowe stanowiska. Jest ich około ośmiuset i tuż przed wyborami spotykają się w tej osławionej, zadymionej sali, gdzie wszystkie słowa to kuchenna łacina. Każdy z nich z kolei ma własny zadymiony pokój z dwiema setkami własnych przeklinających zwolenników. Ci też dostają dobre posady. Górna grupa to prawa ręka prezydenta i jeśli zrobi on coś, co im się nie spodoba, podnoszą głośny wrzask.

- Podaj mi nazwiska ludzi z tej grupy, a ja z nimi pogadam - zaproponował Gosseyn.

Na twarzy Blayneya odmalowało się niebotyczne zdumienie.

- Pogadać z nimi? - wybuchnął. - Postradałeś zmysły?

-No, może nie całkiem pogadać. - Gosseyn również uśmiechnął się pobłaźliwie. - Moim prawdziwym celem jest odbudowanie Maszyny Igrzysk. Może pan potraktować to jako coś w rodzaju instytucji edukacyjnej, muzeum albo jeszcze lepiej, jako sposób na pozyskanie głosów tych głupków od semantyki ogólnej... może ich pan tak nazywać, chyba że zna pan jeszcze paskudniejsze słowo, które będzie bardziej przekonujące dla pańskich rzucających mięsem współpracowników.

- Dlaczego jednak chciałbyś spotkać się z tymi ludźmi?

- Interesuję się jedynie tymi, którzy sprzeciwiają się odbudowie Instytutu Semantyki Ogólnej, a później również Maszyny Igrzysk - wyjaśnił Gosseyn.

- Ale co byś im zrobił? - dopytywał się Blayney. Zabijesz ich?

- Nie. Tylko się ich pozbędę, tak jak twoich rewolwerowców.

Długa pauza. Wreszcie...

- Cóż, muszę przyznać, że udało ci się poskładać całkiem niezłe urządzenie do znikania - niechętnie przyznał Blayney. - Dokąd ich wyślesz?

- Mam na myśli takie jedno miejsce. Ale może lepiej, żeby pan nie wiedział, gdzie to jest.

Blayney chyba skinął dłonią, ponieważ Cywil Numer Jeden podszedł, rozwiązał Gosseynowi nogi, a potem otworzył kajdanki. Gosseyn zdjął je sam i oddał mu bez słowa.

Adiutant odstąpił na bok i zwrócił się do szefa:

- Sir, czy mogę zapytać o coś tego pana? - wskazał na Dana Lyttle'a.

- Dlaczego nie? - wzruszył ramionami Blayney. Adiutant zwrócił się do Lyttle'a:

- Chodzi mi o to, co pan mówił chłopcu na temat założeń. Czy dotyczy to również dorosłych?

Na szczupłej twarzy recepcjonisty pojawił się blady uśmiech.

- Dotyczy to wszystkich. Dlaczego pytasz?

- Słuchając pana, zacząłem sobie myśleć - brzmiała odpowiedź - że chyba sam mam kilka założeń, bez których mógłbym się obyć.

- Pójdź na podstawowy kurs semantyki ogólnej - poradził Lyttle. - Tak jak wasz... hm, szef. I proszę, jak daleko zaszedł.

Cywil nic nie odpowiedział, jednak zamyślony wyraz jego oczu świadczył, że w głowie pojawiła mu się pewna myśl i chyba pozostanie tam na dłużej. W chwilę później uprzejmie otwierał drzwi przed wychodzącym prezydentem.

Enin i Gosseyn minęli zakręt. Teraz dopiero ten ostatni mógł po raz pierwszy w tym ciele zobaczyć Instytut Semantyki Ogólnej - lub raczej to, co z niego pozostało.

Ujrzał budynek o prostokątnej ścianie frontowej, która, jeśli nie liczyć mocno podniszczonej fasady, mogłaby należeć do staromodnego banku. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się, Gosseyn stwierdził, że to wrażenie starości, jakie sprawiał, budynek Instytutu zawdzięczał nie czasowi, lecz zniszczeniom dokonany przez ludzi.

Wiedział, że ornamenty fasady zostały zdarte, ale teraz, kiedy przyjrzał się bliżej, zauważył, że znajdujący się pod nią beton również został uszkodzony.

Wraz z Eninem przeszli przez ulicę i znaleźli się przed głównym wejściem. Przycisnął przycisk, nad którym napisane było: DOZORCA. Obok przycisku znajdowały się małe, zwyczajnie wyglądające drzwi. Minęły co najmniej dwie minuty, po czym drzwi otwały się i stanął w nich mężczyzna w średnim wieku.

Ani jego oczy, ani zachowanie nie świadczyły, że rad jest z wizyty. Kiedy jednak z niechęcią przeczytał upoważnienie Blayneya wypisane na oficjalnym formularzu, odstąpił na bok i wskazał słabo oświetlony, upstrzony rysami i dziurami główny hol, który kiedyś był z marmuru.

- W dwóch trzecich długości znajdują się drzwi, a na nich napis: „Prywatne” - oznajmił nieszczęśliwym głosem. - Chyba o to wam chodzi.

- Potrzebujemy dwóch kluczy do tych drzwi - powiedział Gosseyn. - Nie będziemy pana niepokoić za każdym razem, gdy chcemy tu przyjść.

Napłynęła fala wspomnień.

- Wydaje mi się, że tu są jakieś boczne drzwi - mruknął. -Do nich też chyba powinniśmy mieć klucze.

- Jasne, nie ma sprawy - zgodził się niechętnie dozorca. Wyglądało na to, że wreszcie coś zaczęło do niego docierać, ponieważ dodał: - Coś się tu będzie działo?

-1 to dużo - odparł Gosseyn.

Te ostatnie słowa wypowiedział przez ramię, gdyż razem z Eninem już szli w głąb korytarza.

Po przejściu około trzydziestu metrów, Enin mruknął:

- Ten facet jest jakiś dziwny.

Gosseyn zgadzał się z tą opinią. Dozorca wydawał się dziwnie niechętny do współpracy. A może jego stanowisko było synekurą i większa aktywność mogłaby go zmusić do pracy. Trzeba go obserwować, choć właściwie, co taki dozorca może zrobić? No, chyba, że stoją za nim inni.

Gosseyn uświadomił sobie, że uśmiecha się ponuro do własnych myśli. Wniosek nasuwał się sam: gdzieś w cieniu mogą się kryć przeciwnicy semantyki ogólnej.

Nie był to jednak istotny problem. Ogromna większość ludności Ziemi w ogóle o to nie dbała. Dla nich Wenus, miejsce, gdzie każdy musiał zaczynać od początku, nie stanowiła najmniejszej atrakcji.

...Żadnej pracy!...Dobry Boże, jak oni się tam rządzą?

Niezliczone masy ludzkie na Ziemi, dla których mijające stulecia nie miały większego znaczenia... poza tym, że wraz z rozwojem techniki uruchamiali niewiarygodnie skomplikowane urządzenia w swoich domach i środki transportu przez zwykłe przyciskanie przycisków, nie starając się nawet pojąć zasady ich działania.

Zatem... zdecydował Gosseyn, gdy wraz z Eninem dotarli do drzwi oznaczonych jako prywatne - dozorca trzeba pilnować, chociaż na razie nie wiadomo jeszcze, dlaczego. I nie da się tego przewidzieć.

XVII

Weszli do apartamentu zamkniętego dla publiczności i Enin rozejrzył się.

- Na razie natykamy się jedynie na nędznych ludzi i jeszcze nędzniejsze miejsca.

Słyszac te słowa, Gosseyn pomyślał o czymś, co przywołało uśmiech na jego twarz; ale po krótkiej pauzie wygłosił jedynie znaną prawdę semantyki ogólnej:

- Eninie, mapa to niekoniecznie to samo, co terytorium, a poza tym twoje mapy nieco się pomieszały. Przecież właśnie wróciliśmy ze spotkania z przywódcą tego kontynentu.

Cisza.

- Ach, on! - Kolejna chwila milczenia, zmarszczenie brwi i pytanie: - Co pan rozumie przez mapę?

- Wyjaśnię ci później - obiecał Gosseyn.

Jednakże i jemu, nawet przy zastosowaniu semantyki ogólnej, pokój się nie podobał. Był wystarczająco duży, aby mogli w nim mieszkać przez jakiś czas, ale zdecydowanie nie wyglądał na dobrze utrzymany, a przede wszystkim brakowało tu mebli. Jedynym miejscem, gdzie dało się usiąść, była kanapa. Ani jednego krzesła w zasięgu wzroku, tylko jeden mały stolik i telefon z szafką.

W kuchni znajdował się kącik jadalny, wbudowany piekarnik i wbudowana lodówka. Z wbudowanych szafek znikło co najmniej dwie trzecie talerzy, które kiedyś przecież musiały tu być.

Apartament składał się z dwóch sypialni, jednej z dużym, podwójnym łóżem, drugiej z dwoma mniejszymi łózkami, ale obie pozbawione były innych mebli. Pozostały jedynie wbudowane szafy ubraniowe, a zatem mieli gdzie przechować ubrania, jeśli takowe zdobędą.

Enin skierował się do mniejszej sypialni. Widząc to, Gosseyn podszedł do kuchni. Przedtem, gdy przeglądał szuflady, zauważył w jednej z nich notes i pisak. Teraz zatem usiadł i zaczął spisywać listę potrzebnych im rzeczy.

Była to pierwsza spokojna chwila od czasu przybycia na Ziemię. Siedząc tak, nagle zdał sobie sprawę z dziwnego uczucia, jakie ogarnęło jego ciało i głowę. Przestał pisać i zmarszczył brwi - pióro nieruchomo zawisło w powietrzu. Co... co...?

Zza drzwi dobiegł do niego głos Enina:

- Myśli pan, że on wierzy w to, co mówi? Że naprawdę chce to zrobić?

- Co takiego?

Świadomość tego dziwnego, wewnętrznego wrażenia rozviała się, gdy odezwał się do

Enina.

-I o kim mówisz? - dodał.

- O panu Blayneyu! Czy myśli pan, że on naprawdę chce odbudować to miejsce?

Gosseyn dokończył pisanie słowa „mleko” i odłożył pisak. Wstał. Przeszedł do salonu i nagle zdał sobie sprawę z tego, że doświadcza niezwyklej kombinacji myśli i świadomości.

Teraz już wiedział, że to dziwne uczucie trwa od jakiegoś czasu, może nawet godziny, ale przytłumiła je absorbująca osobowość Enina. Zastanawiał się, co odpowiedzieć na pytanie chłopca; odczuwał przyćmioną obecność *alter ego*, wszystkie te inne rzeczywistości...

Znalazł Enina na podłodze w salonie. Leżał w dziwnie wykręconej pozycji, ale dzieciakowi chyba było tak wygodnie. Gosseyn podszedł bliżej, stanął nad imperatorem całego Dzan i przemówił, używając frazeologii semantyki ogólnej:

- Mogę ci dać jedynie odpowiedź opartą na uogólnionej mapie działania rządów i władzy, jaką mam w głowie.

- Ale przecież powiedział pan, że mapa to nie terytorium. -Oczy chłopca błyszczały inteligencją.

- Chciałem powiedzieć, że mapa niekoniecznie musi oznaczać terytorium - przypomniał z uśmiechem. - Jest to szczególnie prawdziwe, jeśli mówimy o posiadanych przez nas wewnętrznych mapach ogólnego działania świata i zamieszkujących go ludzi. Tu, na Ziemi, prezydent Blayney ma do dyspozycji mnóstwo pieniędzy na wydatki publiczne. Firmy remontujące Instytut, otrzymają pomoc rządu. Musimy więc sprawić, by znalazły się po naszej stronie, a zatem...

W tym momencie rozbrzmiał dzwonek telefonu. Gosseyn podszedł, podniósł słuchawkę:

- Halo.

- Tu firma budowlana Daynbar - odezwał się męski głos. -O ile wiem, został pan upoważniony do przeprowadzenia odbudowy instytutu. Chciałbym przysłać do was specjalistów, by omówili plan pracy.

Gosseyn zdumiał się, choć właściwie dopiero co mówił o czymś takim. Natychmiast wydedukował sobie, że jakiś współpracownik Blayneya skontaktował się z budowniczym, który później hojnie zapłaci swojemu informatorowi za tę wiadomość.

Dla niego stanowiło to pomyślne rozwiązanie, dlatego też od razu się zgodził.

- Kiedy pańscy ludzie mogą się tu zjawić?

Rozmówca obiecał, że specjaliści przyjdą jutro o ósmej rano i Gosseyn uznał, że wszystko odbywa się normalnie. Jakoś jednak nie dość szybko, by zaspokoić potrzebę

pośpiechu, jaka go nagle ogarnęła... nie wiadomo, skąd ani dlaczego.

Odłożył słuchawkę i zobaczył, że Enin wstał i stoi teraz w drzwiach kuchni. Chłopiec jednak milczał.

- Mam nadzieję, że nie jesteś za bardzo znudzony - zauważył Gosseyn.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym na twarzy chłopca pojawił się szeroki uśmiech.

- Odnoszę wrażenie, że porobił pan sobie jakieś założenia. Myśli pan, że chcę wracać na statek, do tych wszystkich dworskich lizusów?

- Raczej, że chcesz wracać do matki - odparł Gosseyn.

Jeszcze zanim skończył mówić, doszedł do wniosku, że może nieprawidłowo ocenił chłopca. W końcu nawet jeżeli Jego Wysokości Imperatorowi Dzan, pozbawionemu puchowej dworskiej otoczki, miejsce takie jak Ziemia wydaje się, hm, nędzne, to jednak dobrze się tutaj bawi i może chwilowo pragnąłby tu jeszcze zostać.

Zaledwie dokończył tę myśl, Enin potwierdził jego przypuszczenia:

- Przy panu dzieją się różne rzeczy. Nie jest pan mazgajem. Na przykład, pozwolił się pan związać, a i tak pozbył się pan tych uzbrojonych ludzi... - urwał i nagle oczy rozwarły mu się szeroko: - Hej, zapomniałem spytać. Gdzie ich pan umieścił?

Gosseyn uśmiechnął się złowieszczo.

- Na tym lodowatym świecie, z którego tu przybyliśmy.

- Ale...! - zatkało go z lekka. - Nie boi się pan, że zamarzną?

- Mieli porządne ubrania, a do tego budynku było tylko półtora kilometra, więc nic im się nie stanie. Gosseyn zamyślił się na chwilę i dodał jeszcze: - To cena, jaką każę im zapłacić za to, że nie uświadamiają sobie założeń, według których działają. Pamiętaj, że dałem im szansę, by przemyśleli to wszystko - zakończył. - Żaden się nawet nie zastanowił.

- Taaak - mruknął Enin. - No jasne... - I zaraz zmienił temat: - Chyba nie będziemy tu siedzieć w czasie remontu. To co się teraz będzie działo?

Dobre pytanie. Gosseyn coraz wyraźniej czuł, że coś go sonduje. Najwyższy czas dowiedzieć się, co właściwie wywołuje w jego głowie to dziwne wrażenie. Jednak zaledwie zdecydował, że zaraz się tym zajmie, znowu zadzwonił telefon.

- Chyba jeszcze jedna firma chce dostać robotę - zauważył Enin.

Gosseyn, który już podchodził do telefonu, nie odpowiedział na głos, ale w duchu zauważył, że na szczeblu rządowym takie projekty budowlane na pewno nie są przydzielane w drodze przetargu. Wszelkie zatem telefony związane z odbudową będą musiały stanowić kolejny aspekt zadania. A aspektów oczywiście będzie dużo.

Ale okazało się, że to nie kolejna firma budowlana. Męski głos po drugiej stronie linii

brzmiał ostro i nieprzyjemnie:

- Wyjaśnijmy to sobie od razu - rzekł. - Jeśli nie wyniesiesz się stąd do końca dnia, skończy się to dla ciebie bardzo źle. Nie pozwolimy odbudować tego Instytutu głupoty!

Gosseyn zauważył, że zarówno wiadomość, jak i głos są automatycznie rejestrowane. Zdążył otrząsnąć się z zaskoczenia spowodowanego niespodziewaną groźbą na tyle, by rzucić:

- Doprawdy? A więc radzę ci ubierać się ciepło. Po drugiej stronie linii zapanowało milczenie. Ten sam głos, ale już nie tonem groźby, lecz zdumienia, zapytał:

- A to co za nonsens? - I słuchawka gwałtownie spadła na widelki.

- Sądząc z tej rozmowy - powiedział Gosseyn - zaczynam przypuszczać, że to nasz dozorca musiał zadzwonić do kogoś, kto chętnie zapłaci za tę informację.

Enin zmarszczył brwi.

- Nie widzę tu założenia.

Gosseyn z trudem powstrzymał uśmiech, słysząc, jak chłopiec używa terminologii semantyki ogólnej, choć nie całkiem prawidłowo. Powiedział jednak tylko:

- Myślę, że ludzie sprzeciwiający się ogólnej reedukacji, przekupili dozorcę. Dzięki temu mają niezbyt kosztowne źródło informacji o tym, co dzieje się w budynku.

- Aha - chłopak skinął głową na znak, że się zgadza, ale najwyraźniej zastanawiał się nad czymś innym. Stał z mocno zaciśniętymi ustami, jakby o czymś uporczywie myślał. Wreszcie kiwnął głową.

- No to, co teraz robimy? - zapytał.

Gosseyn nie był w stanie udzielić mu na to pytanie natychmiastowej odpowiedzi. W głowie kręciło mu się tak, jakby jechał na karuzeli.

Teraz nie było już wątpliwości. Z całą pewnością coś uporczywie sondowało jego umysł.

XVIII

Jakiś czas później, gdy już udało mu się zwrócić uwagę swojego *alter ego*, Gosseyn Drugi odezwał się przez dzielącą ich ogromną odległość:

- Wiem, co się z tobą dzieje. Podlegasz temu samemu wpływowi co my, gdy okrętowi obcych chwilowo uda się przeniknąć nasz system obronny. Twój kłopot polega na tym, że ciebie tam nic nie chroni.

Biorąc pod uwagę ogromną barierę międzygwiazdną, dzielącą go od wroga, było to stwierdzenie co najmniej zaskakujące. Jednocześnie jednak jak najbardziej prawdopodobne. Próby okrętu obcych, by uzyskać kontrolę nad ich umysłami, załamywały się stale na elektronicznych systemach obronnych okrętów Dzan i Enra.

Pomimo to, ich niewiarygodnie dokładne przyrządy zachowały kontakt z Gosseynem Trzecim. A choć obcy prawdopodobnie nie zdawali sobie z tego sprawy, był dla nich najważniejszą istotą ludzką: osobą, która wprowadzi nieświadomie, ale była odpowiedzialna za to, że cały ich okręt wraz z załogą został prze-transmitowany do tej galaktyki.

Chyba jednak coś podejrzewali, ponieważ, pomimo dzielącej ich odległości wielu lat świetlnych, śledzili go elektronicznie doskonałymi przyrządami i próbowali dobrać się do niego.

Kiedy tak o tym myślał, przez moment przyszło mu do głowy: a właściwie dlaczego im na to nie pozwolić? Zapytał Gosseyna Drugiego:

- Co by się stało, gdybym dał się przenieść na ich okręt?

- Hm. - Odległej myśli Gosseyna Drugiego towarzyszył ponury uśmiezek. - Przynajmniej jedna rzecz odwlekałaby się na pewno - to znaczy odbudowa Instytutu Semantyki Ogólnej na Ziemi.

- Dan Lyttle przychodzi tu spać, kiedy kończy pracę o północy - odparował zarzut. - Sądzę, że mogę go spokojnie zostawić tu na straży, a sam wybrać się na tamten okręt... myślę, że naprawdę powinienem to zrobić, o ile uda mi się wpięrow uwolnić od tego człowieka, który tu, na Ziemi, może przyczynić kłopotów.

Odpowiedź pełna była rezygnacji.

- Jesteś odważniejszy niż ja. A co z chłopcem?

Gosseyn poczuł lekkie podniecenie. Rozejrzał się szybko. Ze zdumieniem stwierdził, że Enin zniknął z pola widzenia. Miał dziwną minę, przypomniał sobie. Chyba coś kombinuje.

- Zostawić go tutaj z Danem - odpowiedział Gosseynowi Drugiemu. - Wątpię, czy powinien w tej chwili wracać do ciebie. Jeszcze nie skończył kursu semantyki ogólnej. Przepraszam, ale teraz chyba się rozłączę i zobaczę, dokąd poszedł.

...Wielki mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami. To on przemawiał groźnym głosem. W poszukiwaniu Enina Gosseyn dotarł do długiego, zapuszczonego korytarza wiodącego do mieszkania dozorca. A ten nędznik leżał na podłodze, bełkoczącym głosem podając wszelkie informacje chłopcu, który -jak się okazało później - musiał go kilka razy „podpiec”, zanim wreszcie dotarła do niego smutna prawda, że jedynie pełna spowiedź zdoła go ocalić przed szczególnymi zdolnościami tego demona w skórze dziecka.

Wreszcie wykrztusił nazwisko: „Gorrolld”. Okazało się, że to gość z listy Blayneya, jeden z dwustu przeklinających popleczników z pomieszczenia za sceną.

Gosseyn udał się natychmiast do jego biura. Stał teraz, nieco zaskoczony, obejmując wzrokiem pulchne ciało i beczelną gębę Gorrollda. Nieładnie byłoby przenieść faceta ubranego tak lekko do tamtego, zamrażniętego świata. Rozważając inne możliwości, odezwał się uprzejmie:

- Prezydent Blayney poprosił, żebym z panem porozmawiał. Może się gdzieś wybierzemy, na lunch albo na drinka?

Może perspektywa wyjścia zmusi Gorrollda choć do włożenia przynajmniej marynarki?

Płonące szare oczy w nalanej, ponurej twarzy spojrzały na niego tępowo:

- Mamy drinki tutaj - oznajmił Gorrolld, ale nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby coś podać. Siedział sobie przy lśniącem biurku w samej koszuli z podwiniętymi rękawami i uśmiechał się sarkastycznie. Koszula wydawała się kosztowna, ale nie dość ciepła na śnieg.

- Chyba pan rozumie - ciągnął Gosseyn - że przyszedłem tu na prywatną rozmowę, której nie można prowadzić w gabinecie, gdzie każdy może nas podsłuchać.

- Jeśli prezydent chce mi przekazać specjalne instrukcje -odparł Gorrolld - może zadzwonić, tak jak to robił już setki razy, a kiedy rozpoznam jego głos, powiem: „Tak, panie prezydencie, proszę uważać to zadanie za wykonane”. - Z jego twarzy znikły wszelkie ślady uśmiechu. - Nie przyjmę jednak rozkazów od kogoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałem.

Gosseyn spostrzegł nareszcie marynarkę tamtego. Leżała w kącie gabinetu, przerzucona przez barek. Poczul się znacznie lepiej. Wstał z miejsca.

- Widzę, że nie dociera do pana fakt, że nasza rozmowa może być podsłuchiwana. Przekażę zatem prezydentowi, że woli pan otrzymać tę wiadomość od niego i że może tu do pana zadzwonić. W porządku?

Gorrolld odprowadził go do drzwi, otworzył je i zawołał sekretarkę.

- Panno Drees, proszę wyprowadzić gościa.

Gosseyn wyminał go, ale w taki sposób, że Gorrolld musiał na chwilę cofnąć się z powrotem do gabinetu. W tej samej chwili Gosseyn przesłał go do zamrażniętej krainy, po czym stanowczo chwycił klamkę i rzucił przez ramię tak, jakby wciąż mówił do Gorrollda:

- Do widzenia, sir.

Następnie spojrział na marynarkę leżącą w kącie. „Sfotografował” ją drugim mózgiem i w chwilę później marynarka podzieliła los swego właściciela, lądując na odległym, lodowym świecie.

Delikatnie zamknął drzwi za sobą i wyszedł. Po drodze zastanawiał się nad czymś, o czym powinien był pomyśleć wcześniej: czy sekretarka pana Gorrollda była na tyle dobrze przeszkolona, aby nie wejść bez wezwania do biura szefa, bo miał niejasne przeczucie, że dla odbudowy Instytutu Semantyki Ogólnej lepiej będzie, jeśli nikt nigdy nie dopatry się związku pomiędzy wizytą Gilberta Gosseyna i zniknięciem Gorrollda.

Chwila nieuwagi... i uczucie nieustannie obecne w jego głowie przeistoczyło się w wir ciemności.

XIX

Otworzył oczy w całkowitej ciemności. Pamiętając, co mu się przytrafiło, że doznał gwałtownego zawrotu głowy, więc leżał nieruchomo. Minęło ze dwanaście sekund, zanim pomyślał, że to możliwe? Czy tak mogło się stać?

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że ciało Gosseyna Trzeciego odzyskało świadomość w dokładnie taki sam sposób: w kapsule kosmicznej, zabranej na pokład okrętu wojennego Dzan.

...Leżę nagi (takie miał wrażenie), przykryty cienkim prześcieradłem...

Lekko poruszył rękami. Bez cienia wątpliwości - to było prześcieradło i oprócz niego nie miał na sobie nic. Dotknął palcami ciepłego ciała.

Powoli, ostrożnie pociągnął prześcieradło: zsunął je w dół, z torsu. Teraz, równie powoli, podniósł dłonie do góry i zaczął macać.

Dotknął płaskiej powierzchni. Znajdowała się mniej więcej trzydzieści centymetrów nad jego piersią. A kiedy napiął mięśnie i pchnął, okazało się, że to gładka, jednolita, nie ustępująca pod naciskiem substancja.

...Dokładnie tak samo, jak wtedy, w kapsule... tylko kilka dni temu, gdyby liczyć wyłącznie czas, kiedy był przytomny.

Położył się z powrotem i odprężył, myśląc: Czy jestem obserwowany również tutaj? A może odcięto mnie od świata zewnętrznego?

Ogarnęło go takie poczucie niepewności, że zdecydował się to sprawdzić.

- Alter! - wysłał myśl w kierunku swojej kopii. - Czy wiesz, co się ze mną dzieje? Czy to... - urwał, sama myśl o takiej możliwości przyprawiła go o drzenie. - Czy to kolejna śmierć w naszej grupie?

Cisza. Uczucie pustki... tam. A potem nagły kontakt, jakby otworzyły się jakieś drzwi.

- Przez te kilka sekund byłem tylko częściowo świadomy twojej obecności - przekazał mu Gosseyn Drugi. - Nawet twoje niedawne myśli wydawały się przyćmione. Może ktoś pozwolił nam na porozumienie się ze sobą. Wszystko wydaje mi się teraz wyraźniej sze.

Nie był to czas na zastanawianie się, o kogo mogło tu chodzić. Następane słowa *alter ego* wskazywały, że on też pomyślał o śmierci Gosseyna Trzeciego. Jednak odrzucił tę ewentualność.

- Nie sądzę - nadeszła odpowiedź z oddali - żebyś został zabity. To nie jest przebudzenie kolejnego ciała.

Stwierdzenie to przyniosło Gosseynowi pewną ulgę, ale przyprawiło go też o dreszcze. Ponieważ ten ktoś, kto przyczynił się do powstania obecnej sytuacji, kto dokonywał tych niesamowitych technologicznych cudów, wiedział o poprzednim przebudzeniu.

Albowiem pojemnik, w którym został zamknięty, był taki sam jak tamta kapsuła.

Nagle przyszła mu do głowy kolejna, nieoczekiwana myśl:

- A te rurki? Za pierwszym razem...

Nie odczuwał ani gumowych rurek, ani wbitych w jego ciało igieł, których obecność poprzednim razem uświadomił sobie tuż po przebudzeniu. Teraz jednak, gdy ostrożnie obmacywał się rękami, od ramion po stopy, nie wyczuwał niczego, poza nagą skórą.

Zawołał w myśli Gosseyna Drugiego.

- Chyba masz rację. To nie Gosseyn Czwarty budzi się do życia. Wygląda to na uwięzionego Gosseyna Trzeciego.

Z jakiegoś powodu uczuł ogromną ulgę. Minęła dłuższa chwila, zanim zdał sobie sprawę z tego, że właściwie nie ma powodu, by czuć się lepiej.

Od nowa zaniepokojony, podjął rozmowę myśli z Gosseynem... który był... gdzieś tam, bezpieczny.

- Zdaje się, że ci obcy zdołali mnie osiągnąć poprzez dziesiątki tysięcy lat świetlnych, capnąć mnie i gdzieś zawlec.

- Obserwowali cię jeszcze zanim zniknąłeś z okrętu Dzan. A teraz prawdopodobnie właśnie uporali się z problemem kontroli na odległość i wzięli się do roboty.

Leżący w kompletnych ciemnościach, Gosseyn Trzeci zgodził się, że to naprawdę całkiem, ale to całkiem oczywiste.

- W końcu musimy pamiętać - podsumował Gosseyn Drugi - że dodatkowy mózg Gosseynów sam udowodnił, iż na pewnym poziomie rzeczywistości odległość nie ma znaczenia.

Była to prawda, ale niezbyt miło było dowiedzieć się, że ktoś użył teraz tej samej metody, aby pojmać ciało Gosseyna. Skoro okręt obcych nie zawahał się przed zaatakowaniem krążownika Dzan, pytanie brzmiało: dlaczego po prostu nie zabili Gosseyna Trzeciego?

Odpowiedź Gosseyna Drugiego na to pytanie była dziwnie oschła i rzeczowa:

- Myślę, że możemy już przeanalizować sytuację. Chyba cię obserwują. Będą chcieli odtworzyć to, co im się przydarzyło. Nagle znaleźli się w innej galaktyce i właśnie mają w rękach czarny charakter odpowiedzialny za tę katastrofę. Bądź zatem w każdej chwili przygotowany na proces kryminalny o nielegalny przewóz obcych.

Ten komentarz jakoś nie był zbyt krzepiący.

Gosseyn Trzeci przypomniał sobie, że na Ziemi wyraził życzenie, aby znaleźć się na okręcie obcych i stanąć twarzą w twarz z półludźmi. A teraz konfrontacja taka zapewne wkrótce nastąpi, aczkolwiek w okolicznościach znacznie mniej sprzyjających: oni wiedzieli, gdzie on jest, a on nie był do końca pewien, czy wie gdzie są oni... a także i on sam.

Martwiło go również, że może popełnia błąd i powinien się stąd wynosić. Może nie ma sensu leżeć tu i mieć nadzieję, że wkrótce się dowie, co ktoś tam zechce z nim zrobić.

Ta myśl, chociaż nie przeznaczona dla niego, musiała dotrzeć do Gilberta Gosseyna Drugiego; jego umysł natychmiast zaczął nadawać:

- Cokolwiek zrobisz, musisz bardzo dokładnie się nad tym zastanowić. Tak, jak powiedziałem, twoi strażnicy mogą cię teraz obserwować i badać, co oznacza obserwację możliwości drugiego mózgu Gosseynów. A skoro, jak sobie sam przypominasz, rozważałeś możliwość przedostania się na ich pokład, nie odrzucaj tej okazji zbyt pochopnie.

- Uważasz, że jestem na okręcie obcych?

- To nie jest jedyna możliwość, ale biorąc pod uwagę to, co się do tej pory zdarzyło, jest to wysoce prawdopodobne.

- To prawda - zgodził się Gosseyn Trzeci. - Co mi zatem radzisz?

-Czekaj!

Czekanie okazało się dość długie...

Wreszcie doszedł do wniosku, że być może ci, którzy go obserwują, zastanawiają się, co on sam zamierza robić. A jedną z ewentualności był powrót na okręt Dzan.

Jeśli tam się przeniesie, znajdzie się znowu za bezpieczną osłoną ochronnych tarczy ogromnego okrętu. Ciekawe, czyjego strażnicy pozwolą mu uciec w miejsce, które znajduje się poza ich kontrolą.

Dotarł do tego punktu rozważań i stwierdził, że Gosseyn Drugi w myślach kręci głową.

- To dobry pomysł - przekazał - pod warunkiem, że najpierw przeniesiesz tam Enina. Jego matka myśli, że chłopak jest z tobą, dlatego lepiej się tu nie zjawiaj w pojedynkę.

- Dobrze. Teraz przynajmniej wiem, gdzie mam się udać najpierw.

Podjąwszy wreszcie decyzję, Gosseyn zebrał siły, a jego drugi mózg skoncentrował się, aby transmisja z podobieństwem do dwudziestu miejsc po przecinku mogła zadziałać, kiedy...

Nagle rozległ się głos:

- Wyciągnijcie go i zabierzcie do... (niezrozumiałe słowo). Chce się z nim zobaczyć.

Z oddali, od Gosseyna Drugiego nadeszło ostrzeżenie:

- Uważaj, Trzeci! Na pewno chcieli, żebyś to usłyszał. Wprawdzie sam fakt, że ktoś chce z tobą rozmawiać jest krzepiący, ale ich nagły atak tuż po przybyciu dał nam do zrozumienia, że nie są to istoty przyjazne. Radzę ci, bądź gotów, bo to może być tylko pułapka.

Gosseyn Trzeci nagle poczuł pod sobą jakiś ruch. Tak, jak za pierwszym razem, dwa długie dni temu, ruch odbywał się w kierunku jego głowy.

Westchnął w duchu. Po chwili - niezbyt długiej - jednak doszedł do wniosku, że nie wyraził w ten wzgórzowy sposób uczucia ulgi. Przeciwnie - raczej napięcie, które narastało w miarę, jak jednostajny ruch prowadził go do... czego?

Doznał przebłysków wspomnień, czym się to skończyło ostatnim razem - jak został wyciągnięty z kapsuły i umieszczony w niemal całkowitej ciemności laboratorium Dzan. Może Troogowie będą również próbowali się przed nim przez jakiś czas ukrywać, obserwując go jedynie żal pośrednictwem przyrządów.

Czy powinien im na to pozwolić? Po chwili z zalem stwierdził, że pytanie powinno raczej brzmieć: czy zdoła ich przed tym powstrzymać?

Przypomniał sobie, że na okręcie Dzan poczuł nagły chłód, ponieważ panująca w laboratorium niższa temperatura, lub po prostu większa ilość powietrza, pobudziła zakończenia nerwów nagiego ciała.

Czy powinienem uciekać? A może nie?

Zastanowił się, gdzie się powinien udać i przeprowadził cały proces „ustawiania”, niezbędny drugiemu mózgowi do przeniesienia się z podobieństwem do dwudziestego miejsca po przecinku.

Niezdecydowanie jednak okazało się oparte na podstawowej, oczywistej i nierozwiązanej niepewności, która właściwa była jedynie Gosseynom.

Duetowi Gilbertów Gosseynów, który akurat był przy życiu, przydarzały się różne dziwne rzeczy. Z jednej strony - na poziomie, na którym pracowali jako zespół, gdzie nie miało *znaczenia*, czy jedno z ciał nie zostanie zabite, jak długo drugie będzie istnieć wraz ze wspomnieniami i możliwościami tamtego... na tym właśnie poziomie może dobrze byłoby stanąć przed tymi istotami, zanim jeszcze do końca zrozumie, co mogą, a czego nie mogą mu zrobić.

...ale z drugiej strony, jeśli to ciało zostanie zabite... to naprawdę ja zginę na zawsze.

Pojawiło się poczucie winy... To my, ciała Gosseynów, z tym wspaniałym aparatem do upodabniania w głowach, u których pamięć oznacza tożsamość, a identyczne ciała

pojawiają się i pojawiają... Przecież ta grupa osiemnastolatków wciąż gdzieś tam czeka...

Pomimo tego wszystkiego, jestem pierwszy... i może jedyny... który *zaczyna* myśleć jak oddzielna osoba.

Zgodnie z prawami semantyki ogólnej, oczywiście, jestem istotą oddzielną, skomplikowanym tworem z cząsteczek i strumieni energetycznych ułożonych w kształt istoty ludzkiej, różnej od wszystkich pozostałych a identycznych kształtów we wszechświecie, w tym Gosseyna Pierwszego i Drugiego.

Jakaś część wniosków z tego szybkiego rozumowania w sytuacji stresu musiała dotrzeć do odległego o lata świetlne *alter ego*, ponieważ nagle pojawiła się myśl: „Hej, Trzeci, zaczekaj chwilę! Pogadajmy!”.

Prawdopodobnie wpływ sięgającego ku niemu umysłu tamtego Gosseyna, jednoczesne otwarcie drzwi i strumień światła wlewający się z sąsiedniego pomieszczenia, gdzie przez ułamek sekundy mógł dostrzec kilka powykręcanych, dwunożnych istot, które gapiły się na niego ogromnymi, pozbawionymi powiek oczami... wszystko to sprawiło, że na moment popadł w oszołomienie.

Ale to wystarczyło, aby wyzwolić reakcję.

XX

Przybył tu nagi, leżąc na plecach, z twarzą wzniesioną ku górze. Leżał całkiem nieruchomo, próbując odzyskać orientację w zalanym światłem słonecznym pomieszczeniu. Nie było to łatwe - w głowie i przed oczami miał wciąż obrazy obcych, których spostrzegł w ostatniej chwili.

Nagle ogarnęła go obawa, co mogą zrobić. Jednocześnie próbował bardzo szybko przeanalizować bodźce odbierane przez własne ciało.

Czy odczuwa cokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że wciąż jest z nimi w kontakcie?

Minęło kilka sekund, zanim zorientował się, że leży na dywanie w sypialni apartamentu w Instytucie Semantyki Ogólnej. Odetchnął z ulgą, gdy stwierdził, że drzwi są zamknięte, a on jest sam w pokoju. A potem...

Uświadomił sobie niewyraźne, powolne wrażenie wirowania.

Głęboko we własnym wnętrzu.

Spodziewał się tego, ale i tak był zawiedziony.

No dobrze, dobrze, pomyślał smętnie, dźwigając się na nogi. Przynajmniej wiem, co to jest i do czego może mnie to doprowadzić.

Gdy już pewnie stał na nogach, nabrał nadziei. Może będą go przez jakiś czas obserwować. Patrzyć, co robi. Dowiadywać się, po co tu przybył.

Ale najpierw zajmie się sprawami podstawowymi.

Blayney przesłał mu z tuzin ubrań wraz z wszystkimi innymi dodatkami: pięć z nich - jak stwierdził z ulgą- wciąż jeszcze wisiało w szafie.

Pospiesznie włożył spodenki, a następnie ciemnobezowe spodnie i odpowiednią do nich koszulę, skarpetki i buty. Zaczął się zastanawiać, jaki los spotkał garnitur, który miał na sobie, kiedy został przeniesiony do kopii kapsuły na statku obcych.

Czy zmięta marynarka, spodnie, slipy, koszula, krawat, skarpetki i buty wciąż jeszcze leżą w korytarzu przed biurem biznesmena Gorrolda?

Prawdopodobnie. Trudno było mu uwierzyć, że wrażenie wirowania, które poprzedzało moment transmisji, objęło cokolwiek oprócz jego własnego żywego ciała. Przenosząc się za pomocą upodobnienia do dwudziestu miejsc po przecinku, przenosił się wraz z ubraniami, jeśli pamiętał o tym, aby świadomie pobrać jego myślową fotografię...

Nagle stracił wątek myśli, gdyż uświadomił sobie, że Gosseyn Drugi usiłuje nawiązać

z nim kontakt.

- No, dobrze, *alter ego*, masz jakiś pomysł? - przesłał myśl na niewyobrażalną odległość.

- Nie - nadeszła spokojna odpowiedź. - Ja czuję się tak, jakby to wszystko, co przydarza się tobie, mnie nie dotyczyło. Ale mam nadzieję, że zanim stanie się coś jeszcze, zajmiesz się Eninem.

To prawda. Choć teraz, kiedy znów wkroczył na scenę, nie wydawało mu się to aż tak pilne, jak przedtem. Komentarz Drugiego, spowodował, że inne sprawy wydały mu się ważniejsze.

- Czy to oznacza - zapytał - że stajemy się wystarczająco różni, abyś ty nie odczuwał tego wrażenia wirowania?

- Być może. - A może to ich urządzenie naprowadzające jest nastawione tylko na ciebie.

To wydało im się najbardziej prawdopodobne. Gosseyn Trzeci przekazał zatem:

- Jeśli rzeczywiście tak jest, wówczas w razie potrzeby będziesz mógł się tu przenieść i zabrać Enina, lub przesłać go na podstawie fotografii myślowej w moim drugim mózgu.

- Musimy jeszcze trochę nad tym pomyśleć - odparł Drugi. - Może nawet przeprowadzić parę prób. We wszystkim jednak, co dotyczy Enina i ciebie, musimy uwzględnić wpływ, jaki twoje czyny wywrą na królową matkę Stralę. - Myśli tej zdawał się towarzyszyć lekki uśmieszek. - Jeśli masz być pierwszym Gosseynem, który będzie się kochał z kobietą, lepiej nie próbuj psuć jeszcze bardziej tego, co już i tak popsułeś.

Gosseyn Trzeci nie ośmielił się zakwestionować tych słów. Włożył buty i poszedł do salonu.

Zobaczył tam Enina z Danem Lyttle'em. Chłopak spostrzegł go natychmiast i zawołał:

- Jejku, ale się cieszę, że pan wrócił. Ten facet jest gorszy, niż... - wymienił jakieś nieznane nazwisko.

Gosseynowi wydało się, że usłyszane słowo brzmiało jak „Traada”. I, co ważniejsze, przypomniał sobie, że tak nazywa się nauczyciel imperatora na okręcie Dzan.

- A o co chodzi? - zapytał.

- O nazwy. Mówi, że krzesło nie jest krzesłem.

Gosseyn mimo woli uśmiechnął się. Prawdopodobnie Dan Lyttle prowadził dalej edukację chłopca w dziedzinie semantyki ogólnej, a to był temat ostatniej lekcji.

Żałował, że sam nie ma teraz czasu, żeby zajmować się takimi drobiazgami. Logika podpowiadała mu, że Troogowie, niezorientowani w kwestiach semantyki, szybko się

zniecierpliwia, jeśli zajmie się zwykłymi, codziennymi sprawami ludzkiej egzystencji.

Mimo wszystko były sprawy, o które musi zapytać. I to szybko.

- Czy mieliście jakieś kłopoty, kiedy mnie... - zawahał się nagle, zdając sobie sprawę z tego, że Dan i Enin są przekonani, iż do tej pory rozmawiał z biznesmenami przeciwnymi semantyce ogólnej; trudno też byłoby mu dobrać odpowiednie słowa, aby opisać porażającą prawdę o tym, co się w istocie zdarzyło, dlatego dokończył po prostu, stereotypowym: - nie mieliśmy?

Zadzwonił telefon.

Dan Lyttle uśmiechnął się i powiedział:

- Chyba mamy już odpowiedź na twoje pytanie. To już czwarty telefon od mojego powrotu. Pierwsze trzy pochodziły od mocno oburzonych biznesmenów. Mam podnieść słuchawkę?

- Nie. Ja to zrobię.

Gosseyn pospiesznie podszedł do kanapy i wziął słuchawkę.

- Dzwonili jeszcze dwa razy, kiedy byłem sam - dorzucił Enin.

- Halo! - powiedział Gosseyn swoim najlepszym barytonem.

Po drugiej stronie linii trwało milczenie. Potem rozległ się dźwięk przypominający raptowne wciągnięcie powietrza, wreszcie odezwał się znajomy głos:

- Tu Gorrold. Na wszelki wypadek, jeśli nie przypominasz sobie mojego nazwiska, może ci podpowiem, że dzwonię z pewnego obserwatorium w Andach. Jest tu również czterech ochroniarzy prezydenta Blayneya. Wracamy dziś wieczorem. Trzech z nas ma w stosunku do ciebie pewne plany.

Więc to była Ziemia...

Gosseyn przyjął tę informację z mieszanymi uczuciami. Właściwie powinno mu ulżyć, przecież nie chciał nigdy skrzywdzić żadnego z tych ludzi. Wydawało mu się również dość logiczne, że jego drugi mózg w momentach zamieszania potrafił odróżnić znajome miejsca od niezajomych. Interakcje trwały ułamki sekundy, a przy takiej prędkości znajome elementy automatycznie szybciej się synchronizowały.

- Mam wrażenie - powiedział do słuchawki - że powinniśmy porozmawiać osobiście, sam na sam. Teraz, kiedy już poznał pan nicłość, która stoi u podstaw wszechświata, wydaje się, że nadszedł na to czas.

Gorrold wydał dziwny dźwięk, jakby zaskoczenia. Wypowiedziane przez niego słowo, jeśli w ogóle można je było tak nazwać, składało się z samych „h” i „n”, z dodatkiem jednej czy dwóch, a może trzech samogłosek. W sumie brzmiało to jak „Huhnnuhhn?”, a ton

pozwalał sądzić, że chodzi o pytanie.

Gosseyn nawet nie próbował tego interpretować. Po prostu wykonał dingim mózgiem fotografię fragmentu podłogi odległego o jakieś cztery metry, jednocześnie przywołując w pamięci myślową fotografię Gorrola.

Zaledwie to uczynił, rozległ się głuchy dźwięk i okrzyk. Pochodził od biznesmena na kierowniczym stanowisku, którego poznał tak niedawno - czy to było wczoraj? - a który leżał teraz na podłodze w kącie pokoju.

Gosseyn odłożył słuchawkę i odezwał się spokojnie:

- Trudno nam porozumiewać się z innymi ludźmi, ponieważ mają oni zbyt uproszczone pojęcie o tym, jak się sprawy mają. Dla takich ludzi świat jest serią nieruchomych i niezmiennych obrazów myślowych. Patrzą na coś, co my nazywamy krzesłem, i wydaje im się, że to dokładnie, ni mniej, ni więcej, tylko właśnie - krzesło.

Jego opanowanie wyraźnie się udzielało. Enin, po jednym przerażonym spojrzeniu na wijące się na podłodze ciało, także doszedł już do siebie.

- No, a jak? Krzesła są po to, żeby na nich siedzieć - zawołał wyzywająco i wzruszył ramionami. - Zaczyna mi się wydawać, że jestem po ich stronie.

- Każde krzesło jest odmienne od wszystkich innych krzesel - wyjaśnił Gosseyn. - Nawet w fabryce, gdzie identyczne krzesła produkowane są całymi seriami, na przykład struktura drewna jest całkiem odmienna w każdym z nich. Jest to jednak tylko najprostszy aspekt tego, o czym mówi semantyka ogólna. Dla naszego umysłu najważniejsze jest, abyśmy przez cały czas pamiętali, że każdy przedmiot jest skomplikowaną strukturą fizyczną i chemiczną. W tym przypadku strukturę taką nazwaliśmy „krzesłem” i w zasadzie jest ona stosowana tak, jak powiedziałeś. Ale ja widziałem też, że podpierają nią drzwi. Każdy przedmiot ma swoją nazwę i to jest w porządku, ale musimy uświadamiać sobie, że pod tą nazwą kryją się cząsteczki, atomy, molekuły, strumienie energii i tak dalej - uśmiechnął się. - Rozumiesz?

Jego Wysokość Imperator Dzan nie odpowiedział od razu. Gosseyn zauważył, że Dan Lyttle też się lekko uśmiecha. Dan spojrzął na niego i bez słowa podszedł do Gorrola, który właśnie gramolił się na nogi.

Biznesmen wydawał się niepewny siebie. Wreszcie gniewnie zapytał:

- Do diabła, gdzie jest moja marynarka?

Dla Gosseyna była to chwila lekkiego zaskoczenia. Nie zauważył wcześniej, że Gorrol przybył tu bez niej. Oczywiście odnotował to gdzieś w głębi umysłu, ale miał tyle innych spraw, które absorbowały obserwacyjne zdolności jego mózgu - teraz dopiero zdał

sobie z tego sprawę - że znaczenie tego faktu jakoś do niego nie dotarło.

Dopiero po chwili przypomniał sobie, że przeniósł Gorrolda na zlodowaciałe zbocze góry, a następnie w przypływie uprzejmości przesłał marynarkę w to samo miejsce. W końcu nie chciał, żeby gość naprawdę ucierpiał z powodu zimna bardziej, niż to było absolutnie konieczne.

Pewnie marynarka leży teraz na podłodze obok telefonu w obserwatorium gdzieś tam w Ameryce Południowej.

W tych okolicznościach, dla drugiego mózgu przetransportowanie marynarki nie stanowiło problemu większego, niż przetransportowanie człowieka. Dlatego zaledwie w chwilę później Gosseyn ostrożnie wyminął Gorrolda i Dana. Schylił się. Podniósł marynarkę. I zwrócił ją właścicielowi.

Pulchny mężczyzna włożył ją w kompletnej ciszy. Jego nie pierwszej młodości twarz wyrażała całą gamę emocji. W końcu odezwał się:

- Muszę przyznać... - zaczął. Obiecujący początek, pomyślał Gosseyn.

-...że niezależnie od tego, jaka metodą się posługujesz, by to osiągnąć - ciągnął Gorrold, a jego słowa wskazywały, że za urazą i wściekłością kryje się również ostrożność - może lepiej będzie, jeśli dwa razy się zastanowię, zanim zdecyduję się cokolwiek przedsięwziąć! - dokończył.

Dla Gosseyna bez wątpienia było to najlepsze rozwiązanie, na jakie mógł liczyć. Przynajmniej na razie.

Zauważył, że Dan Lyttle otworzył drzwi wiodące na korytarz. Odczekał, aż Gorrold podejdzie, przekroczy próg i skręci poza ich pole widzenia. Przypuszczał, że Gorrold opuści budynek tak szybko, jak go nogi poniosą, ale Enin podbiegł do drzwi i wyjrzał na korytarz.

- Idzie do wyjścia - zameldował. A za chwilę:

- Poszedł sobie.

W ciągu tej pół minuty Gosseyn przymknął oczy i przeniósł po kolei wszystkich czterech strażników prezydenta Blayneya do miejsca na ulicy, którego kiedyś używał poprzedni Gosseyn.

Enin wrócił do pokoju.

- Zrobi pan coś z tymi facetami, którzy dzwonili? - zapytał.

- Nie - odparł Gosseyn wzdychając.

W jego głowie pojawiła się nagle dziwna myśl - dziwna przede wszystkim dla niego. Ogarnęło go bowiem uczucie, że najwyższy czas zrobić sobie przerwę. Przecież musi istnieć chwila wytchnienia w całej tej nieprzerwanie zmieniającej się, wędrowniej egzystencji, jaką

prowadziło to ciało Gosseyna od pierwszej chwili przebudzenia się w kapsule na okręcie wojennym Dzan.

To prawda, przespał się w domku Dana Lyttle'a. Odespał wprawdzie zmęczenie, ale nie tego mu było potrzeba. Teraz pragnął jakiejś rozrywki.

- Enin, Dan, słuchajcie! - zawołał. - Prezydent Blayney do każdego garnituru, który mi przysłał, włożył portfel pełen pieniędzy. Wyjdźmy sobie, chodźmy do najbliższej restauracji, zjedzmy coś i pogadajmy.

.. Restauracja była z rodzaju tych słabo oświetlonych, ale obok znajdowała się jaskinia gier wideo, z której Enina trzeba było wyciągać aż dwukrotnie: obydwie razy przyszedł posłusznie, kiedy Gosseyn oznajmił mu, że właśnie podano do stołu. Za każdym razem grzecznie zjadał swoją porcję i pędem wracał do gry.

Jedząc kanapkę z sałatką, Gosseyn próbował dowiedzieć się czegoś więcej o Danie.

- Dlaczego nie wyjechałeś na Wenus, skoro Maszyna uznała, że twoje szkolenie w zakresie semantyki ogólnej jest wystarczające? - spytał.

- Wiesz, jestem nocnym recepcjonistą w dobrym hotelu - wyjaśnił Dan szczerze. - Pomimo wysokiego stopnia komputeryzacji, w takich miejscach wciąż potrzebny jest człowiek; dostałem pracę wtedy, gdy było o nią dość ciężko i natychmiast odkryłem, że właściwie uniemożliwiła mi normalne życie.

Praca przez całą noc i ośmiogodzinny sen następnego dnia bardzo szybko położyły kres tym niewielu kontaktom towarzyskim, jakie nawiązałem po przybyciu do Miasta Maszyny Igrzysk ze wschodniego wybrzeża. Myślałem o tym i po kilku spotkaniach z dwiema dziewczynami, jakie odbyłem, oczywiście osobno, w wolne dni, doszedłem do wniosku, że nie mogę narażać żadnej młodej kobiety na małżeństwo ze mną. Niestety, semantyka ogólna, jak wiesz, a ja dowiedziałem się później, dostarcza jedynie wytycznych, jak żyć i przeżyć w różnych sytuacjach życiowych.

Zanim jednak podjąłem naukę SO, pojawiła się kobieta, która przychodziła do mnie późną nocą, po odwiedzinach u przyjaciółki spoza miasta, mieszkającej w tym samym hotelu. Oczywiście akurat o tym dowiedziałem się o wiele później. A było to tak: pewnego wieczoru zameldowała się w hotelu i wezwała mnie o trzeciej rano, żebym się z nią kochał. No cóż, byłem wtedy bardzo młody i brakowało mi doświadczenia. Okazało się, że jej mąż nie żyje, a ona postanowiła, że pozostanie mu na zawsze wierna i już nigdy nie wyjdzie za mąż. Ale zobaczyła mnie i wezwała, a ja poszedłem. Od tamtej pory, raz w miesiącu, błaga męża o przebaczenie, melduje się w hotelu i wzywa mnie.

Jak już mówiłem, zaangażowałem się w tę sytuację przed rozpoczęciem szkolenia w

semantyce ogólnej. A kiedy później omawiałem tę historię z Maszyną Igrzysk, okazało się, że nie potrafi ona ocenić tak prostej rzeczy jak ludzka aktywność seksualna. Wierz mi lub nie, ale kiedy Maszyna dowiedziała się, że pracuję w nocy, dość często dzwoniła do mnie wcześniej rano, żeby trochę pogadać.

Gosseyn czekał. Była to drobnostka, ale bardzo interesująca. Wynikało z tego, że Maszyna funkcjonuje nawet wtedy, gdy kabiny dla publiczności s[^] zamknięte.

- Może dzwoniła również do innych ludzi pracujących w nocy - ciągnął Dan Lyttle - ale nie sądzę. Ponieważ, kiedy pokazałeś się na Igrzyskach, a ona zaczęła oceniać twoją sytuację, jak również konsekwencje zbliżania się do Ziemi ogromnych armii, wykorzystwała mnie jako swojego sprzymierzeńca z zewnątrz. Pewnego dnia posłała po mnie, a wtedy dała mi kopię samej siebie, którą przygotowała.

- Tę małą płytkę z obwodami drukowanymi, którą mi pokazałeś? - upewnił się Gosseyn.

- Tak. Uwierz lub nie, ale dopóki nie pojawiła się druga kopia twojego ciała, nie pomyślała o tak prostym rozwiązaniu, jak zrobienie własnej kopii.

- No, tak - zadumał się Gosseyn. - Ale to wciąż nie wyjaśnia, dlaczego nie jesteś na Wenus.

- Zostałem jej specjalnym agentem. - Dana ożywił się. - Przyznasz, że to cenny status. A jeśli chodzi o tę kobietę, po przejściu na SO namówiłem ją na szkolenie. Zgodziła się i już po jakimś czasie odkryłem, że zaczyna, godzić się już ze śmiercią męża. A potem jakiś znajomy zaprosił ją na kolację. Wkrótce potem przestała się ze mną spotykać, ale bardzo się zmieniła. Nawet głowę nosiła inaczej.

Gosseyn nie zadawał dodatkowych pytań, nie komentował. To, co usłyszał, pozwoliło mu ujrzeć świętej pamięci Maszynę Igrzysk w całkiem innym świetle. A ta kobieta i jej związek z hotelowym recepcjonistą - cóż, w tej sferze życia ludzie zawsze mieli problemy do rozwiązania.

Zaobserwowano, że mężczyźni zazwyczaj wolą kobiety o wyrazistej urodzie, które w wyniku tego wykazują pewną wewnętrzną siłę. Ciekawe, że być może potrzebowali wyłącznie tej wewnętrznej siły.

Znieruchomiał. Wewnątrz... w samym środku... poczuł nagle dziwne szarpanie.

Pospiesznie zerwał się na nogi.

- Weź Enina do Instytutu - powiedział przez ramię i rzucił na stół portfel od Blayneya.

- Zapać tym za kolację.

Myślał: tym razem to nie żadne wirowanie, ale... szarpanie. Dokąd... zastanawiał się

jak w półśnie.

XXI

Na jednej z planet krążących wokół pewnego słońca w Drodze Mlecznej, człowiek nazwiskiem Neggen stał i przyglądał się małemu, podobnemu do cygara statkowi kosmicznemu.

Statek leżał u jego stóp, w naturalnym zagłębieniu gruntu, podzielonego na część ogrodową i część wyłożoną gładkim marmurem. Marmur był gładzony ręką ludzką, podobnie jak ręką ludzką sadzony był ogród, ale i jedno, i drugie dekoracyjnie otaczało niewielki statek.

Mężczyzna myślał z głębokim smutkiem: Te wszystkie lata, tysiąclecia, które statek tu przeleżał... a ja nie wiedziałem, co to takiego.

A teraz, z odległej Ziemi, od człowieka nazwiskiem Gilbert Gosseyn przyszła wiadomość, autoryzowana przez Ligę Galaktyczną. Głosiła ona, że prawdopodobnie statków takich będzie znacznie więcej, co najmniej po jednym na planetę - a w grę wchodziło ich kilkadziesiąt tysięcy. Opis w komunikacie odpowiadał dokładnie temu, na co teraz spoglądał.

Towarzysząca komunikatowi fotografia pokazywała wnętrze takiego statku, wraz z czterema pojemnikami. Dwa z nich były dość duże, aby pomieścić ciało dorosłego mężczyzny rasy ludzkiej. Dwa pozostałe były nieco mniejsze i każdy z nich miał zawierać ciało kobiety.

Szczegóły poznał z komunikatu Gosseyna, który kończył się słowami: „Prosimy o niezwłoczne powiadomienie nas, jeśli statek taki został kiedykolwiek znaleziony na waszej planecie, a jeżeli tak, to gdzie obecnie się znajduje”.

Wysłał informację, której od niego żądano... i oto spoglądał teraz na autora komunikatu, człowieka, którego zdjęcie przesyłano wraz z tekstem. We własnej osobie szedł on po marmurowych schodkach w kierunku Neggena.

Gosseyna Trzeciego niepokoiło przekonanie, jakie odczuł, kiedy w chwilę potem stanął obok Neggena, aby obejrzeć zdjęcia, że powinien teraz zająć się własnymi sprawami.

Ale czym?

Oczywiście w każdej sytuacji istniał jeden, niezaprzeczalny cel: pozostać przy życiu. Jednak w jego szczególnej sytuacji, był to cel pozbawiony sensu.

Najbardziej ze wszystkiego martwiło go to, że Troogowie tyle wiedzą. Jakimś cudem zorientowali się, skąd, z jakiej galaktyki przed ponad milionem lat, przywędrowała rasa ludzka.

Wykorzystali Ligę, jak również jego samego, do zlokalizowania jednego z tych

czteromiejscowych stateczków. Kiedy odebrali odpowiedź Neggena, posłużyli się własną dwudziestomiejscową metodą, aby przenieść Gilberta Gosseyna Trzeciego w miejsce, gdzie ani on, ani żaden z poprzednich Gosseynów nigdy nie był. Przenieśli go - z dokładnością do dwudziestu miejsc po przecinku - z restauracji w pobliżu Instytutu Semantyki na Ziemi.

A fakt, że tym razem przybył tu kompletnie ubrany, świadczył o tym, że odnotowali, co zrobił z marynarką Gorrola i to z taką precyzją, jakiej nie mogli uzyskać wyłącznie z jego umysłu, ponieważ on sam nie zdążył jeszcze „sfotografować” drugim mózgiem swego nowego ubrania.

Gdy zatem znalazł się na górze, obok stojącego na szczycie schodów człowieka odzianego w coś w rodzaju rzymskiej togi, pomyślał: Może oni chcą tylko, żebym zauważył, jacy są zdolni.

Pomimo to, z takich szczegółów mógł już wysnuć pewne wnioski.

- Co zamierzacie osiągnąć, odkrywając takie maszyny? - zapytał Neggen... po angielsku.

Słyszając znajomy język, Gosseyn zdał sobie sprawę, że coś mu chodzi po głowie. Trudno, może później. Niewiarygodne... znowu niewiarygodne, ale ci Troogowie musieli zorientować się, jak oni sami nauczyli się angielskiego, ponieważ teraz wykorzystali tę samą metodę, aby przekazać ją innym.

W każdym razie, w późniejszej konfrontacji pozwoli mu to zorientować się, w jaki sposób sto siedemdziesiąt osiem tysięcy Dzanów automatycznie zaczęło mówić po angielsku, w języku uśpionego ciała Gosseyna znajdującego się w kosmicznej kapsule, którą znaleźli w przestrzeni... po tym, jak okręt Dzan i jego załoga zostali wtajemniczy sposób przetransportowani z prędkością upodobnienia do dwudziestu miejsc po przecinku z własnej, odległej o miliony lat świetlnych galaktyki.

- Czy powinienem odejść? Czy powinienem wrócić i zabrać Enina? i udać się na okręt Dzan pod osłonę, jaką oferuje? Co o tym myślisz, Alter?

Nadał to pytanie spontanicznie, bez wcześniejszego przemyślenia: po prostu przyjął, że będzie mu potrzebna rada. Zdumiało go jednak, że nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Co gorsza, nie miał również wrażenia obecności drugiego Gosseyna we własnym umyśle... ani tam, w oddali.

Nie rozumiał, dlaczego Troogowie tak się starają, żeby rozdzielić umysły obu Gosseynów. Jeśli był to kolejny sposób na zademonstrowanie własnych umiejętności, które i tak już wcześniej pokazali... to trwał zdecydowanie za długo.

Nagle tok jego myśli został przerwany odgłosem kroków. Obejrzeni się obaj: on

iNeggen. Od strony długiego, niskiego budynku widocznego zza gęstych krzewów zbliżała się kobieta, również w długiej szacie przypominającej togę. Mogła mieć około czterdziestu ziemskich lat, podobnie jak mężczyzna.

Kobieta zatrzymała się jakieś trzy metry wyżej niż stali oni i powiedziała coś, co brzmiało jak:

- *N'ya dru hara tai, Neggen!* - W jej głosie brzmiał niepokój i pytanie.

- Dobry Boże! Rubri, a cóż to za szwargot? - wykrzyknął mężczyzna.

Fala wstrząsu emocjonalnego, spowodowanego tą rozmową, śmignęła Gosseyna jak batem. Potrzebował dobrej chwili, aby uznać, że jest w jakiś sposób odpowiedzialny za to, przez co przechodzą ci ludzie.

- Czy to twoja żona? - zapytał Neggena. Mężczyzna skinął głową, ale na jego twarzy nadal malowało się oburzenie.

- Co się z nią dzieje? - zrzędził.

Gosseyn już się opanował. Wskazał na zdjęcia i dołączony do nich komunikat.

- Zabierzmy ją do komputera - zaproponował. - Jeśli był w stanie przetłumaczyć ten komunikat, zanim... hm... poznałem wasz język, może tłumaczyć jej słowa. W sumie - dodał pospiesznie - te skomputeryzowane komunikatory międzygwiazdne mogą automatycznie tłumaczyć ponad sto tysięcy języków... a przynajmniej tak mnie zapewniono.

- A-a-ale...

-- To długa historia - przerwał mu Gosseyn. - Teraz jeszcze nie wiem, jak to wszystko odkręcić. Ale spieszmy się, zanim zdarzy się coś więcej...

Naleganie w jego głosie spowodowane było nagłym wrażeniem, które zrodziło się gdzieś głęboko... powróciło wrażenie szarpania.

Uświadomił sobie istnienie myśli, która na pewno była jego własną: Troogowie w jakiś sposób sprowadzili go tutaj, aby sami mogli przyjrzeć się maleńkiemu stateczkowi, który dawno, dawno temu przywiózł tu dwie kobiety i dwóch mężczyzn z ich własnej, odległej galaktyki.

W tamtych, zamierzchłych czasach, setki tysięcy tych miniaturowych statków przemierzyły kolosalne odległości między galaktyczne. Troogowie chcieli chyba sobie obejrzeć jeden z nich...

Oprzytomniał w restauracji, która okazała się kolejnym miejscem, do którego go przeniesiono.

Dopiero jednak po wyjściu z holu, w którym wylądował, mógł z całą pewnością stwierdzić, że w istocie jest to dość elegancka restauracja ziemskiego typu.

Jego spojrzenie spoczęło na wytwornie odzianym *maitre d' hotel*, i nagle przypomniał sobie, że również do tej restauracji zabrał Enina i Dana. Po co zatem Troogowie skopiowali tę sytuację?

Wspomnienie to jeszcze przez chwilę zaprzętało jego uwagę, dopóki kierownik sali nie podszedł do niego:

- Tędy, panie Gosseyn. Czekał ą na pana - rzekł po angielsku i zaprowadził go do jednego z tych małych, prywatnych gabinetów. Dopiero w progu stwierdził, że znajduje się w nim już – na pierwszy rzut oka - około tuzina osób, usadowionych wokół długiego stołu.

W grupie tej, pomimo panującego w pomieszczeniu półmroku, jego spojrzenie przyciągnęła czapa rudych włosów. I tak pierwszą osobą, którą Gosseyn rozpoznał, był, o dziwo, Enro Czerwony, król planety Gorgzid i zdobywca ogromnego imperium. Obok Enra siedział prezydent Blayney. A potem już jedna po drugiej z półmroku wyłaniały się znajome twarze: Prescottowie, Eldred i Patricia Crangowie, Leej, Breemeg, Draydart w mundurze, oraz trzech jeszcze innych mężczyzn, nad których tożsamością musiał się zastanawiać nieco dłużej. Byli to ci sami trzej naukowcy, których nazwał Głosem Jeden, Dwa i Trzy. To oni właśnie wyciągnęli go z kapsuły.

Na pewno istniał jakiś powód, by z okrętu wojennego Dzan przybyli tu wszyscy, z którymi wówczas pozostawał w kontakcie werbalnym, a prócz nich również prezydent Blayney z Ziemi.

Brakowało Strali. Brakowało Enina i Dana Lyttle'a oraz -poważne zaniedbanie - brakowało Gosseyna Drugiego.

W głowie błysnęła mu ciekawa myśl - chyba Troogowie nie byli jeszcze gotowi stawić czoła dwóm Gosseynom naraz.

Odniósł wrażenie, że tuż przed jego przybyciem wszyscy obecni zajęci byli zdawkową, przyciszoną rozmową.

Pewnie każdy z nich zaskoczony jest tym, co się zdarzyło. Jakiego mistrzostwa technicznego wymagało zgromadzenie ich wszystkich w tym jednym miejscu. Nie bez znaczenia było również to, że wszyscy znaleźli się tu żywi i nie zostali natychmiast zamordowani.

Zauważył już, że na końcu stołu znajdowało się jedno wolne krzesło, a przed nim puste nakrycie. Nie był zatem zaskoczony, gdy *maitre d' hotel* zaprowadził go właśnie tam.

W ciągu mniej więcej trzydziestu sekund, jakich potrzebował, żeby dotrzeć do wolnego miejsca, wszyscy obecni zachowali milczenie.

Gosseyn nie usiadł. Czekał, aż jego przewodnik odejdzie i spoglądał w twarze

zgrupowanych gości. Stwierdził, że oni również patrzą na niego - z wyczekiwaniem, a może nawet z nadzieją w oczach.

Mógł wyciągnąć z tego tylko jeden wniosek: liczyli na to, że teraz wreszcie dowiedzą się, o co chodzi. Że jego przybycie w jakiś sposób wyjaśni obecność ich wszystkich w tym pomieszczeniu.

Poczuł, że nogi troszkę ugięły się pod nim. On też nie wiedział, o co chodzi. Potrzebował więcej informacji. A ponieważ wiedział, że Troogowie raczej nie pozwolą mu zostać tu zbyt długo, zaczął... od pytania:

- Czy któreś z was ma może jakiś pomysł, który by wyjaśnił, po co obcy nas tu wszystkich zgromadzili?

Osobą, która pierwsza podniosła rękę, był Enro.

- Uważam - przemówił... po angielsku - że prawdopodobnie wiedzą, iż gdyby zrobili mi krzywdę, moja flota zniszczy ten ich samotny stateczek. Admirał Paleol jest ze mną w kontakcie przez cały czas.

Gosseyn ciekaw był, czy Enro zauważył, iż po przybyciu na okręt Dzan potrzebował siostry, by tłumaczyła z języka Gorgzid na angielski, a teraz nie tylko zrozumiał Gosseyna, ale nawet mu odpowiedział.

Z uśmiechem zadał mu zatem oczywiste pytanie:

- Po angielsku?

- Na liniach komunikacji międzygwiazdnej znajduje się urządzenie tłumaczące - wyjaśnił ze złością władca Najwyższego Imperium. - Dodano do niego najważniejsze języki ziemskie po tym, jak moja droga siostra - urwał i spiorunował wzrokiem Patricię Crang - wybrała się tam i... uch... złapała męża.

Młoda kobieta uniosła brwi, ale się nie odezwała. Gosseyn także nie zamierzał poruszać spraw prywatnych.

Jednakże Enro i jego szczególna sytuacja nagle nabrały w jego umyśle specjalnego, nagłego znaczenia... Muszę z tym coś zrobić i to szybko, bo nie wiadomo, z czym może zaraz wyskoczyć, zdecydował.

Dzięki swoim szczególnym zdolnościom wykonał drugim mózgiem precyzyjną fotografię całego ciała Enro, zauważając jednocześnie, że niewielki przedmiot, przymocowany do jego ubrania, ma przedziwne właściwości.

- Nosi przy sobie mały deformatsor - przekazał szybko swemu *alter ego* dlatego wciąż pozostaje w kontakcie ze swoją flotą, a oni z nim.

- Jestem pewien, że masz rację - brzmiała odpowiedź.

Gosseyn natychmiast odwzorował ten niezwykle interesujący przedmiocik. Maleńki środek ostrożności na przyszłość. No, gotowe. Przyda się w najważniejszym momencie.

Jednocześnie ciągnął dalej:

- Mogę cię osobiście zapewnić, że nie doznasz tu najmniejszego uszczerbku. - Popatrzył po zgromadzonych osobach. -Czy ktoś powie coś jeszcze, bo sprawi, że poczujemy się bezpieczniej?

Eldred Crang podniósł rękę.

- Może nie będzie to zbyt krzepiąca informacja, ale zauważyłem, że ty także zakładasz, iż głównym inicjatorem tego całego zamieszania są Troogowie.

Gosseyn przytaknął.

-Przypuszczam, że Troogowie zastosowali wiedzę, jaką zdobyli na temat mojego drugiego mózgu, aby was tu przywieźć. Wydaje się zatem... - użył formuły z semantyki ogólnej - że mają jakiś plan...

Opisał, co mu się przytrafiło, kiedy znalazł się nagle z powrotem w kapsule, ale tym razem na pokładzie okrętu obcych.

- Może powinienem był poddać się temu przesłuchaniu, ale wolałem się ulotnić - kończył relację.

Wszyscy milczeli. Twarze wydawały się poważniejsze, ale to było wszystko. Tylko coś w postawie Leej przyciągnęło jego uwagę.

Gosseyn, któremu spieszyło się coraz bardziej, przez cały czas był świadom tego, że Leej wizjonerka siedzi jakoś bokiem, jakby starała się unikać patrzenia mu w oczy. A dla niego nadszedł czas, aby wykorzystać jej umiejętności.

Spojrzał na nią uważnie i zapytał:

- Leej, ile mamy czasu?

- Twoje pytanie świadczy o tym, że myślisz wyłącznie o tym, co zrobiłeś przed minutą - odparła.

A więc zauważyła. Nic w tym dziwnego, ale jakoś o niej nie pomyślał, chyba za bardzo się przejmował.

- To prawda - przyznał.

- Masz około czterech minut - powiedziała po namyśle. -A potem znowu ta ciemność.

Powagę chwili zakłócił ruch przy tylnych drzwiach gabinetu. Weszło trzech boyów z karafkami i zaczęli roznosić wodę. Napełnienie wszystkich szklanek zajęło im około minuty. Zanim wyszli, jeden z nich, prawdopodobnie szef, odwrócił się i zapytał:

- Czy kelnerzy mają już podawać?

- Damy znać - odparł Gosseyn.

Prezydent Blayney odezwał się po raz pierwszy:

- Damy znać - rzekł stanowczo.

Gdy boy wyszedł, Gosseyn stał w milczeniu.

Nadeszła szczególna chwila. Sam fakt, że wszyscy siedzący wokół stołu, w tym również dwie głowy państw, Enro i Blayney, rzeczywiście patrzyli na niego, sprawił, że przez chwilę widział ich oczami.

Siebie samego, stojącego przed nimi! Silnego fizycznie zdeterminowanego mężczyznę o szczupłej, opalanej twarzy, dość wysokiego - prawie metr osiemdziesiąt - spokojnego i pewnego siebie. W jakiś sposób we wszystkim, co robił: w sposobie, w jaki chodził, każdym geście, widać było moc drugiego mózgu i... semantyki ogólnej.

Mógł się jedynie domyślać, skąd wzięła się jego opalenizna, może, na przykład w skład systemu podtrzymania życia w kapsule, wchodziło również źródło łagodnego promieniowania.

W ciągu tych kilku sekund skupienia na swoim, ja" wydało mu się, że nie ma sensu robić nic innego niż to, co właśnie robi. Dlatego spokojnie zapytał tylko:

- Jeszcze ktoś?

Prescott, który wyglądał na czterdziestolatka, a zatem, obok Blayneya, był jednym z dwójki najstarszych ludzi w tym gronie, podniósł rękę i zapytał:

- Jak sądzisz, co te stworzenia chcą teraz zrobić?

- Wydaje mi się - odparł Gosseyn - że po prostu chcą wrócić do swojej galaktyki; myślę, że studiują mnie, aby się przekonać, jaki mógł być mój udział w ich sprowadzeniu tutaj.

Prescott wykonał dłonią niewielki gest, obejmując pozostałych siedzących przy stole.

- Jeśli są technicznie zdolni do tego, żeby nas tu sprowadzić, dlaczego nie są w stanie wrócić do domu?

Gosseyn wyjaśnił sprawę uszkodzonych zakończeń nerwowych w swojej głowie.

- To dlatego mnie tak dokładnie badają- dodał. - Obawiam się tylko, że kiedy będą gotowi do odjazdu, zabiją nas wszystkich, o ile nie uda nam się przekonać ich, że flota Enra zaatakuje, zanim zdołają uciec.

W gabinecie zapanowała cisza. Po dłuższej chwili Gosseyn ciągnął dalej:

- Będę potrzebował opinii każdego z was. Teraz obejdę stół i kiedy wskażę na któregoś z was lub wymówię jego imię, proszę o komentarz albo opinię na temat naszej sytuacji.

Z konieczności zaczął od osoby, stojącej na szczycie ziemskiej hierarchii, rozpaczając jednocześnie w duchu nad straconym czasem:

- Panie prezydencie?

Wybrany przywódca kontynentu amerykańskiego rzekł:

- Na szczęście byłem sam w biurze, kiedy odniosłem to dziwne wrażenie. A już w następnej chwili znalazłem się tu, w tym gabinecie restauracji, bez mojej straży. Zaraz potem, zanim zdążyłem przejść choćby kilka kroków w kierunku sali, pojawił się *maitre d' hotel*, widocznie dokładnie o wszystkim poinformowany, ponieważ powiedział: „Tędy, panie prezydencie”. Oczywiście poprosiłem, żeby powiadomił moje biuro, zatem prawdopodobnie zaraz zjawi się tu niewielka armia, jeśli to w ogóle pomoże... Ale i tak każę moim ludziom wyciągnąć od personelu restauracji, kto polecił im przygotować ten lunch.

- Dziękuję, panie prezydencie - z kurtuazją odparł Gosseyn.

Ponieważ jednak czas gonił go coraz bardziej, a cztery minuty upływały w zawrotnym tempie, pospiesznie powiódł wzrokiem wzdłuż stołu.

- Patricia.

Młoda kobieta, siostra Enra i żona Eldreda Cranga, wydawała się przez moment zdezorientowana wezwaniem. Po chwili jednak oznajmiła:

- Oczywiście uważacie, że siedzę w tym wszystkim od samego początku. Muszę jednak wyznać, że przybycie Troogów zupełnie zbiło mnie z tropu. - Po tych słowach odchyliła się na krzesło i wzruszyła ramionami.

Ponieważ Crang już się wypowiedział, Gosseyn wskazał panią Prescott, która siedziała obok Patricii.

- Już raz prawie mnie wykończyli w trakcie tego koszmaru - westchnęła - więc wiem, że śmierć jest jak omdlenie. Myślę, że to zniosę, jeśli będę musiała, mam tylko nadzieję, że przedtem nie będę cierpieć.

Słowa te zostały wypowiedziane cicho, lecz niosły tak potężny ładunek smutku, że Gosseyn doznał wstrząsu. Opanował się błyskawicznie, przełknął ślinę, zaczerpnął tchu, po czym podniósł rękę i wskazał naukowca Dzan, który siedział za panią Prescott.

Głos Trzy Dzan udzielił następującej rady:

- Myślę, że nie powinieneś zostać tu ani chwili dłużej. Wracaj pod ochronę ekranu energetycznego na naszym okręcie, pozwól, żeby ten drugi Gosseyn przybył tutaj i nas uratował. Ja...

Jeśli powiedział jeszcze coś, Gosseyn już tego nie usłyszał. Poczul we wnętrzu narastające szarpanie...

XXII

Prawdopodobnie cię badają... Rozejrzał po miejscu, do którego przybył i uznał, że Gosseyn Drugi majak zwykle rację. Tym razem znalazł się w miejscu, które nie przypominało żadnego z kiedykolwiek odwiedzanych przez kolejnych Gosseynów.

Po prostu stał i patrzył z góry na uniesioną ku niemu twarz młodej kobiety. Nie znał jej. Być może obcy chcieli zaobserwować jakąś jego reakcję na jej widok. Ale jaką?

Kobieta odezwała się z pewnym wahaniem... po angielsku:

- Dostałam twoje zdjęcie.

Miała delikatną twarz o regularnych rysach, ciemne oczy i włosy. A jednak... nie była to zupełnie ziemską twarz. Ocenił jej wzrost na metr sześćdziesiąt pięć. Ubrana była w coś, co przypominało jasnobezową tkaninę owiniętą wokół ciała z góry na dół jak rzędy szarf. Na nogach miała brązowe sandały, a wokół szyi cienki naszyjnik, wyglądający na skórzany.

Jej ciało było szczupłe i wdzięczne, choć nie można jej było nazwać pięknnością. A on, z tego, co miał przed oczami, w żaden sposób nie mógł wywnioskować, czego obcy spodziewali się po tym spotkaniu.

Postawili go więc przed atrakcyjną kobietą w wieku około dwudziestu dwóch lat, jeśli liczyć ziemską metodą. Za nią biegła szosa... uznał, że to chyba szosa, ponieważ widział szarą, gładką płaszczyznę, szeroką na jakieś trzydzieści metrów. Ciągnęła się wiele kilometrów i wiodła do miejsca, gdzie zaczynało się miasto. Majaczył tam żółtobrązowy masyw, prawdopodobnie jakieś budynki.

Po drugiej stronie szosy rosły drzewa i gęste krzaki, zasłaniające jakieś niskie budowle.

Wszystko wydawało się... inne. Ani to Ziemia, ani Wenus, ani Gorgzid, ani żadna inna ze znanych scenerii. Gosseyn przyjął, że to po prostu jeszcze jedna zamieszkała przez ludzi planeta galaktyki Drogi Mlecznej.

Jednocześnie przypominał sobie, że w tych ostatnich sekundach niedoszłej kolacji, znowu czując wewnętrzne szarpanie, podjął błyskawiczną decyzję -jeszcze raz pozwoli się przetransportować Troogom tam, gdzie zechcą. Niech się stanie, choć rozsądek podpowiadał mu, że rada Głosu Trzy, by wrócił na okręt Dzan, jest dobra i należy z niej skorzystać.

Niestety, to, na co pozwolił, okazało się spotkaniem bez znaczenia. Z przykrością stwierdził też, że kobieta chyba już nigdy nie będzie w stanie porozumiewać się we własnym języku.

Westchnął. Tak się zatopił w rozmyślaniach, że od chwili jego przybycia minęła już cała długa minuta. Poniewczasie przypomniał sobie, co powiedziała kobieta. Powtórzył jedno z jej słów:

- Zdjęcie?

- Tak - sięgnęła do fałdy swojej niezwyklej sukienki, wyjęła mały, płaski przedmiot i skwapliwie mu go podała.

Patrzył teraz na własne zdjęcie. Stał na nim przy jakiejś ścianie. Pomyślał, że mogło zostać zrobione w restauracji, gdzie -według własnego, wewnętrznego zegara - znajdował się jeszcze dwie minuty temu.

W jakim celu Troogowie zaaranżowali to spotkanie między Gilbertem Gosseynem a młodą kobietą z innej planety?

Kolejne pytanie zadał na głos.

- Wydaje mi się, że zależało ci na tym zdjęciu. Dlaczego?

- Już bardzo dawno, kiedy usłyszałam o tych wszystkich innych miejscach - machnęła ręką w kierunku nieba - postanowiłam, że nie chcę spędzić życia na Meerd. I... - w jej głosie nagle zabrzmiał niepokój - poinformowano mnie, że możesz być mną zainteresowany. - Jestem członkinią od ponad dwóch lat i jeszcze nikt taki mi się nie trafił - dokończyła pośpiesznie.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o czym kobieta mówi, ale zaraz go oświeciło: pewnie należy do międzygwiazdowego klubu samotnych serc.

Patrzyła na niego błagalnie.

- Miałam ci powiedzieć, jak mam na imię - szepnęła. -A wtedy wszystko będzie między nami w porządku. Mówili...

- urwała na chwilę - że pasjonuje cię znaczenie słów, a moje imię będzie miało dla ciebie bardzo szczególne...

- Znaczenie słów? - powtórzył Gosseyn.

Niemal czuł, jak pogrąża się w jakiejś przepaści analitycznego myślenia Troogów. Czy to możliwe, aby te powierzchowne informacje, jakie obcy zdołali wyłuskać z jego umysłu na temat semantyki ogólnej, wprawiły ich w aż takie zdumienie? A spotkanie na tej planecie miało wykorzystać słabość, którą w nim jakoby odkryli?

Poczuł, że ogarnia go coraz większe napięcie. W istocie wręcz z lekka rozstawił stopy, jakby chcąc zapewnić sobie równowagę i mocniejsze oparcie. Powiedział sobie, że może tu pozostać dłużej niż podczas poprzednich transmisji, gdy Troogowie kontrolowali jego działania.

Ale jedyne, co mógł teraz zrobić, to zapytać:

- No, więc powiedz mi, jak masz na imię?

- Strella? - Brzmiało to jak pytanie.

Od razu powinien o tym pomyśleć. Ze względu na słowa. I na podstawową koncepcję semantyki ogólnej. Strella i Strala -takie podobieństwo imion...

Rzeczywiście, wtedy powiedziałem, że imię Strala bardzo mi się podoba, przypomniał sobie Gosseyn, a obcy uznali zapewne, że słowo równoznaczne jest z rzeczą, co stoi w absolutnej sprzeczności z podstawową zasadą semantyki ogólnej, która mówi, że „słowo nie jest rzeczą”. W tym przypadku, imię nie jest kobietą.

Wrócił myślą do poprzedniego wniosku, iż młoda kobieta mogła na zawsze utracić kontakt z rodzinną planetą. I znów ogarnęło go lekkie zdumienie, że Troogowie wierzą, iż jakakolwiek kobieta o podobnym imieniu będzie dla niego tak samo atrakcyjna...

Nagle podjął decyzję. Zaczął działać - szybko i radykalnie. Dokonał natychmiastowego odwzorowania myślowego Strelli i przesłał ją od razu na obszar podłogi w Instytucie Semantyki Ogólnej na Ziemi, tam, gdzie sprowadził wcześniej biznesmena Gorrola z Andów w Ameryce Południowej. Było to miejsce, gdzie- przynajmniej do pewnego stopnia - będą w stanie ją zrozumieć.

Zaledwie ukończył najlepszą akcję ratunkową, jaką mógł wymyślić dla tej młodej kobiety, gdy coś poruszyło się w jego mózgu i po tak długim czasie znów odczuł obecność Gosseyna Drugiego... tam, daleko.

Uzucie to musiało wystąpić jednocześnie u obydwu, gdyż *alter ego* natychmiast przesłał mu pilny komunikat myślowy: „Mam złe wieści. Zaledwie zniknąłeś z restauracji, wszystkich ludzi zabrano na pokład okrętu Troogów”.

Wstrząs i poczucie winy, jakie ogarnęły Gosseyna Trzy, rozwiały się bardzo szybko. Prawda była taka, że nawet, gdyby tam został i pomógł, i tak Troogowie zdołaliby zagarnąć większość grupy. Jak do tej pory on sam potrafił pracować z prędkością tylko jednego dwudziestomiejscowego transportu naraz.

Drugi odczytał chyba tę myśl z jego mózgu, bo przez dzielące ich lata świetlne przesłał zrezygnowanym tonem:

- Prawda jest taka, że oni chcą tylko i wyłącznie ciebie. Jeśli ktoś może im pomóc w powrocie do własnej galaktyki... metoda znajduje się prawdopodobnie gdzieś w płątaniu nerwów w twojej głowie. No cóż, powodzenia, braciszku - rzucił na zakończenie. - Bo przecież tym właśnie jesteśmy... braćmi bliźniakami.

No, nie całkiem bliźniakami, pomyślał Gosseyn Trzeci.

Nie zatrzymywał się już, by wyjaśnić szczegółowo różnice, lecz natychmiast przetransportował się do laboratorium na okręcie Troogów.

XXIII

Zbliżała się końcowa bitwa. Gosseyn był już tego pewny, gdy stwierdził, że leży na podłodze. Leży twarzą do ziemi - a nie stoi.

Tak więc jakimś cudem, w ciągu tych ułamków sekundy przed transmisją, potężna nauka Troogów pozwoliła im zmodyfikować jeden z aspektów dwudziestomiejscowej metody transportu. Poprzednio zawsze lądował w tej samej pozycji, w jakiej znajdował się w momencie startu. Na Meerd stał, podczas, kiedy tutaj...

Pozostał tam, gdzie był. Nawet nie od razu poruszył głową.

Mogliby mnie zabić, kiedy tak leżę, pomyślał, ale wierzył, a przynajmniej wydawało mu się, że wciąż jest potrzebny obcym. Udowodnili to już trzykrotnie, podczas trzech oddzielnych akcji. Za każdym razem mogli bez trudu zadać mu śmierć, ale tego nie uczynili.

Leżał rozciągnięty, twarzą do podłogi. Nos miał wciśnięty w coś, co wydawało się miękką i gładką wykładziną. Oczy patrzyły na szarobiałą, lekko połyskującą płaszczyznę. Wciąż zakładał, że jest to podłoga laboratorium, na którą chciał trafić z odległego układu gwiazdowego, który młoda kobieta imieniem Strella nazywała Meerd.

Już czas, żeby pokazać, że jest przytomny i ostrożnie się poruszyć. Podniósł się na klęczki.

Teraz zobaczył, że w istocie znajduje się w pokoju, który widział jedynie przelotnie, kiedy wyjmowano go z kapsuły. Domyślał się wówczas, że może to być laboratorium. Z niewiadomej przyczyny identyfikacja ta... a raczej rozpoznanie... spowodowało na niego uczucie wielkiej ulgi.

Jestem tam, gdzie chciałem się znaleźć.

Jeszcze zanim to sobie uświadomił, podniósł się z klęczek do pozycji stojącej, równie niespiesznie, jak przedtem. Uważał niezmiennie, że wszelkie gwałtowne gesty mogłyby wywołać nieprzyjemne reakcje.

Wyprostował się i rozejrzał po jasnym, przestronnym wnętrzu. Z podłogi i ścian wystawały liczne, lśniące maszyny i pulpity przyrządów.

Nie widać było jednak ani śladu kapsuły, w której leżało jego ciało, podczas gdy Troogowie robili mu powtórkę z pierwszego przebudzenia, którego doświadczył na okręcie Dzan. Właściwie nawet nie spodziewał się, że ją tu zastanie. Prawdopodobnie sprowadzono ją na pokład przez jakiś otwór w ścianie. Najbardziej podejrzana wydała mu się ściana z najmniejszą ilością wbudowanej aparatury i długim, ciemnym cięciem pośrodku na całej

wysokości od sufitu po podłogę. Na pewno w tym miejscu rozdzielała się i rozsuwała na boki. Przez taki otwór można przenosić większe przedmioty do i z laboratorium.

Zniecierpliwiał się, że traci tyle czasu. Albowiem jest na miejscu - człowiek, który zna odpowiedzi na wszystkie pytania.

Na pewno wiedzą, że tu jest...

Wydało mu się, że nie może czekać beczynnie na ich reakcję, lecz musi zacząć działać. To prawda - im więcej dowie się teraz, zaraz - tym bezpieczniej będzie się czuł później, gdy nadejdzie chwila kryzysu.

Może powinien skontaktować się z Gosseynem Drugim?

Był to tylko przelotny impuls. Już dawno zauważył, że w eterze panuje cisza.. Nie czuł zupełnie myślowej obecności swojego *alter ego*. Całkowite odcięcie. Znowu.

Co Troogowie mogą szykować dla pozostałych więźniów? By się tego dowiedzieć, musi stąd wyjść i znaleźć Cranga, Patricię, Prescottów, Enra...

Wpadł na ten pomysł, gdy zobaczył coś, co przypominało drzwi. Bez wahania skierował się w ich stronę.

Czymkolwiek była ta płaska metalowa powierzchnia, nieco przypominająca drzwi, miała kilka metalowych mechanizmów, które zapewne umieszczono tam w jakimś celu. Gosseyn ciągnął, pchał, kręcił każdy z nich po kolei. Dwa przy takim traktowaniu wydały ciche kliknięcia, ale drzwi nie ustąpiły... oczywiście, jeśli to były drzwi.

Odstąpił w tył, bardziej zdeterminowany niż do tej pory.

No cóż, a gdyby tak wykonać dwudziestomiejscowe połączenie pomiędzy energią zasilającą jeden z pulpityw aparatury a mechanizmem drzwi...

Zaczynało mu działać na nerwy, że Troogowie zachowują się tak, jakby nie dostrzegali jego obecności. Co za strata czasu! A on miał sporo do powiedzenia.

Ta smężna myśl wciąż jeszcze kołatała mu się po głowie, kiedy chwilę później z sufitu rozległy się słowa:

- Gilbercie Gosseyn, w pełni cię kontrolujemy - oznajmił tenorowy głos... w języku angielskim. - Tu nie możesz nawet użyć drugiego mózgu, aby uciec.

Wprawdzie słowa sugerowały mu możliwość, którą już sam wcześniej brał pod uwagę, ale kiedy je usłyszał, pomyślał: „To tego się nauczyli w czasie trzech podróży, które mi zafundowali...”.

Nie było już zatem najmniejszej wątpliwości: całe to szaleństwo wchodziło właśnie w decydujący etap. Pomimo chwilowej nadziei, stał jeszcze przez minutę, czekając - skonstatował ze smutkiem - aż wróg da mu okazję do działania. W ciągu tej minuty otoczenie

się nie zmieniło. Widział lśniące metalowe ściany, szarawą podłogę i wszystkie te przyrządy, sterczące w górę i na boki.

Przyjął, że Troogowie mogą w pewnym zakresie czytać jego myśli. Ponieważ jednak nie poznali decydującego aspektu semantyki ogólnej, prawdopodobnie mogą jedynie badać jego mózg i - od czasu do czasu - przelotną myśl, związaną z jakimś wydarzeniem.

Minęło kolejne piętnaście sekund - a może więcej. Oni czekają, ja czekam... Na co?

Po dłuższej chwili zastanowienia podszedł i raz jeszcze spróbował poruszyć mechanizm zamykający drzwi. Tym razem po dwóch kliknięciach drzwi stanęły otworem.

Nie tracił czasu. Nie oglądając się za siebie przeszedł przez próg i wkroczył do szerokiego i wysokiego holu.

Smutek powrócił na ułamek sekundy, gdy pomyślał: „No dobrze już, dobrze. Rozumowałem na nasz ludzki sposób, a oni posługują się swoją, troogowską logiką”.

Troogowska logika polegała chyba na tym, że po chwili rozmowy - nieważne, przyjaznej czy nie - istota ludzka, która raz spróbowała otworzyć drzwi i jej się nie udało, spróbuje ponownie, nie czekając na instrukcje.

Logika ludzka - a przynajmniej jej Gosseynowska wersja - po ustanowieniu kontaktu na poziomie werbalnym nakazywała czekać na polecenia. Zamierzał bowiem zdobyć ich uprzejmością.

Z tego wypływały wnioski: wróg automatycznie spodziewał się z jego strony agresywnego, lub co najmniej zdecydowanego zachowania.

Pogrążony w rozmyślaniach Gosseyn skręcił w prawo i ruszył szerokim, słabo oświetlonym korytarzem. Czterdzieści pięć metrów dalej zobaczył barierę. Zapewne tu nadejdzie chwila prawdy.

Okazało się jednak, że to tylko drzwi, które nie chcą się otworzyć. Cały czas posługując się swoją nową teorią, odwrócił się na pięcie i pomaszerował w odwrotnym kierunku. Po tej stronie do bariery było aż sto dwadzieścia metrów. I - tak, oczywiście - kolejne drzwi. Mechanizm wyglądał znajomo... Dwa mechanizmy, dwa kliknięcia i drzwi otwarły się na oścież.

Za nimi znajdował się kolejny korytarz, biegnący pod kątem prostym w stosunku do tego, z którego wyszedł. Kolejna decyzja, jaką należy podjąć: znów wybrał zakręt w prawo, i znów popełnił błąd. Następnym razem, kiedy zawrócił po własnych śladach i otworzył drzwi na kolejny poprzeczny korytarz, postanowił na próbę skręcić najpierw w lewo. Tym razem to ten kierunek okazał się błędny.

Tak wyglądała cała jego podróż przez ponad tuzin cichych korytarzy. Na końcu

każdego z nich drzwi albo się otwierały, albo nie. Na swój sposób był to dobry test na jego zdolności przewidywania, podobne do zdolności Leej. Wniosek: albo nie miał żadnych zdolności, albo bardzo niewielkie. Prawdłowo wybrał tylko cztery razy, jednaście razy się pomylił. Wtedy musiał zawrócić i przejść kolejny długi i pusty korytarz, cichy, jeśli nie liczyć odgłosów jego kroków po miękkiej powierzchni podłogi.

Ani razu nie natknął się na Trooga. Opustoszały, milczący, olbrzymi okręt... a przynajmniej tak wyglądał. Porządnie chroniony przed intruzami, tylko otwierające się drzwi prowadzą go prawdopodobnie tam, gdzie ktoś chce.

Jednak od czasu do czasu przerywał marsz. Wzdłuż każdej ściany każdego korytarza, w nierównych odstępach, znajdowały się kształty, które -jak przypuszczał - były drzwiami prowadzącymi do pomieszczeń podobnych do laboratorium, z którego rozpoczął swą mozolną wędrówkę.

Najpierw po prostu je mijał, ale teraz zatrzymywał się i próbował jedno po drugim, czy mechanizm zadziała.

Wszystkie były zamknięte i takie też pozostały.

Po chwili przemknęło mu przez myśl: „Chyba chodzi im o to, żeby wykończyć mnie fizycznie”.

A jednak ciągle nie mógł się zdecydować na to, by sprawdzić, czy jest w stanie uciec do jakiejś dwudziestomiejscowej lokalizacji.

Nieprzerwany wysiłek spowodował nieoczekiwany efekt: poczuł, że nie jest już tak chętny do pomocy. W miarę jak mijały kolejne minuty i -jak mu się zdawało - kolejne kilometry, pojawiły się pierwsze reakcje wzgórzowe. Wyruszył pierwszym korytarzem z niezłomnym postanowieniem, że kiedy wreszcie stanie twarzą w twarz ze swymi prześladowcami, zrobi wszystko, aby pomóc im powrócić do ich galaktyki. Teraz przypomniał sobie, że semantyka ogólna odrzuca większość automatycznych założeń.

Jasne, wydawało się oczywiste, że obcy mają praw do powrotu tam, skąd przybyli. Jednak nie musiało być to koniecznie prawdą. Dlatego zainteresowało go, że wraz ze zmęczeniem i irytacją pojawiło się uczucie, iż powinien może dokładniej przemyśleć tę czysto instynktowną decyzję.

Na szczęście rozpoznał, czemu zawdzięcza te negatywne doznania i czym one w rzeczywistości są, dlatego irytacja nigdy nie przerodziła się we wściekłość, która mogłaby narosnąć w istocie ludzkiej z dawnych czasów.

Koniec przedłużającego się nękania nastąpił całkiem nagle. Gdy spojrział w głąb kolejnego korytarza, zobaczył po lewej stronie, w odległości jakichś osiemdziesięciu metrów,

plamę jaskrawego światła.

Na oko wyglądała ona na kolejne drzwi... tym razem otwarte. Szybkim krokiem ruszył w tamtą stronę... potem zwolnił, wręcz przystanął, posuwając się drobnymi kroczkami i ostrożnie zajrzał do środka. Zobaczył kopię poprzedniego prywatnego gabinetu w restauracji, ale tym razem, zamiast znanych mu istot ludzkich, wokół stołu w półmroku, siedziało kilkunastu Troogów.

Trochę to trwało... a przecież wiedzieli o jego istnieniu. Przestał się wahać. Pamiętając, że spodziewają się agresji, wszedł do środka. Już za pierwszym spojrzeniem stwierdził, że przy stole znajduje się jedno puste miejsce.

Znajdowało się przy drugim, odległym końcu stołu. Ominął zatem z pół tuzina Troogów i podszedł do pustego krzesła. W porównaniu z poprzednim spotkaniem w restauracji wystąpiła tylko jedna różnica, w pewnym sensie świadcząca o jego szacunku. Zamiast stać, jakby był bardzo ważną osobistością - usiadł.

W głębi ducha myślał jednak: jak daleko jesteś od kresu drogi?... Co za fantastyczna sytuacja - spotykają się na kolacji!

XXIV

Myśl pozytywnie! - zganił się Gosseyn. Pomimo negatywnych uczuć, pozostałych po długim spacerze w labiryncie pustych korytarzy, musiał uznać, iż jest tu po to, aby rozwiązać wszystkie problemy... jeśli mu na to pozwolą.

Nikt nic nie powiedział; pokój był oświetlony lekko przyćmionym światłem, podobnie jak niektóre restauracje, aby stworzyć wrażenie intymności. Dzięki temu miał okazję przyjrzeć się tym dziwnym istotom, których głównym zajęciem od pierwszej chwili przybycia było sprawianie kłopotów.

Pozytywne myślenie, które sobie nakazał, okazało się wręcz niemożliwe. Wyglądali paskudnie. Jego reakcja była dokładnie taka sama jak wówczas, gdy zobaczył ich przelotnie w laboratorium.

Gosseyn w milczeniu zwalczył automatyczną tendencję ludzi do mierzenia wszystkiego własną miarą. Albowiem piękno -jak powiada dawne przysłowie -jest w oku patrzącego.

W końcu widział istoty humanoidalne. Tylko twarze mieli okrągłe, fioletowawe, a szyje wydawały się cieniutkie jak u szkieletów. Za to cielska poniżej były solidnych rozmiarów i przyrodziane w strój tak błyszczący, jakby uszyto go z metalowych płytek.

Głowy, podobnie jak twarze, były okrągłe i prawie łyse. Pokrywało je coś w rodzaju obrzydliwych kudełków, a pośrodku sterczała kępka szczeciny.

Ale te twarze... małe, pozbawione warg usta, śmieszne perkate noski, a nad nim wielkie, ogromne i okrągłe ślepia o czarnych źrenicach, bez brwi. Nad oczami i pod nimi widoczne były fałdy skórne. Wniosek: mogli zamykać oczy.

Zanim zdołał się przyjrzeć dokładniej, po jego prawej stronie otwarły się drzwi. Weszło przez nie pięciu Troogów i jeden człowiek. Człowiek - młodzieniec - podszedł do Gosseyna i postawił przed nim omlet, zaś pięciu Troogów podało pozostałym gościom coś, co wyglądało jak jakaś klucha.

Kiedy kelnerzy skierowali się do wyjścia, oczy Gosseyna i młodzieńca spotkały się na przelotną, krótką chwilę. Ujrzał nawiedzony wyraz: mrok w duszy, beznadzieję. Potem kelnerzy wyszli, ale wrażenie pozostało.

Wszyscy, w tym również Gosseyn, zabrali się do jedzenia. Słysząc było jedynie postukiwanie jego widelca i nieco odmiennych, cienkich jak noże sztućców obcych... w sam raz dla ich malutkich ust.

Omlet smakował dokładnie tak, jakby został usmażony z autentycznych ziemskich kurzych jaj. Gosseyn był zdziwiony, że jest aż tak głodny. Czyżby w czasie podróży jego ciało pracowało innym rytmem, niż umysł? Musi to później przemyśleć.

Wreszcie odłożył widelec, wygodnie się rozsiadł i rozejrzał. Jego towarzysze przy stole również powoli kończyli jeść to, co im podano.

Oni także wyprostowali się i odchyłili w tył.

Siedzieli tak wokół stołu w mdło oświetlonym wnętrzu kopii ziemskiej restauracji. Wrócił myślą do spostrzeżenia, że zadali sobie trud, aby podać mu ziemskie jedzenie. W jakiś sposób obserwowali życie milionów kur tam... daleko... na Ziemi, ich przetrwanie, mimo że od niepamiętnych czasów codziennie im kradziono większość jaj.

...Ciekawe, czy gdybym znalazł się na planecie Troogów, zwracałbym sobie głowę sprawdzeniem, skąd biorą tę ciemną kluchę, którą tu dziś jedli?

Podążył wspomnieniami w przeszłość, ale jakoś nie mógł sobie przypomnieć, aby Gosseyn Pierwszy lub Drugi kiedykolwiek zwracali uwagę na pochodzenie żywności, którą spożywali na odwiedzanych przez siebie planetach: Po prostu skoro inni ludzie to jedli, oni postępowali tak samo.

Te rozmyślenia, choć nie trwały długo, i tak jego zdaniem zabrały zbyt wiele czasu. Dlatego też ucieszył się, gdy jeden z najgrubszych Troogów, siedzący naprzeciwko niego, wreszcie wstał.

Był to najprawdopodobniej przywódca. Przez dłuższą chwilę przyglądała się Gosseynowi okrągłymi, czarnymi ślepiami. A potem maleńkie usta pod maleńkim, perkatym nosem odezwały się zaskakująco normalnym, miłym tenorem:

- Jak zapewne wiesz, stało się coś bardzo niefortunnego. Cały statek ludzi, którzy się liczą, przybył do tej galaktyki. Po drodze ludzie ci stracili umiejętność mówienia własnym językiem i zaczęli posługiwać się językiem angielskim, jednym z wielu, jakim mówi się na planecie Ziemia, ale... co znacznie bardziej istotne... również twoim językiem.

W tym przydługim wstępie znajdowało się tylko jedno zdanie, które przekazało Gosseynowi nieznaną dotychczas informację.

Ludzie, Którzy się Liczą...

Naprawdę myśleli, że są lepsi. Cała historia ludzka na tej jednej szczególnej i niezwyklej planecie Układu Słonecznego opierała się na takich samych samochwalczych osądach grup i pojedynczych osób, narzucających innym przekonanie, że są najlepsi.

Dziwne, że mając do dyspozycji te wszystkie umysły, Troogowie stworzyli ogromny projekt jedynie po to, aby uzyskać pomoc od jedynej osoby, która posiadała, gdzieś w głębi

czaszki, zdolność do wspierania ich w osiągnięciu podstawowego celu.

Powie im, że jest chętny i gotów do pomocy, skoro tylko dojdzie do głosu. Nawet teraz jednak, kiedy powtarzał sobie w myśli tę decyzję, czuł, że mimo swojego pozytywnego podejścia do sprawy może napotkać trudności, choć trudno powiedzieć, jakie. Każdy jednak może znaleźć sposób, żeby negocjować wszystko, co ktoś innej rasy próbowałby zrobić - a cóż dopiero oni.

Na szczęście pewne prawdy wciąż pozostają niezmiennie.

Pokój, stół, talerze oraz ci, który uczestniczyli w posiłku -w tym również on sam, pozostali na miejscach. Niewidoczna lampa w dalszym ciągu rozsiewała słaby blask. Mówca wciąż stał, co sugerowało, że padnie tu jeszcze więcej słów.

W istocie, zanim jeszcze Gosseyn sobie to uświadomił, humanoidalny obcy przemówił:

- Wiele z tych zjawisk jest nowych i nigdy wcześniej ich nie zaobserwowano. Wnioskujemy stąd, że nasza teoria na temat natury wszechświata wymaga ponownej analizy, jak również uwzględnienia i uzgodnienia nowych danych.

Nasze badania dotyczące tej szczególnej części twojego mózgu nie dostarczyły tylu informacji, ilu potrzebowaliśmy. Na szczęście sam wreszcie zrozumiałeś, że nie możesz przed nami uciec; dlatego się tu zjawiłeś, być może z jakimiś niecznymi zamiarami, co chyba jest normalnym zachowaniem przedstawicieli twojego rodzaju w tej galaktyce.

Obserwowaliśmy ich i muszę cię ostrzec, że niełatwo nas zmylić. Nalegamy, abys z nami współpracował bez żadnych zastrzeżeń, ani umysłowych, ani innego rodzaju.

Przy tych słowach wykonał niebezpieczny -jak się wydawało Gosseynowi - ruch. Pochylił w jego stronę ogromną głowę, utrzymywaną jedynie przez cieniutką szyję, po czym wyprostował ją z powrotem do pozycji równowagi nad pękatym ciałem, i usiadł.

Gosseyn pozostał na swoim miejscu. Zaczynał już powoli grzęznąć w tym zalewie słów. Wypowiedziano już ich tyle, że powoli wzbierało w nim pragnienie kontrataku, obrony, między innymi po to, by sprawdzić, na ile agresywni potrafią być Troogowie, jak również uzyskać odpowiedź na wszystkie interesujące go pytania.

Opanowanie tych impulsów i zebranie sił zajęło mu dłuższą chwilę. Wreszcie jednak uznał, że jest w stanie wykazać niezbędny stopień samokontroli i powiedzieć po prostu:

- Sir, zarówno pan, jak i pańscy towarzysze, możecie liczyć na moją pełną współpracę.

Milczenie, jakie powitało jego słowa, zostało nagle zmaćcone ruchem pośród zgromadzonych - zwyczajny, ludzki odruch - zmiana pozycji stóp, szuranie miękkimi podeszwami po podłodze.

A potem... przywódca pochylił się wprzód. Nie wstał, ale kiedy przemówił, jego głos brzmiał oskarżające:

- Nie myśl, że zwiedzisz nas choć przez chwilę, udając chęć współpracy. Doskonale sobie uświadamiamy, że nie wiesz, jak sobie poradzić z uszkodzeniem, jakiemu uległ twój drugi mózg. To przez nie nastąpiła jakaś inwersja, która przywiodła nas tutaj.

A więc oferta nie została przyjęta zbyt przychylnie.

Poza tym Troogowie do pewnego stopnia się mylili. Przecież zachowując wyjątkową koncentrację, potrafił zapanować nad zwariowanymi skłonnościami uszkodzonych końcówek nerwowych. Na przykład - całkiem bezpiecznie przybył na pokład tego okrętu.

To jednak można było im wyjaśnić. W wypowiedzi Trooga znacznie bardziej martwiło go, że tylko częściowo przeznaczona była dla niego.

Z jakiegoś powodu chciał, aby pozostali świadkowie byli przekonani, że ma wszystko pod kontrolą, że wodzi za nos tego zdradzieckiego Ziemianina, czyli mnie, w sposób absolutnie pewny i niezawodny, patrzcie, patrzcie i podziwiajcie.

Była to chwila pełna dziwnego napięcia. Gosseyn musiał zwalczyć chęć poruszenia się, zmiany pozycji. W końcu opanował się i zabrał głos.

- Jestem pewien - rzekł - że musi istnieć sposób, abyśmy mogli się wzajemnie przekonać o istotnej potrzebie współpracy dla obopólnych korzyści. A może ustalimy sobie program krok po kroku? - zaproponował najprostsze z możliwych rozwiązań. - Przechodząc każdy krok po kolei, będziemy nabywać przekonania, że wszystko się uda.

Zapadło milczenie. Przywódca patrzył na niego bez słowa. Ogromne oczy miały dziwny, nieco otępiały wyraz. Gosseynowi nagle przyszła do głowy dziwaczna myśl: czyżby ten gość nie był tu najwyższą władzą?

A może spotkanie obserwuje ktoś wyższy szarżą? Czyżby osoby przy stole czekały na aprobatę albo rozkaz kontynuowania rozmów?

Milczenie przedłużało się i Gosseyn zaczął się niepokoić, gdyż jego sytuacja zamiast się polepszać, ulegała wyraźnemu pogorszeniu.

Przyszło mu do głowy, że może się okazać, iż jeśli się nie zorientuje, jak przełamać ten impas, milczenie potrwa długo.

Kolejna myśl: wspomnienie związane z semantyką ogólną. Byli przekonani, że zainteresuje mnie kobieta imieniem Strella, ponieważ podoba mi się inne, lecz podobne imię Strala. Kwestia imienia była słabym śladem, ale warto go wykorzystać.

Wreszcie postanowił podjąć rozmowę. Lepsze to niż siedzenie w przyciemnionym pomieszczeniu z ludźmi, którzy się liczą. Wyprostował się nieco, szurnął nogami - ale tylko

trochę - po czym zwrócił się do przywódcy.

- Czy masz jakieś imię, które odróżnia cię od innych... -machnięciem ręki ogarnął pozostałych Troogów siedzących przy stole i dokończył pytanie: - od twoich przyjaciół?

Ogromne oczy patrzyły ze zdziwieniem. Malutkie usta powiedziały:

- Wszyscy mamy imiona.

Ale nie powiedział, jak się nazywa. Siedział dalej, jak kluchowata wersja ludzkiej istoty.

- Odnoszą wrażenie - ostrożnie zagadnął Gosseyn - że siedzący tu twoi przyjaciele nie są ci równi.

- Jesteśmy Troogami.

Ton jego głosu nabrał nagle władczego brzmienia. Wrażenie osobistej mocy spowodowało kolejne pytanie Gosseyna:

- Czy jesteś... - zawahał się - imperatorem?

Nastąpiła wyraźna pauza. Twarz i oczy nadal utkwione były w Gosseynie. Wreszcie obcy odezwał się, choć niezbyt chętnie -a przynajmniej tak się wydawało.

- My, Troogowie, nie mamy imperatorów - znowu przerwał, żeby po chwili dodać: - Jestem wyznaczonym dowódcą tego okrętu.

- A kto cię wyznaczył? - zapytał Gosseyn. Oczy Trooga zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe.

- Sam się wyznaczyłem, oczywiście - odparł z wyraźnym zniecierpliwieniem. Był tak zirytowany, że rozwinął jeszcze swoją wypowiedź: - Wiesz co, nasz system władzy to nie twoja sprawa.

Gosseyn odrzucił tę uwagę lekkim potrząśnięciem głowy.

- Sir - odezwał się uprzejmie. - To ty sprawiłeś, że cała ta sytuacja mnie również dotyczy, ścigając mnie bez litości i próbując przejąć nade mną kontrolę. Chciałbym zatem powiedzieć, że wasz system rządów bardzo wiele wyjaśnia. Czy mam rozumieć, że nikt inny nie miał ochoty wyznaczyć siebie na dowódcę tego okrętu?

- Było kilku takich - ogromne oczy spojrzały wprost w jego twarz.

- Co się z nimi stało?

Malutkie usta skrzywiły się lekko.

- Nie dotarli nawet do etapu nominacji. Kiedy przedstawili swoje ambicje, nikt ich nie słuchał, więc nie nalegali.

- To znaczy, że w pewien sposób narzuciłeś im swoją władzę - skomentował pytającym tonem Gosseyn.

- Panie Gosseyn - oznajmił obcy z irytacją - sam wykazujesz wiele cech naturalnego przywódcy. Jestem właściwie pewien, że pośród istot ludzkich, które znajdują się na naszym pokładzie, żadna nie zawahałaby się usłuchać twoich rozkazów i to automatycznie, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich szczególną sytuację.

Szczególna sytuacja!

Było to obiektywne sformułowanie, zgodne ze stylem rozumowania semantyki ogólnej. Poza tym wypowiedziane tak niedbale słowa zawierały w sobie jeszcze inne, niezmiernie istotne znaczenie: na pokładzie znajdowały się również inne istoty ludzkie...

Nie licząc oczywiście tego biednego, tępawego młodzika, który podał mu omlet, chodziło najpewniej o Crangów, Prescottów, Leej, Enra i pozostałych. Wciąż żyli. Uwięzieni, ale prawdopodobnie cali i zdrowi.

Nagle wszystko to wydało mu się żałosne. Samozwańczy dowódcy. Ten na pół humanoidalny lud wypracował sobie coś w rodzaju awaryjnej metody współżycia społecznego. Pomimo jednak deformacji fizycznej, udało im się osiągnąć ogromny poziom rozwoju naukowego.

Samozwańczy rząd - to może się czasem udać. Był w tym pomyśle jakiś pragmatyzm, który w większości sytuacji oferował szansę niewiarygodnego powodzenia.

Samozwaniec, kiedy już zabrnął w ślepy zaułek własnego pędu do przodu przy określaniu celu i sporządzaniu planu działań, nie będzie stawiał oporu, gdy jego asystent zacznie domagać się dowództwa, twierdząc, że jego... no, na przykład plan jest lepszy.

Ten system mógł być skuteczny. Istniała przynajmniej częściowa pewność, że nic nie ulegnie spowolnieniu, ponieważ jeden osobnik nie będzie w stanie zbyt długo zwodzić swych współtowarzyszy, bo szybko można się zorientować, czy projekt, nad którym pracuje, będzie działał, albo nie.

System taki do tej pory najlepiej sprawdzał się w fizyce i chemii. Wyniki były zawsze widoczne, a jeśli kierownik badań nie dawał sobie rady, jego miejsce zajmowali natychmiast podwładni, czyhający na najmniejszą oznakę osłabienia jego zdolności twórczych.

W istocie system ten stanowił dobre wyjaśnienie zawrotnego poziomu nauk przyrodniczych u Troogów z jednej strony i jej niewłaściwego stosowania z drugiej. A spowodowane to było faktem, że psychologia i nauki społeczne, jak również ideologie humanitarne, nie mogą być prawdziwe w sposób uniwersalny i widoczny. W tych dziedzinach, podobnie jak na Ziemi, mogą istnieć „szkoły” o rozmaitych przekonaniach. W takich właśnie obszarach nauki semantyka ogólna oferuje człowiekowi narzędzie i metodę, które pozwalają nie odczuwać potrzeby takiej pewności. Intuicja podpowiadała Gosseynowi,

że Troogowie nie dysponują takimi narzędziami.

Snulby dalej te interesujące refleksje, ale w tym momencie drzwi po prawej ręce Gosseyna otwarły się znowu. Weszło pięciu kelnerów Troogów i jeden młodzieniec rasy ludzkiej.

Troogowie nieśli wysokie, przezroczyste szklanki z jakimś płynem, młodzieniec - filiżankę, spodek i dzbanuszek śmietanki. Kawa? - zdumiał się Gosseyn.

Kawa. Szybko postawiona przed nim przez ręce, które chwilę wcześniej uprzątnęły pusty talerz po omlecie. Prawdopodobnie ci sami Troogowie, którzy stawiali talerze, teraz je również zabierali. Ciekawe było tylko, że młodzieniec, wycofując się w towarzystwie Troogów, nie spojrzał na Gosseyna.

Jego cierpienie wywarło jednak na tym ostatnim niezatarte wrażenie. Gosseyn spojrzał zatem w jego stronę i w sekundę przed tym, nim biedny chłopak zniknął za drzwiami, pobrał jego dwudziestomiejscowe odwzorowanie, postanawiając, że gdy tylko wyjaśni tę całą sytuację i będzie pewny swego, umieści go gdzieś na Ziemi.

XXV

Lekko zszokowany Gosseyn nalał sobie odrobinę śmietanki, zamieszał i pociągnął pierwszy łyk czegoś, co wyglądało jak prawdziwa, najprawdziwsza kawa.

Biorąc do ręki filiżankę, zobaczył, że na brzegu spodeczka leży sześć kostek cukru. Ciała Gosseyna jednak nigdy nie używały cukru do kawy, kostki zostały zatem tam, gdzie były.

Był to zapewne jeszcze jeden przykład badania przez Troogów ludzkich obyczajów, co doprowadziło ich nawet do odkrycia kawy. Dzięki takiej dokładności badacz miał pewność, że żaden inny Troog z kolejki oczekujących na dowództwo nie odbierze mu stanowiska. Dlatego też prawdopodobnie sprowadzili na pokład młodzieńca: aby pomógł im dopracować szczegóły.

W takich drobiazgach i w odniesieniu do nauki, system ten miał swoje zalety, ale w innych sprawach...

Odstawił filiżankę, spojrzął na dowódcę, który tymczasem popijał płyn ze swojej szklanki i podjął rozmowę:

- Trudno mi wyobrazić sobie taki system zarządzania w odniesieniu do ważniejszych spraw. Przecież tam, w waszej galaktyce, jakiś samozwańczy najwyższy władca właśnie prowadzi ciągłą wojnę z ludźmi Dzan.

Jeszcze jedna, znamienita pauza. Troogowie spojrzeli z wyczekiwaniem na swojego dowódcę.

Gosseyn czekał. Górna połowa cielska podtrzymującego wielką głowę uniosła się w geście, który można by opisać jako wzruszenie ramion. Małe usta oznajmiły:

- Nasz Najwyższy rozkazał niższej rasie poddać się jego rozkazom.

- Kiedy przekazano to ultimatum? - zapytał Gosseyn. Ogromne oczy znów spoczęły na nim, a z maleńkich ust wydobył się głos zabarwiony lekkim odcieniem zdziwienia:

- Nikt nigdy wcześniej nie zadał tego pytania. W odpowiedzi tej kryło się tyle niezwykłych implikacji, że Gosseyn musiał w świadomy sposób pohamować gonitwę myśli. Wreszcie przełknął ślinę.

- Czy to ultimatum zostało przekazane jeszcze przed twoim urodzeniem?

- Ta-ak! - Tym razem wahanie wzbudziło hałaśliwą reakcję innych Troogów.

Wreszcie jakież odpowiedzi, dlatego Gosseyn nie tracił ani sekundy czasu:

- My, tutaj, w galaktyce Mlecznej Drogi, z zaskoczeniem odkryliśmy, że kiedy już

wyruszyliśmy w kosmos, natrafiliśmy na ludzi o różnych kolorach skóry, którzy zamieszkiwali praktycznie każdą nadającą się do zamieszkania planetę... dosłownie byli wszędzie!

Niedawno - ciągnął - dowiedzieliśmy się, że jesteśmy potomkami imigrantów, którzy wiele, wiele wieków temu opuścili waszą galaktykę. Historia mówi, że na galaktykę nasunęło się jakieś bardzo szkodliwe pole energetyczne. Tak więc zbudowano miliony maleńkich statków kosmicznych. Każdy przewoził dwóch mężczyzn i dwie kobiety w stanie uśpienia, i wyposażony był w system podtrzymywania życia, wystarczający na długą podróż z waszej galaktyki do naszej.

Teraz, po przybyciu okrętu wojennego Dzan i waszego krążownika, uważamy, że ludzie, którzy pozostali na planecie, ponieważ w stateczkach nie dla wszystkich starczyło miejsca, a więc powtarzam: ci, którzy pozostali, nie zginęli, choć uważano, że taki właśnie spotka ich los. - Zaczerpnął głęboko tchu w płuca i mówił dalej: - Czy macie inne wyjaśnienie faktu, że wydaje się, iż grożącą katastrofę przeżyły dwie rasy humanoidalne: Troogowie i ci, którzy są podobni do nas...?

Wpatrywali się w niego bez słowa.

Nie było czasu na czekanie. Gosseyn naciskał:

- Kiedy patrzę na ciebie, dowódco, oraz na twoich kolegów, z którymi dzielę teraz stół, widzę ludzki kształt, który wydaje się wywodzić ze standardowego ciała, takiego jak moje. Jesteście mutantami. Uważam zatem, że to wasi przodkowie zostali schwytani w chmurę szkodliwego promieniowania. I, oczywiście - kończył - dzięki mechanizmom obronnym, doskonale znanym w psychologii, wyciągnęliście z tego wniosek, że to, co się stało, uczyniło was rasą wyższego rzędu. Dlatego też zaczęliście nazywać się ludźmi, którzy się liczą.

Dowódca wzniosł oczy w górę, jakby spoglądając na ścianę nad głową Gosseyna. Inni Troogowie patrzyli na niego.

I nagle...! Najgrubszy Troog zerwał się tak gwałtownie, że aż krzesło szurnęło po podłodze, i zawołał:

- Veen, już nie kwalifikujesz się na dowódcę! Zatem ja, Yona, wyznaczam siebie dowódcą na twoje miejsce!

Obcy, nagle nazwany po imieniu, nie wydał żadnego dźwięku. Skulił się na swoim krześle, a co dziwniejsze, nie sprzeczał się z oceną własnej osoby dokonaną przez innego Trooga. Wyglądało na to, że w tej konkurencyjnej społeczności nie jest rozsądne dać się zaskoczyć w jakikolwiek sposób.

Tak więc Gilbert Gosseyn Trzeci przyczynił się do obalenia. Ciekawe, jakie reperkusje będzie miało to wydarzenie biorąc pod uwagę fakt, że społeczeństwo Troogów kieruje się przede wszystkim logiką.

XXVI

Gosseyn poczuł przypływ nadziei. Natychmiast zwrócił się do nowego dowódcy, póki ten stał jeszcze w aureoli tryumfu.

- Przypuszczam - odezwał się - że cała ta kolacja, jak i wszystko, co się tu zdarzyło, było transmitowane do załogi i oficerów na okręcie. A zatem - krótkie wahanie - wiedzą już, że... Yona jest teraz wyznaczonym dowódcą tego statku.

Gdyby to było możliwe, maleńkie usta ogromnego humanoida zacisnęłyby się w grymasie, który u istoty ludzkiej oznaczałby wojownicze wypchnięcie w przód dolnej szczęki.

- To prawda - ton obcego był wyzywający, jakby chciał powiedzieć: „Niech mnie ktoś skrytykuje!”.

Gosseyn znów odchylił się na oparcie krzesła, jednak nie po to, by poczuć się swobodniej: Implikacje tego faktu były ogromne.

W tej chwili - co nagle sobie uświadomił - od góry do dołu hierarchii pomniejszych oficerów i kolejki pretendentów gotowych do przejścia dowództwa, wszyscy Troogowie zaczęli się zastanawiać, co mają zrobić, żeby dopasować się do nowej sytuacji.

Był tak zajęty próbą przeanalizowania, co jeszcze może się zdarzyć, że nie zauważył, iż do jego mózgu zaczęły docierać inne, obce myśli, dopóki skierowany ku niemu komunikat nagle nie przerodził się w myślowy krzyk:

- Gosseynie Trzeci! - wołał Gosseyn Drugi. - Od co najmniej trzydziestu sekund przechwytyuję twoje myśli, a ty wciąż tak jesteś zajęty swoimi sprawami, że mnie w ogóle nie słyszysz. Zbudź się! Znów jesteśmy połączeni!

W przyćmionym świetle gabinetu restauracyjnego w ziemskim stylu, Gosseyn Trzeci wyprostował się w swoim krześle. Czuł ogromną ulgę, ale jednocześnie nie chciał tracić nic ze sceny, która rozgrywała się przed jego oczami.

Przekazał więc swemu *alter ego* jeden szybki komunikaty myślowy:

- Bracie, zaczekaj chwilę!

A do Yony, który jeszcze nie usiadł, rzekł:

- Mam nadzieję, że ty przyjmiesz moją ofertę pełnej współpracy.

Wielki humanoid spojrział na niego ponuro.

- Obiecujesz, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, aby pomóc nam w powrocie do naszej rodzinnej galaktyki?

- Możesz liczyć na pełną współpracę - gorąco zapewnił go Gosseyn.

- Czy masz jakieś wytłumaczenie dla tego, co się stało i jak to się stało? - Głos Yony wciąż jeszcze brzmiał oskarżające.

Z agresywnego tonu, brzmiącego w pytaniu, należało wnosić, że nowy dowódca Troogów usiłuje utrzymać rozpęd po przejściu kontroli.

Niech będzie! Niczego nie osiągnie, jeśli zacznie się sprzeciwiać.

- Sir, jeśli tylko mogę coś zrobić... ty wydajesz rozkazy -ostrożnie rzekł Gosseyn.

Naprawdę przeginam, pomyślał. Ale uważał, że wystarczająco już atakował dowódcę Yeena, teraz natomiast warto wykorzystać przeniesienie władzy na samozwańca Yonę.

Gdzieś w głębi umysłu zastanawiał się również, czy wzdłuż linii dowództwa Troogów coś jeszcze zostało zrobione w jego sprawie: przypuszczał, że wszelkie wyniki zmiany władzy okażą się dopiero później.

Yona zeszywniał i odezwał się jeszcze bardziej ponurym tonem:

- Współpraca wymaga zaufania z obu stron. A zatem - zapytał oskarżycielskim tonem - co ty spodziewasz się osiągnąć w tej sytuacji?

W odpowiedzi tej zaniepokoiła Gosseyna wyraźna tendencja do gry na zwłokę; tak, jakby nowy dowódca nie wiedział, co ma dalej robić i jaki program zaproponować.

A system dowództwa Troogów nie dopuszczał opóźnień ani niezdecydowania. Yona potrzebował pomocy, i to zaraz!

- Na dłuższą metę - odparł beztrąsko Gosseyn - mam nadzieję odzyskać wolność osobistą dzięki dobrej woli z waszej strony, a także pozostać z wami w kontakcie. Na razie jednak chciałbym, abyś zwołał specjalne zebranie, do którego mógłbym przemówić. Jeśli mam wyjaśnić dokładnie całą sytuację tak, jak tego zażądałeś, w zebraniu powinni wziąć udział wasi najwyżsi oficerowie i najlepsi naukowcy. Chciałbym również, aby obecni byli moi towarzysze - ludzie, których, jak sądzę, macie na pokładzie. Oczywiście, w czasie tego spotkania będziecie mieli prawo przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, jakie okażą się niezbędne, żeby zapewnić bezpieczeństwo wszystkim obecnym.

Wreszcie - kończył z nadzieją w głosie - wierzę, że po moich wyjaśnieniach wszyscy będziemy mogli podjąć ostateczne decyzje i przejść do działania.

Znów rozparł się na krześle, czując, że przynajmniej na razie uratował sytuację, a przy okazji i Yonę, siebie, a także uwięzione istoty ludzkie i wszystkich dowódców niższego szczebla.

Czy to możliwe, aby semantyk mógł przeżyć w niewiarygodnym konkurencyjnym psychologicznie środowisku Troogów?

XXVII

Był to najdziwniejszy wykład, w jakim zdarzyło się uczestniczyć jakimkolwiek Ziemianinowi. Osiemnaścioro słuchaczy - w tym ośmiu Troogów. Pozostała dziesiątka - byli to ludzie, którzy odegrali kluczowe role w całej sprawie transportu międzygalaktycznego: Enro. Leej, Crangowie, Prescottowie, oraz Breemeg i trzech naukowcy z okrętu Dzan.

Nawet ci, którzy mieli cokolwiek wspólnego z semantyką ogólną, przekonani byli, że usłyszą nowe dane semantyczne: informacje lub analizy, wykraczające poza wszystko, co uważane jest za wiedzę wystarczającą w danej dziedzinie.

Gosseyn Trzeci był najbardziej zdumiony tym, że teraz, gdy stał na podwyższeniu niewielkiego audytorium przed tym jedynym w swoim rodzaju zgromadzeniem, on także w to wierzył.

Nie miał wprawdzie nowych danych do przekazania, lecz nowy punkt widzenia...

Właśnie otworzył usta, aby rozpocząć swój wykład, gdy słuchacz z drugiego rzędu podniósł rękę, prosząc o głos.

Był to Enro Czerwony. Włosy wielkoluda, jak zwykle były potargane, a twarz wykrzywiła się w dobrze już znanym, cynicznym uśmiešku.

Stojąc naprzeciwko niego, Gosseyn miał przecucie, że nie semantyka ogólna będzie przedmiotem jego wypowiedzi - a jednak się pomylił.

- Uzyskałem z drugiej ręki informację na temat tego systemu myślenia - zaczął Enro. - Zobaczmy zatem czy ty i ja możemy rozwiązać nasz problem: kto się ożeni z matką imperatora Dzan, wykorzystując metody semantyki ogólnej.

A tak wyobrażam sobie metodykę naszego rozumowania -powiedział, zanim Gosseyn zdołał cokolwiek powiedzieć. - Semantyka ogólna wymaga, aby osobnik jej używający przyjął szerszy horyzont, to znaczy, aby uwzględnił wszystkie możliwe czynniki.

- Rzeczywiście - mruknął Gosseyn. - Zdaje się, że znasz przynajmniej część podstawowego systemu.

- Na przykład - ciągnął Enro - niedawno skazałem mojego byłego adiutanta na dwadzieścia lat więzienia za to, że zajmował się za bardzo swoimi własnymi sprawami, zamiast robić to, co do niego należy. Teraz jestem pewien, że gdyby wziął pod uwagę, jak mu będzie w więzieniu przez dwadzieścia lat, na pewno nie znalazłby się tam dzisiaj. Podobnie, uważam, że jeśli weźmiesz pod uwagę wszelkie aspekty naszych przyszłych stosunków, to zdasz sobie sprawę z tego, że to mnie powinna poślubić matka imperatora.

Urwał, ale chyba tylko po to, aby zaczerpnąć tchu. Gosseyn wpadł mu w słowo:

- Po pierwsze, temat jest takiej natury, że powinniśmy go przedyskutować tylko we dwóch. Po drugie: mam wrażenie, że dama ma zapewne swoje własne plany w tej sytuacji, a po trzecie, wydaje mi się, że nie wziąłeś pod uwagę pewnych czynników, które wkrótce tu opiszę.

Enro rzucił mu cyniczne spojrzenie.

- No, słucham - powiedział.

- Dziękuję - grzecznie odparł Gosseyn. Jednak nie było to już to samo spotkanie. Ludzie wymieniali spojrzenia, Troogowie także wydawali się nieco zdenerwowani.

- Rzeczywistości ukryte pod istnieniem bądź nieistnieniem - zaczął swój wykład - nie wchodzi w zakres zainteresowania semantyki ogólnej.

Semantyka ogólna rozpoczyna się od akceptacji tego, co jest postrzegalne i działa w ramach tego, co każdy normalny człowiek, zwierzę bądź owad może dostrzec za pomocą zmysłów.

Jednak wydaje się, że mój drugi mózg funkcjonuje na poziomie ukrytej nicości. Dla drugiego mózgu, działającego z dwudziestomiejscowym podobieństwem, nie istnieje czas, odległość, wszechświat...

Ustalono (mówił dalej Gosseyn), że wszechświat nie ma prawa istnieć. Nie ma dla niego wyjaśnienia. Po prostu i zwyczajnie nie może go być.

A jednak... jest tutaj, otacza nas, przenika i rozciąga się na... naukowcy twierdzą, że niewiarygodnie wielką, lecz skończoną odległość we wszystkich kierunkach.

Ciekawe byłoby zobaczyć, gdzie się ta „skończona odległość” „kończy”...

Definicja „nicości” (mówił Gosseyn) nie odnosi się do pustki. Krótko mówiąc, nie oznacza pustej przestrzeni, ani dużej, ani małej. Nie składa się nawet z kropki ani punktu matematycznego.

Nicość to... nic.

To nieistnienie, niebyt, bez czasu i przestrzeni... niczego.

Oszacowano (ciągnął dalej Gosseyn), że istnieje około trzech tysięcy języków, którymi mówi się na samej Ziemi. We wszystkich głowach... poddających się obserwacji na poziomie świadomości, na którym działa percepcja... istnieje struktura nerwów, przygotowana tak, aby każdy osobnik, jeśli zostanie odpowiednio wyedukowany, mógł wyrażać wszelkie możliwe niuanse obserwacji i filozofii dostępnej dla j ego języka.

Normalne upodobnienie Gosseyna polega jedynie na przeniesieniu osobnika z jednej lokalizacji do drugiej. Taka transmisja z dokładnością do dwudziestu miejsc po przecinku z

reguły zabiera go i dostarcza takiego, jakim jest. Nie występuje żadna wewnętrzna transformacja strukturalna.

Jednakże okręt Dzan i cała jego załoga nie zostały jedynie przeniesione z jednej lokalizacji tak, jak zapamiętał je drugi mózg Gosseyna do drugiej, również przez niego zapamiętanej.

Przybyli do samego Gosseyna tak, jakby to on był lokalizacją, do której mieli się przenieść. A kolizja między okrętem a kapsułą zawierającą ciało Gosseyna nie nastąpiła jedynie dlatego, że ogromny okręt został wyposażony w automatyczne osłony energetyczne i ekrany, które zapobiegają zderzeniom z obiektami w przestrzeni.

Mimo to, podstawowy proces upodobnienia nie został anulowany. Drugi mózg Gosseyna, pracujący na poziomie nicości wszechświata, był oczywiście siłą aktywizującą, toteż nie brał udziału w procesie neuralnego upodobnienia części „normalnego” mózgu Gosseyna.

Dlatego też mózg każdego przybywającego Dzanianina uległ transformacji na rozmaitych poziomach najbardziej zbliżonych do drugiego mózgu Gosseyna. Obejmuje to również struktury obsługujące język - ponieważ aktywnie odbierał komunikaty od Gosseyna Drugiego.

Same jednak komunikaty przechowywane są w oddzielnej części normalnego mózgu.

Dlatego Dzanianie, a później także i Troogowie, doznali natychmiastowej, choć lekkiej modyfikacji językowych ośrodków neuralnych. Oryginalne dzaniańskie i troogijskie wzorce neuralne języka zostały przesunięte w stronę ich równoważnika angielskiego z prędkością do dwudziestu miejsc po przecinku, to znaczy natychmiastową.

Nie zostały w to zaangażowane ani osobowość, ani edukacja, ani informacja jakiegokolwiek rodzaju, a stało się tak wyłącznie dlatego, że językiem ojczystym Gosseyna jest angielski.

A teraz (kończył swój wykład Gosseyn) czy są pytania?

Enro znów podniósł rękę i zaczął mówić, a jego siostra tłumaczyła:

- Zauważyłem, że kobiety są bardziej zorientowane na elitaryzm niż mężczyźni. Przekazałem zatem matce imperatora materiały wizualne, które zapoznaj ą ją z moimi pałacami na Gorgzid. Nadpłynęła odległa myśl od Gosseyna Drugiego: Powinniśmy sprawdzić, co znajduje się w tych materiałach, oprócz fotografii pałaców...

- Może jeszcze jeden malutki deformator? To chciałeś powiedzieć? - spytał Gosseyn Trzeci.

- Oby tylko to - zgodził się *alter ego*.

- W tych okolicznościach - oznajmił Gosseyn Trzeci - uważam...

Po pauzie i skoncentrowaniu się tak, aby nie popełnić błędu, przeniósł Enra z dwudziestomiejscową dokładnością do kapsuły, do której Troogowie odesłali ciało Gosseyna Trzeciego po pierwszych kilku doświadczeniach.

Będzie to interesujący problem, który na jakiś czas go zajmie, tak przynajmniej wydawało się Gosseynowi Trzeciemu, zaś z dala, z odległej przestrzeni, nie dobiegł najmniejszy sprzeciw...

XXVIII

Wszystkie istoty ludzkie z wyjątkiem Enro znalazły się z powrotem na Ziemi dwudziestego wieku. Gosseyn, który dokonał dwudziestomiejscowego przeniesienia każdego z nich po kolei, sam przybył ostatni. Wstając z pozycji, w której przybył, zobaczył, że inni już na niego czekali: kobiety siedziały na fotelach i kanapie, a mężczyźni stali.

Polecił im - znowu - aby jak najszybciej opuścili miejsce przybycia i prawdopodobnie się do tego zastosowali. Prezydent Blayne rozmawiał przez telefon:

- ...I natychmiast tu przyjeżdżaj! - kończył, krzycząc w słuchawkę.

Kiedy ją w chwilę potem odłożył, zobaczył Gosseyna.

- Jest piętnaście po dwunastej w południe - oznajmił. - Nie było mnie przez trzy dni. Moja obstawa zaraz tu będzie - dodał.

- To interesująca informacja, sir - skłonił się Gosseyn.

Był ciekaw, ile czasu upłynęło od dnia przybycia jego i Enina na Ziemię, ale nie musiał tego koniecznie wiedzieć.

Cicho, ale w pośpiechu poszedł do sypialni, którą dzielił z chłopcem. Była pusta, lecz łóżko nie zostało zasłane.

Sprawdził, że druga sypialnia również nie była zajęta.

Wrócił do salonu.

- Idę porozmawiać z dozorcą. Zaraz wracam - oznajmił, zwracając się do Eldreda Cranga, który stał obok żony. Dawna Patricia Hardie siedziała w fotelu w pobliżu drzwi.

Crang zdawał się podzielać jego troskę.

- Myślę, że masz rację - powiedział. - Nie widać, żeby ktoś użył tu siły. Wciąż myślę, że głównie chodzi im o ciebie - dorzucił.

- Dzięki - odparł Gosseyn i wyszedł na szeroki korytarz, wiodący przez pustą skorupę budynku, który niegdyś był Instytutem Semantyki Ogólnej.

W minutę potem, po kilku dzwonekach, zza drzwi wyjrzała pomarszczona twarz dozorca ze złośliwymi, rozbieganymi oczkami. Tym razem dozorca spojrział na Gosseyna i wydawało się, że nawet rozumie, o co go pytają.

- Poszli na obiad. - Skrzywił się. - Ten twój kumpel sprowadził tu jakąś kobietę; *Zabrał* chłopca i ją i poszli sobie. Dziwnie ubrana, ta kobieta, jakby się kto pytał - kończył tonem pełnym dezaprobaty.

Gosseyn przypomniał sobie Strellę z Międzygwiazdowego Klubu Samotnych Serc i jej

suknię-bandaż. Na szczęście informacja przyniosła mu znaczną ulgę, więc odparł:

- To pewnie jakaś nowa moda - i dorzucił ostrzegawczym tonem: - Lepiej zajmij się sprzątaniami. Osobista straż prezydenta zaraz tu będzie.

-Tak?

Przez kilka sekund dozorca stał, jakby go zamurowało ze zdumienia. Oczy Gosseyna przesunęły się nieco w bok, lokalizując kilka metrów dalej miejsce na wyłożonej dywanem podłodze.

Wykonał mentalne odwzorowanie powierzchni podłogi tuż przy wejściu do mieszkania dozorca, nie zwracając uwagi na znajdujący się za nią pokój, który prawdopodobnie był bawialnią.

Następnie powiedział grzecznie „Dziękuję”.

Odstąpił i drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem. Gosseyn odwrócił się i odszedł, tak na wszelki wypadek, gdyby go obserwowano przez wziernik.

Doliczył do trzydziestu, szacując, że dojście do telefonu zajmie staruszkowi około minuty. Wykonał fotografię podłogi korytarza w miejscu, gdzie stał. A następnie przeniósł się skokiem dwudziestu miejsc po przecinku do lokalizacji w dozorcówce.

Kiedy odzyskał świadomość, usłyszał, jak dozorca mówi:

- Powiedzcie panu Gorroldowi, że... że ten facet, Gosseyn, już wrócił.

Wysłuchał odpowiedzi, a potem potwierdził:

- Dobrze... dobrze.

Kiedy odłożył słuchawkę, Gosseyn wykonał skok do lokalizacji w holu i zawrócił do apartamentu. Gdy wszedł, Blayne ścisnął dłonie mężczyznom i kłaniał się kobietom. Był zwrócony plecami do Gosseyna i zapewniał:

- ...Cokolwiek będzie wam potrzebne. Pozostanę w kontakcie z panem Gosseynem.

Odwróciwszy się, zobaczył Gosseyna i podszedł do niego.

- Może pan dzwonić do mnie w każdej chwili - powiedział. - Zalecałbym - dodał, a jego głos stał się nagle dziwnie ponury - abyśmy pozostali w kontakcie i na nasłuchu, dopóki tamci ludzie spoza galaktyki tu są.

- Panie prezydencie, pan Crang i ja odprowadzimy pana - zaproponował Gosseyn.

W holu raz tylko skomentował propozycję Blayne'a:

- W tej chwili nikt nie może wiedzieć, jak to się skończy. Ale każdy przejmuje się przede wszystkim własną sytuacją.

Zanim doszli do drzwi Instytutu, Gosseyn zadał prezydentowi jeszcze jedno pytanie, na które odpowiedź chciał poznać Gosseyn Drugi, przybywający na okręcie Dzan.

- Zebraliśmy i umieściliśmy w bezpiecznym miejscu wszystkie klejnoty i szlachetne metale - wyjaśnił z rozbawieniem Blayney. - Pozostała tylko ta podziurawiona podłoga i porysowane ściany.

- Ja wciąż mam nadzieję, że uda nam się odbudować Instytut - zwierzył się Gosseyn. - Osobiście nigdy nie widziałem tych drogocennych przedmiotów. Z tego, co pan mówi, rozumiem, że nigdy nie zostały one zbyte, sprzedane na aukcji ani indywidualnym kolekcjonerom.

- Są w budynku skarbcza rządowego.

- Mój brat, tam, w przestrzeni, chciałby znów je udostępnić. Uważa, że należy je zwrócić legalnemu właścicielowi, to znaczy odbudowanemu Instytutowi.

Mocna twarz Blayneya rozjaśniła się lekkim uśmiechem:

- To bardzo skomplikowana sprawa - odparł. - Muszę pomyśleć, co z mojego punktu widzenia będzie najlepsze.

Chwilę później Crang otworzył frontowe drzwi. Na brukowanym dziedzińcu o piętnaście metrów dalej właśnie wylądował roboplan. Zaledwie dotknął powierzchni ziemi, jego drzwi otwarły się i wyskoczyło z nich kilkunastu umundurowanych mężczyzn.

Podbiegli i zajęli pozycję wokół drzwi, po kolei strzelając obcasami i podnosząc ręce w salucie.

Blayney uśmiechnął się, przyjmując pozdrowienie. Stał z Gosseynem i Crangiem jeszcze przez cztery minuty, dopóki w głębi ulicy nie pojawił się rząd pięciu lśniących limuzyn. Pojazdy z dużą szybkością podjechały do bram Instytutu i wjechały na dziedziniec. Wysiadło z nich jeszcze więcej ludzi.

Najwyraźniej nadszedł już czas na pożegnanie.

Blayney odwrócił się do Gosseyna:

- Czy mam tu przywieźć doktora Kaira? W obecności tylu obserwatorów Gosseyn skłonił się lekko i odpowiedział zgodnie z etykietą:

- Nie, panie prezydencie. To ja pojedę do niego. Tylko tam znajdę poprzednie zdjęcia mózgu, jeśli w ogóle przetrwały, podobnie jak urządzenia, które pozwolą nam uporać się z problemem.

- Doskonale. Ale nie traćcie czasu.

- Rozumiem, panie prezydencie. Nie chcemy więcej żadnych incydentów ani trzydniowych nieobecności.

- No właśnie.

W chwilę potem Gosseyn obserwował, jak piękne maszyny odjeżdżają w dal i martwił

się, że wszystko to wydaje się o wiele za łatwe.

Wszyscy ci gwałtowni ludzie zostali w jakiś sposób unieruchomieni w pewnego rodzaju psychologicznej pułapce, w jakiej się znaleźli. A Enro pozostał na okręcie Troogów, bo gdyby został uwolniony, mógłby właściwie każdego w kapsule poszczuć swoją ogromną flotą.

Zatem siedział tam, pozornie jako więzień, ale ^pozostając w kontakcie ze swym admirałem, który natychmiast zostałby poinformowany, gdyby więźniowi stała się jakaś krzywda. A wtedy flota gwiazdna natychmiast zaatakowałaby statek obcych. Dzięki temu Troogowie sami się pilnowali, żeby nie zrobić nic szkodliwego. W istocie na tym właśnie polegała cała umowa.

Tu, na Ziemi, Gosseyn liczył na poparcie prezydenta Blayneya i wszystkich jego ludzi.

Trudno było uwierzyć, że wielcy biznesmeni, którzy sprzeciwiali się odbudowie Instytutu i Maszyny Igrzysk, akurat w ciągu najbliższych dwóch godzin zaczną podejmować radykalne działania.

Teraz chyba pójdę spotkać się z doktorem Kairem, postanowił Gosseyn.

To właśnie uzgodnili z Yoną. Ponieważ żaden Troog nie sprzeciwiał się na tyle, aby odważyć się na gambit samozwańczego dowództwa, należało przyjąć, że na wszystkich poziomach hierarchii dowódczej Troogów panowała milcząca zgoda, iż coś należy zrobić.

No i oczywiście na Ziemi był także Breemeg i trio naukowców z okrętu wojennego Dzan. Każdy z nich myślał swoje, ale musieli grać na zwłokę.

Wracając z Crangiem do apartamentów, Gosseyn opowiedział wenusjańskiemu detektywowi, co dozorca mówił przez telefon do kogoś w biurze Gorrola.

- Jestem pewien, że Gorrold przemyślał sprawy i, tak jak przypuszczałem, zdecydował, że w to wchodzi - kończył melancholijnie.

XXIX

Przez całą drogę wzdłuż korytarza Gosseyn czuł obecność *alter ego*... gdzieś tam, w głębinach kosmosu, na pokładzie okrętu Dzan. Mając na względzie to, co się działo, zwrócił się do niego:

- Jak dotąd, nikogo jeszcze nie zabiłem.

- Szczęściar! - padła odpowiedź. - Nie musiałeś bronić się przed atakiem Enra na Wenus.

- On teraz jest na okręcie Troogów - poinformował Trzeci.

- Mam wrażenie - powiedział z ironią Drugi - że kiedy Enro mówił o zrozumieniu semantyki ogólnej i o braniu pod uwagę wszystkich możliwości, uważał, że zna się na tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale - znów wrażenie uśmiechu - wnioskuję z tego, że zapomniał o twoich możliwościach - myślowe wzruszenie ramion; a zaraz po nim: - Śmiem twierdzić, baba z wozu... Przecież w obecnej sytuacji, matka imperatora jest twoja - nie masz teraz żadnej konkurencji.

- To interesujące - odparł Gosseyn Trzeci. - Nie powiedział ani słowa, kiedy odkrył, że to on ma być zakładnikiem.

Odpowiedź należało zinterpretować jako kolejne myślowe wzruszenie ramion:

- A cóż mnie to obchodzi. Ale póki tu jestem, rzucę chyba okiem na materiały informacyjne, jakie Enro podarował twojej przyszłej narzeczonej.

Był to z pewnością dobry pomysł. Materiały należało dokładnie sprawdzić, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Trzeci przypomniał sobie jednak jeszcze coś:

- Wątpię - rzekł - czy uda nam się pozbyć Enra w jakiś dyskretny sposób. Pamiętaj - dodał po chwili - że i ty i inni wykorzystywaliście jego zdolności ESP, kiedy próbowaliście wielkiego skoku. Znów go będziemy potrzebować.

- O to będziemy się martwić później - brzmiała odpowiedź. - Na razie widzę, że uczestniczenie w tym wszystkim jest mu bardzo na rękę. Możemy być pewni, że nie przestanie kombinować.

Gosseyn Trzeci zatrzymał się na chwilę i wykonał umysłową fotografię gniazdka elektrycznego, a potem przyspieszył kroku, żeby dogonić Cranga, po czym odezwał się znowu do Gosseyna Drugiego:

- Czy jesteś pewien, że takie odsunięcie go jest rozsądne? Enro jest mściwym typem i widzę, że tylko czeka na to, żeby komuś przyłożyć. Musimy znaleźć sposób, żeby go

zmiękczyć.

Poczuł, że Drugi uśmiecha się ponuro.

- Powiedz Eldredowi, żeby uważał, kiedy wreszcie uwolnią Enra. Jestem pewien, że Enro wciąż myśli o tym, żeby zgodnie z królewską tradycją Gorgzid poślubić swoją siostrę, którą znamy jako Patricię Hardie, a obecnie panią Crang.

Teraz to Gosseyn Trzeci się uśmiechnął:

- Jak widzę spodziewasz się, że wszystko się jakoś ułoży. Pewnie myślisz, że potrafię zrobić wszystko, czego tu ode mnie chcą.

- Wszyscy wierzymy, że rozwiązanie pogrzebane jest gdzieś w uszkodzonych końcówkach nerwowych twojego drugiego mózgu. Mamy nadzieję, że doktor Kair będzie w stanie naprawić twój mózg posługując się zdjęciami mojego. A przynajmniej będzie w stanie powiedzieć ci dokładnie, na czym polega problem. Skutkami zajmiemy się, kiedy już do nich dojdzie.

W tej chwili milcząca rozmowa między obydwojma Gosseynami została przerwana, ponieważ Crang mruknął:

- Facet zobaczył nas i zaraz się cofnął.

- Trudno - westchnął Gosseyn. - Zdaje się, że nadchodzi kryzys, a ten gość jest czymś najemnikiem.

- Jakby jeszcze tego było mało, z budynku położonego tuż za tym dwupiętrowym domem właśnie wyszedł mężczyzna w towarzystwie kobiety i chłopca i wszyscy kierują się tutaj.

Gosseyn nie odpowiedział, nie spojrział też we wskazanym kierunku. Jego uwaga skierowana była na dach dwupiętrowego domu, gdzie za niewielkim gzymsem nad ulicą przycupnął jakiś człowiek i obserwował ulicę.

Skoro się nie ukrywał, prawdopodobnie uważał, że nikt nie nabierze podejrzeń co do powodów, dla jakich się tam znalazł. Rzeczywiście, ponieważ wciąż jeszcze było możliwe, że jego podejrzane zachowanie w istocie może okazać się całkiem nieszkodliwe, trudno byłoby zrobić cokolwiek, dopóki nie wykona jakiegoś decydującego ruchu.

Stojący obok Gosseyna Crang, szepnął:

- Może zainteresuje cię taki drobiazg: nazwa restauracji dokładnie odzwierciedla pojęcie jej właściciela o semantyce ogólnej: proste gadanie, bez ogródek, tak jak jest.

Tak nieraz rozmawiaj ą ze sobą mężczyźni w chwilach *znaczego* zdenerwowania. Dlatego nietrudno było jednocześnie czuwać i odpowiadać:

- „Jadłodajnia” - Gosseyn uśmiechnął się blado, wypowiadając tę nazwę, ale ani przez

chwilę nie przestał obserwować człowieka na dachu.

- Biedak, wylądował z jedyną restauracją w pobliżu sławetnego Instytutu Semantyki - ciągnął Crang - nauki, której przedmiotem jest znaczenie znaczenia. Długo nad tym myślał, aż wreszcie wymyślił kolejne superuproszczenie.

Zanim dokończył tych słów, już minęli park i właśnie dochodzili do sklepu z napisem:

NAJWIĘKSZY WYBÓR SKRYPTÓW Z SEMANTYKI.

Enin zobaczył ich z daleka i zamachał ręką.

- Jeśli chodzi o mnie i moje własne „ja”, uważam, że dają tam całkiem nieźle zjeść - zauważył Gosseyn.

Znad dachu wysunęła się ludzka ręka, ściskająca niewielki, metalowy przedmiot.

Gosseyn sfotografował ten przedmiot drugim mózgiem, myśląc jednocześnie: Gdy podejdziemy bliżej, będzie chciał go rzucić. Ale nie mógł nic zrobić, dopóki mężczyzna go nie rzuci.

- A tutaj - ciągnął Crang - jest sklep, w którym sprzedają gry wideo uczące semantyki ogólnej.

- Ciekaw byłem, co się z nimi stało - odparł Gosseyn. - Lepiej kupmy teraz, co się da. Zabierzemy wszystkie na okręt Dzan, dla Enina, podobnie jak... - dodał powoli - ...jak wszystkie inne edukacyjne gry, jakie uda nam się dostać, ponieważ...

Ręka na dachu zataczała właśnie łuk, rozpoczynając rzut. I już nie można było czekać ani chwili dłużej. Gosseyn żałował, że ładunek elektryczny poruszający się w powietrzu jest bardzo widoczny. Pobrał go z gniazdka odległego o pięćdziesiąt metrów. Wyglądał jak błyskawica i nie można było w żaden sposób kontrolować jego siły uderzenia.

Nawet sam Gosseyn nie wiedział szczegółowo, co się stało, choć był jedynym świadkiem i obserwował wszystko z bliska.

Metalowa kula - według jego obserwacji - znajdowała się już w ruchu, gdy uderzyła w nią błyskawica. Kula eksplodowała jakiś metr od ręki, która rzuciła ją z dachu, to znaczy, o wiele za blisko.

Mężczyzna krzyknął i upadł poza zasięgiem ich wzroku.

Była to jedna z takich chwil, kiedy wszystko wydaje się dziać jednocześnie.

Enin rzucił się biegiem w stronę Gosseyna, obejmując go w pasie ramionami:

- Jejku, panie Gosseyn, jak się cieszę, że pan tu jest! Dan Lyttle podniósł wzrok na dach budynku i spytał ze zdziwieniem:

- Co to było?

Młoda kobieta, Strella, powiedziała:

- Dziękuję, że mnie tu przysłałeś - i zaborczym gestem wzięła pod ramię Dana Lyttle'a. - Myślę, że się nam uda.

Crang przed chwilą rzucił się do drzwi budynku, a teraz wyszedł i oznajmił:

- Powiedziałem strażnikowi, żeby wezwał ambulans,

Gosseyn miał nadzieję, że ambulans przyjedzie szybko.

Pośród innych, przelotnych wrażeń odnotował również mijany sklep z niewymiarowymi ubraniami i obuwem. Teraz dopiero zauważył jego nazwę, wymalowaną lakierem na przezroczystej ścianie obok wejścia: ODZIEŻ I OBUWIE MĘSKIE DLA UCZNIÓW KORZYBSKIEGO. Prawdopodobnie sprzedają tu semantyczne modele garniturów, butów, koszul, piżam, skarpet, kapci i bielizny... Jakie to śmieszne, ale niestety taka już jest natura ludzka.

.. Wróc na okręt Dzan, gdzie szykuje się bunt przeciwko imperatorowi-dziecku, które niemądrze przyjęło, że powinien zachowywać się jak jego ojciec. W tym wieku dziecku nawet nie przyszłoby do głowy, że jego ojciec mógł zostać zamordowany dokładnie za takie samo zachowanie, jakie on teraz próbuje naśladować...

...Udaj się na okręt Troogów, gdzie czeka na ciebie napięta sytuacja wywołana samozwańczymi próbami objęcia dowództwa...

...A tu, na Ziemi, istnieją dwa problemy: z jednej strony potężni i urażeni wielcy biznesmeni, reagujący furią na filozofię, która podniosła ich koszty, pozbawiając taniej siły roboczej, a z drugiej, osoby takie jak ci kupcy, którzy próbują ciągnąć zyski z rozmaitych „handlowych” aspektów semantyki.

W grę wchodziło ludzkie życie, a także więcej niż jedno rozwiązanie. Jedno było pewne: nieustannie trzeba być czujnym.

W tej samej chwili poczuł, że dociera do niego jedno z tych przelotnych wrażeń. Odległy Gosseyn Drugi szepnął:

- Właśnie sprawdziłem w dziale filmowym na statku. Moja przyszła szwagierka przekazała im wszystkie materiały informacyjne od Enra, ponieważ - oczywiście - ona sama nie zajmuje się takimi rzeczami. Tak, jak podejrzewaliśmy, pod podwójnym dnem pojemnika znajdował się mały deformatsor. Od razu się go pozbyli, więc wszystko zaczyna pasować.

Rzeczywiście.

XXX

Po powrocie do apartamentu w Instytucie Crang zadzwonił do doktora Kaira, zastał go w domu, a doktor natychmiast zgodził się odwołać spotkania z innymi pacjentami i zawołał:

-Czekam na was!

Uzgodniono, że Prescott i Crang pojedą z Gosseynem. Czekając na przyjazd samochodu wysłanego przez biuro prezydenta Blayneya, Gosseyn zauważył, że Dan Lyttle kiwa na niego.

Weszli do większej sypialni i Lyttle starannie zamknął drzwi. Uśmiechnął się z zakłopotaniem, gdy zaczął:

- Chyba powinienem ci powiedzieć o tej kobiecie, Strelli...

To, co miał do powiedzenia, było w pewnym sensie zdumiewające. Przez wszystkie te lata Dan Lyttle wahał się, czy powinien narażać ziemską dziewczynę na małżeństwo z recepcjonistą hotelowym, który pracuje na nocnej zmianie. Kiedy jednak przeanalizował trudną sytuację Strelli, doszedł do wniosku, że ma pewne szansę. Ponieważ - jak stwierdził - dziewczyna z Meerd znajduje się w pułapce. Mówi jedynie po angielsku, a zatem już nigdy nie powróci do swojej społeczności dawnych przyjaciół na rodzinnej planecie. Nikt jej tam nie zrozumie. Może nawet będą ją uważali za niespełna rozumu.

Na Ziemi jest całkiem obca, nie ma się do kogo zwrócić, więc prawdopodobnie zgodzi się na pozycję zostania „dzienną żoną”. Może później, z czasem, z upływem lat, zorientuje się, że zawarła bardzo wyjątkowe małżeństwo.

- Oczywiście - zakończył Dan - o ile nie znajdą dziennej pracy... co teraz być może zechcą zrobić. To jednak zajmie trochę czasu.

Gosseyn, słuchając jego słów, prowadził jednocześnie milczącą rozmowę z Gosseynem Drugim:

- Wydaje się, że ludzie wciąż uważają, że biedni automatycznie zniosą cięższe warunki niż bogaci. Odległy *alter ego* był całkiem spokojny.

- Mój drogi, idealistyczny braciszku, miejmy nadzieję, że nigdy nie nadejdzie taki czas, kiedy wszyscy ludzie będą reagować jednakowo. Może kiedyś znikną zachowania przestępcze, ale istoty ludzkie wciąż będą miały różne doświadczenia życiowe zależne od tego, gdzie się urodziły, i dalej będą wybierać przyjaciół i pracę tak, aby pozostać w zgodzie z dziesiątkami tysięcy osobistych wspomnień; wspomnień, których, co chciałbym wyraźnie podkreślić, semantyka ogólna nie ma zamiaru eliminować, nawet, jeśli w przyszłości nauka

umożliwi nam wykasowywanie pamięci.

Proponują, abyś natychmiast po załatwieniu sprawy z Gorroldem dowiedział się, dlaczego ta firma Gung-ho, która dzwoniła pierwszego dnia, teraz się nie pokazała, żeby wykonać kosztorys odbudowy Instytutu, a potem wyznaczył Dana na kierownika odbudowy nie tylko samego Instytutu, lecz także Maszyny Igrzysk. Przecież chyba nie będziesz się tym zajmował osobiście, za to on pewnie chętnie przyjmie dzienną pracę.

- Widzą - odparł Gosseyn Trzeci - że właściciel hotelu może już myśleć o znalezieniu sobie innego nocnego recepcjonisty. Zobaczymy się niedługo... naprawdę niedługo - kończył z uśmiechem przekaz. - Mam nadzieję, że zaraz po spotkaniu z doktorem Kairem.

W odpowiedzi, która nadeszła, wyczuwało się obawę.

- Myślą, że to rzeczywiście wkrótce nastąpi. Wreszcie spotkamy się twarzą w twarz: ty i ja...

- Muszą już jechać - przerwał mu szybko Gosseyn Trzeci.

Potem, rozparty na tylnym siedzeniu limuzyny wraz z Crangiem i Prescottem, zaczął w duchu zastanawiać się nad nieuchronnie zbliżającą się chwilą prawdy: Czyja naprawdę jestem w stanie zrobić to, czego ode mnie oczekują?

Było to bez wątpienia podstawowe pytanie, jakie należało sobie postawić. Jednakże według semantyki ogólnej istniała jeszcze inna, bardziej podstawowa wątpliwość. Gdy patrzył za siebie, w głąb wspólnej Gosseynów pamięci i analizował ich dotychczasową działalność, jakimś sposobem poczuł się automatycznie zobowiązany do udzielenia pomocy Dzanom i Troogom w ich drodze powrotnej do domu.

Ale czy naprawdę powinni wracać?

Pytanie to wydawało się całkiem rozsądne. Z ich wspaniałą flotą i doskonałymi urządzeniami byłiby znakomitymi kolonistami na każdej planecie. A koloniści rzadko odczuwają potrzebę powrotu w rodzinne strony. Ludzie, którzy dawno, dawno temu zasiedlili Amerykę Północną, w większości nigdy nie wrócili do Europy. Niektórzy z ich potomków owszem, od czasu do czasu, zainteresowani byli zwiedzeniem ziem, skąd wywodzili się ich przodkowie, ale była to ciekawość turysty, a nie instynkt powrotu do domu.

Gdyby zostali, przestaliby być dla nich najważniejszą osobą i celem zamachów.

Może udałoby się mu wyprowadzić na środkowy zachód, kupić jakąś małą farmę i zamieszkać tam z Eninem i królową Stralą?

Poczuł, że znów się uśmiecha, wyobrażając sobie możliwe zakończenia kabały, w jaką się wplątał. Niełatwo było mu pamiętać, że Gosseyn Pierwszy przybył do Miasta Maszyny Igrzysk z hipnotycznie wszczepionym przekonaniem, że kiedyś mieszkał na farmie w pobliżu

miasteczka zwanego Crest City, i że był mężem Patricii Hardie.

Cóż to było za zamieszanie... przynajmniej przez chwilę.

Ten ciąg myśli sprawił, że znów skomunikował się ze swoim *alter ego*.

- A jak się miewa królowa matka Stralą? Natychmiast pojawiło się wrażenie uśmiechu:

- Czeka na powrót Enina. Na razie myśli tylko o tym i chyba wciąż jest na ciebie wściekła.

Nagle zabrakło czasu, żeby się nad tym zastanowić. Piękna maszyna zatrzymała się przy krawężniku dobrze znanego, dużego białego bungalowu.

Doktor Lester Kair odwrócił się od okularu, podszedł do fotela i usiadł.

Wszyscy czekali w milczeniu na jego opinię. Nawet teraz, kiedy emanowało z niego dziwne, wewnętrzne podniecenie, sprawiał wrażenie, jakby wcale się nie zmienił w stosunku do obrazu, jaki zachowała wspólna pamięć Gosseynów: inteligentny mężczyzna, długie, silnie zbudowane ciało, mimo przekroczonej pięćdziesiątki, ciągle jeszcze gładka twarz.

Nagle uświadomił sobie obecność słuchaczy. Przełknął ślinę i powiedział:

- Ten uszkodzony kompleks nerwów był odłączony jedynie częściowo, dzięki czemu energia jednak do niego dopływała, choć w minimalnej ilości. Skutki tego częściowego podłączenia są wprost fantastyczne.

- Co to znaczy? - ze zdziwieniem zapytał Eldred Crang. -Wyobrażam sobie, że takie uszkodzone zakończenie nerwowe jest jedynie niewielką, szarą wypustką, którą tylko ekspert potrafi zidentyfikować jako nienormalną. Słowo „fantastyczne” wydaje mi się grubą przesadą.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Wreszcie wysoki mężczyzna w długim, białym kitlu lekarza, tak popularnym przy pracach laboratoryjnych, powoli dźwignął się na nogi.

- Panowie - rzekł. - Nie zamierzam przeproszać za tę reakcję. Myślałem, że nauczyłem się już dość, aby podejść do sprawy drugiego mózgu Gilberta Gosseyna w sposób filozoficzny. Teraz jednak stwierdziłem, że patrzę na coś, co stanowi neuropołączenie z podstawą wszechświata. Jakimś sposobem ta grupa nerwów jest w stanie hiperpobudzenia. Wydaje się, że tam naprawdę coś świeci. Gdybym otworzył mu głowę, wylałaby się z niej światłość.

Skinął na Cranga.

- Proszę podejść i spojrzeć.

Gosseyn siedział w specjalnym fotelu, głowę miał obłożoną instrumentami. Crang podszedł do niego z tyłu i spojrział w okular.

Milczenie. A potem cichy dźwięk, jakby ktoś ostrożnie się cofał. Gdzieś z boku

rozległ się głos doktora Kaira.

- Panie Prescott, czy pan także chce popatrzeć?

- Nie mam kwalifikacji medycznych, zresztą sędzę, że jeśli jeden z nas spojrzeł, to wystarczy, aby potwierdzić pańskie oświadczenie - odmówił uprzejmie Prescott.

Crang wszedł w pole widzenia Gosseyna.

- No i co, doktorze? - zapytał. - Co zrobimy w tej sytuacji?

Psychiatra, którego szczegółowo poinformowali o wszystkim, co się zdarzyło, odparł:

- Myślę, że trzeba sprowadzić tu wszystkich innych niezwykłych ludzi, a potem również Gosseyna Drugiego.

Crang zadzwonił do Leej, a Prescott poszedł, aby wysłać po nią limuzynę. Tymczasem Gosseyn powiedział do doktora Kaira:

- Podejrzewam, że pod pojęciem niezwykłych ludzi ma pan na myśli tych wszystkich, którzy uczestniczyli we wspólnej próbie przeniesienia się do drugiej galaktyki. Z tego wynika, że powinienem tu również sprowadzić Enra, prawda?

-Tak.

Ponieważ wszystko, co zdarzyło się do tej pory, zostało uzgodnione z Yoną, dowódcą Troogów, Gosseyn sfotografował drugim mózgiem jeden z kątów laboratorium lekarza i dokonał przeniesienia. W chwilę później spoczywało tam już potężne ciało. Enro Czerwony pobierał się z podłogi, rozejrzeł, i - nic nie powiedział. Natychmiast wprowadzono go w szczegóły tego, co się będzie działo.

- Zamierzacie wysłać Troogów do domu? Mimo wcześniejszych wewnętrznych rozterek, Gosseyn odpowiedział:

- Na pewno zgodzisz się ze mną, że jest to najlepsze rozwiązanie: jak najszybciej odesłać ich z Mlecznej Drogi.

- Zgoda. Co dalej?

Gosseyn opowiedział mu o spotkaniu, które nastąpi teraz pomiędzy dwoma ciałami Gosseynów, jako wstępie do wielkiego finału.

Na twarzy wojennego lorda pojawił się wyraz zadumy.

- Jesteś pewien, że to laboratorium nie wyleci w powietrze?

- Za bardzo się już między sobą różnimy - odparł Gosseyn.

- Wciąż jednak jesteście połączeni?

- Tak. Istnieje między nami łączność umysłowa. Wydaje mi się jednak, że po to, by zaistniała telepatia pomiędzy zwykłymi ludźmi we wszechświecie, każdy będzie musiał się zgodzić, aby część jego mózgu została upodobniona.

Enro wzruszył ramionami,

- Jednak wolę być obok, w drugim pokoju.

Gosseyn zauważył, że inni również wycofują się do drugiego pomieszczenia. Zaledwie wyszli, bez chwili zwłoki zawiadomił Gosseyna Drugiego:

- No i co, *alter ego*, chyba nadeszła nasza wielka chwila...

-Tak.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nie. Mój drugi mózg rejestrował miejsce, gdzie wylądował Enro. Odwzorowanie jest wystarczająco wyraźne. Nie ruszaj się! Myśl o czymś neutralnym!

Gosseyn Trzeci zamknął oczy i próbował mieć pustkę w głowie. Wciąż jeszcze tak stał, gdy rozległ się cichy dźwięk i drzwi powoli się otworzyły. Potem z korytarza zabrzmiał głos Leej.

- W porządku - powiedziała. - Nie widzę żadnych problemów, przynajmniej w ciągu najbliższych piętnastu minut.

Gdy Gosseyn otworzył oczy, przybysz stał plecami do niego. Odwrócił się powoli i Gosseyn Trzy zobaczył opalonego mężczyznę, o szczupłej twarzy, ale silnej budowie, w wieku około trzydziestu pięciu lat. Po prostu zobaczył siebie samego, tylko w innym ubraniu.

Wszedł doktor Kair i bez słowa uwolnił Gosseyna Trzeciego z fotela diagnostycznego. Ten jednak nie wstał, uważając, że nawet odmienna pozycja może mieć znaczenie.

I tak spotkali się. Dwie ludzkie istoty, dwie kopie.

Bliźnięta? Nie.

Oczywiście, między bliźniętami istnieje pewne podobieństwo. Zróżnicowanie rozpoczyna się jednak tuż po zapłodnieniu, a różnice doznań po urodzeniu natychmiast prowadzą do niezliczonych odmienności i stopniowo sprawiają, że wkrótce jest to tylko dwoje podobnych do siebie ludzi, ale każdy z nich ma własną osobowość.

Podobieństwa między Gilbertem Gosseynem Drugim i Trzecim obejmowały również całe serie interakcyjnych przepływów energii. Mózg do mózgu, ciało do ciała.

Nie byli bliźniętami w zwyczajnym znaczeniu tego słowa. Byli tą samą osobą na tysiące tysięcy rozmaitych sposobów.

Gosseyn Trzeci nagle zorientował się, że bezwiednie opiera się strumieniowi energii, który dąży do wyrwania go z fotela i wypchnięcia w kierunku tamtego ciała.

Gosseyn Drugi chyba doświadczał podobnej walki: w istocie przeszedł nawet kilka kroków w stronę Trzeciego, zanim się nie opanował. Lekki, niewesoły uśmiezek wykrzywił jego silne, regularne rysy. Kiedy jednak przemówił, sprawiał wrażenie człowieka, który w

pełni się kontroluje.

- Wygląda na to, że nic złego się nie stanie i będziemy mogli współpracować, zarówno wtedy gdy będziemy blisko siebie, jak i wtedy, gdy będzie nas dzielić odległość.

Gosseyn poczuł nagle, że doświadcza silnego impulsu nakazującego mu wstać, a na jego twarzy widnieje ten sam lekki uśmiech. Zaczął się zastanawiać, czy tamten w tej chwili nie walczy z impulsem każącym mu usiąść.

I, choć nie powiedział tego na głos, drugi mężczyzna odparł:

- Tak, walczę z tym impulsem. Wnioskuje z tego, że jeśli kiedyś z jakiejś przyczyny przyjdzie nam pozostać razem przez dłuższy czas, będziemy musieli wypracować sobie jakiś system.

Gosseyn Trzeci z lekką rezygnacją stwierdził, że wprawdzie nie wydaje dźwięku, ale jego usta poruszają się i w duchu wypowiada te same słowa.

No, to naprawdę był przypadek skopiowanych wspomnień, pomyślał.

...Ta sama myśl, to samo uczucie wywołane tą myślą, to samo doświadczenie. Wyraźne wspomnienie spaceru ulicą, lub na którejś planecie... to samo odczucie w mięśniach - dokładnie to samo.

Być może przez te wszystkie lata, kiedy obrazy myślowe Gosseyna Pierwszego i Drugiego zapisywały się w pamięci uspionego Gosseyna Trzeciego, wszelkie reakcje nerwowe i mięśniowe działały unisono, przynajmniej w ograniczonym zakresie, może jako pojedyncze skurcze.

I zapewne właśnie dlatego, kiedy Gosseyn Trzeci po raz pierwszy otworzył oczy w kapsule, odniósł wrażenie, że jest drugim Gosseynem, który po prostu budzi się rano po przespanej nocy i że to on doznał tych wszystkich przeżyć.

XXXI

Na żądanie doktora Kaira, Gosseyn usiadł znowu w specjalnym fotelu i został podłączony do wszystkich urządzeń. Tym razem nie przypięto go pasami; uzgodniono tylko, że w odpowiednim, kluczowym momencie, zachowa całkowity bezruch. W tej pozycji czuł jedynie, że wziernik został z lekka dostrojony do jednej strony jego głowy.

Nie poruszył się, ani nie uśmiechnął, gdy ciemnowłosa Leej stanęła przy wzierniku, by móc spojrzeć na uszkodzony nerw w jego głowie.

Po prawej stronie Gosseyna, w wyściełanym fotelu, siedział Enro i wpatrywał się w ścianę po drugiej stronie pokoju, przygotowując się do służenia im swoją zdolnością do widzenia na wielką odległość.

Gosseyn Drugi siedział przy biurku doktora Kaira. Miał własne zadanie: starannie skatalogować we własnym drugim mózgu wszystkie zapamiętane przez Gosseyna Trzeciego lokalizacje i czekać na swoją kolej.

Właśnie on przerwał milczenie.

- Wtedy, gdy nastąpiła inwersja - rzekł przyciszonym głosem - powodując przeniesienie okrętu Dzan do naszej Galaktyki, Leej przewidziała lokalizację w tamtej galaktyce. A teraz, kiedy zagląda we wziernik, znowu spróbuje przewidzieć, gdzie się ta lokalizacja znajduje i do czego jest podobna.

Enro - ciągnął Gosseyn Drugi tym samym przyciszonym głosem - wykorzysta swoją szczególną zdolność do postrzeżenia przewidzianej lokalizacji. Kiedy to zrobi, ja uczynię za mojego brata to, co uznaliśmy za najbezpieczniejsze dla niego rozwiązanie w tej sytuacji.

Muszę przyznać - zakończył - że to, co stanie się w tym pokoju w chwili, gdy Enro dostrzeże przewidziany przez Leej obszar w innej galaktyce, wcale nie jest dla mnie oczywiste.

Gdy kończył swoje podsumowanie, Enro nagle podniósł rękę i poruszył palcami, aby ściągnąć uwagę obecnych.

- Może powinienem powiedzieć, co się dzieje, kiedy doznaję widzenia na odległość. Wydaje mi się wtedy, że patrzę na ekran, który znajduje się przede mną, a jeśli jest to osoba, widzę ją stojącą na podłodze. Do tej pory uważałem, że to iluzja - kończył - która w istocie mieści się i odbywa głównie w mojej głowie. Jeśli jednak jest w tym coś rzeczywistego, w tych akurat okolicznościach prosiłbym, aby nikt nie wkraczał w przestrzeń między mną i tym fragmentem podłogi czy ściany, na który patrzę.

Gosseyn Trzeci spostrzegł, że to wyjaśnienie, złożone w ostatniej chwili, wywołało uczucie ulgi, jakby nagle coś, co do tej pory wydawało się mgliste i zaćmione, pozbawione konkretnej rzeczywistości, nabrało rzeczywistych kształtów i ostrości.

...Ciekawe, że ten ponury Enro, który z reguły zachowuje wszystkie swoje myśli dla siebie, nagle pod wpływem narastającego napięcia zdecydował się ujawnić nieznanego dotychczas aspekt swych szczególnych zdolności.

- Czy są jeszcze jakieś pytania lub informacje? - spytał Gosseyn Drugi.

Nikt się nie odezwał.

- Wobec tego - polecił - Leej rób, co w twojej mocy.

Cisza. A potem lekki syk.

I jasność, która pojawiła się na podłodze w pobliżu ściany, na którą patrzył Enro. Gosseyn Trzeci, który przez cały czas starał się pozostawać w bezruchu, stwierdził, że ten jasny obszar nie jest ani całkiem owalny, ani całkiem okrągły, ani kwadratowy, a raczej stanowi mieszaninę wszystkich tych kształtów. Jego drugi mózg zareagował na ten widok i natychmiast ocenił, że coś... połączyło... ten półtorametrowy, nierówny kształt poprzez niezmiernie odległości między dwiema galaktykami z jego równowaznikiem w kształcie i przestrzeni. Połączyło w taki sposób, że zabrakło absolutnego minimum do osiągnięcia podobieństwa.

W te myśli wdarł się głos Gosseyna Drugiego:

- Trzeci, twoja kolej.

Potem pochylił się i powiedział do mikrofonu.

- A teraz ty, Yona, dowódco Troogów, rób co do ciebie należy!

Leżał na plecach, w kompletnej ciemności.

Chociaż wiedział, że tym razem wrócił tu z własnej woli, a dzięki pomocy Troogów, znalazł się we właściwej pozycji, doznał niewielkiego wstrząsu wzgórzowego.

Leżąc i powoli odzyskując równowagę po nagłym przypiływie niepokoju, zbadał otoczenie tak samo, jak za pierwszym przebudzeniem.

Dziś jednak chciał tylko sprawdzić, czy na pewno znajduje się w kapsule. Wydawało się, że tak, ponieważ, kiedy podniósł ręce, natrafił na ten sam twardy jak stal sufit o jakieś trzydzieści centymetrów wyżej, a powierzchnia, na której spoczywał, była tym samym miękkim materacem, jaki sobie przypominał.

Oczywiście, między tym a poprzednimi przebudzeniami było kilka różnic: teraz był ciepło ubrany, a nie nagi, nic też nie było do niego podłączone. Z jego głowy ani ciała nie wystawały przewody i gumowe rurki.

Po sprawdzeniu - możliwie najdokładniej - swojego otoczenia i położenia, pozwolił sobie na jeszcze jeden przepływ myśli, ponieważ należało je usunąć, aby nie przeszkadzały w najważniejszym momencie.

Leży tu człowiek, myślał, który może ich wszystkich wysłać na odległość tysięcy lat świetlnych. Tu, w Gilbercie Gosseynie Trzecim, tkwi decydująca umiejętność, która, jak się spodziewano, rozwiąże starą na dwa miliony lat zagadkę.

Ludzie uciekali ze skazanej na zagładę galaktyki poprzez nieskończoną pustkę. Lecz znając naturę tej katastrofy, zaplanowali swój powrót, o ile kiedykolwiek odkryją, jak odwrócić ten proces. Jeden wizjoner, jeden drugi mózg, jedna osoba, która może „widzieć” odległe miejsca, oraz jeden system logiczny, który pozwoli powstrzymać ich przed wzajemnym zniszczeniem. Może istnieją również inne populacje, rozrzucone na tysiącach planet, które na oślep próbują się spotkać i zebrać.

A gdy każdy wypełni swe zadanie, całość będzie zdolną do działania jednostką.

Podstawową prawdą jest nicość, która musi się odtworzyć, myślał.

Materia i masa nie mają „prawa” istnieć, a jednak utrzymują się razem i nieprzerwanie, za pośrednictwem świadomości.

Umysł rządzi Materią.

Przyczyną, dla której musieli udać się do drugiej galaktyki, było to, że nic tam nie mogło się odtworzyć z powodu niekończącego się błędnego założenia: niewiarygodnego systemu dowództwa Troogów, dzięki któremu nikt nigdy nawet nie pomyślał o tym, aby zakończyć wojnę. Troogowie atakowali bez końca, a istoty ludzkie również bez końca te ataki odpierały.

Przez dwa miliony lat!

Po powrocie Yona wyda oświadczenie umacniające jego dowództwo, a jednocześnie pozwalające zakończyć wojnę. Nicość przestanie decydować o rzeczywistości.

Zajmie to z pewnością trochę czasu, ale najważniejsze jest to, że proces ten już się rozpoczął. Po tych pokrzepiających rozważaniach Gosseyn wypowiedział hasło:

- Jestem tak gotów, jak to tylko możliwe. Odpowiedź nadeszła natychmiast. Jakiś głos przemówił prosto w jego ucho:

- Kapsuła jest w przestrzeni, unosi się obok okrętu Troogów. Następny krok należy do ciebie.

Gosseyn głęboko zaczerpnął tchu.

- A zatem moim pierwszym krokiem będzie przeniesienie się w tej kapsule, do waszej galaktyki.

Zamknął oczy i przywołał do pamięci półtorametrowej długości lśnienie, które powołał do życia Leej i Enro, za pomocą swoich połączeń i uszkodzonego nerwu w jego własnej głowie.

I, wykonując drugim mózgiem swój ą część zadania, powiedział sobie: to się musi udać!

Udało się.

Najpierw przeszedł okręt Troogów. A potem, gdy okręt Dzan zbliżył się do kapsuły, został również natychmiast przeniesiony tam, skąd przybył.

O dwa miliony lat świetlnych, do drugiej galaktyki. W ten sposób odległości pomiędzy stu tysiącami bilionów gwiazd zostały pokonane. W przyszłości metodę tę można będzie stosować do woli.

XXXII

No, nie wiem - mruknęła królowa matka Strala. - Ta cała historia z ciałami Gosseynów jest dla mnie trochę za skomplikowana.

Znajdowali się w bajecznie urządzonej komnacie w pałacu Dzan na planecie Zero, w Galaktyce Jeden. Za oknami panował jeszcze dzień, a Gosseyn wrócił właśnie po zakończeniu wszystkich zadań. Nie usunął jedynie zdolności Dzanian do posługiwania się językiem angielskim, choć przywrócił im umiejętność władania własnym.

Teraz, siedząc naprzeciwko pięknej Strali, spokojnie przyznał jej rację. To rzeczywiście było dziwne.

Ona zajmowała złoty fotel, on miękką sofę, którą wskazała mu gestem. Jej oczy miały tęskny wyraz. Wreszcie spojrzała na niego i powiedziała:

- O ile dobrze zrozumiałam, twój *alter ego* zostanie w galaktyce Mlecznej Drogi, a ty tutaj. - Nagle wydało mu się, że w jej głosie brzmi roztargnienie. - Czy wciąż jesteś... hm... połączony z nim?

- Od czasu do czasu uświadamiam sobie jego obecność i mogę przechwycić jego myśli, a nawet zrozumieć, co robi, jeśli się skoncentruję.

- Poprzez dwa miliony lat świetlnych.

- Odległość nie ma znaczenia we wszechświecie nicości.

- Czy on zajmie się wszystkim tam, w twoim świecie? - zapytała.

Nie było to dobre sformułowanie. Wywoływało w nim wzgórzową reakcję tęsknoty. Jakby opuścił rodzinne miasto i rodzinny kraj, i miał ich już nigdy nie zobaczyć.

Potrzebował dobrej chwili, aby się opanować. Prawda była inna - co zaraz sobie przypomniał. On był człowiekiem bez kraju rodzinnego. Wyrósł i wydorósł w kapsule kosmicznej, nie miał ojczystej planety, ani zwyczajnej rodziny.

Przełknął ślinę i otrząsnął się, gdy kobieta, która patrzyła teraz gdzieś w bok, szepnęła:

- Muszę to wszystko przemyśleć.

Gosseyn mógł jedynie przyglądać się jej ze współczuciem. Nie potrafił oceniać kobiecych zachowań, ale sam fakt, że kiedy sama zaofiarowała mu siebie i swoją rękę, jak również wszystko, co o niej wiedział - lub co zdawało mu się, że wie - pozwoliły mu na wypowiedzenie następujących słów:

- Moja droga - przemówił łagodnie - nie ma już dla ciebie ucieczki. Od tej chwili

jesteś moją damą, moją przyszłą żoną, wraz ze wszystkimi tego skutkami. Twoim przeznaczeniem jest dzielić ze mną życie do końca naszych dni.

Oczy w doskonałym owalu jej twarzy spojrzały na niego z rezerwą.

- Podejrzewam - powiedziała raczej oschle - że musi istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie takiej zmiany frontu. Ja uważam, że miałeś szansę i odrzuciłeś ją... na zawsze. Odrzuciłeś w sposób, którego ci nigdy nie wybaczę - dodała.

Odetchnął głęboko.

- Chciałbym ci przypomnieć, że jesteś matką.

- Matką Enina. - Skinęła głową, choć wydawała się zaskoczona.

- Czy on wie, że tu jestem?

-Nie.

- Zawołaj go.

Przez chwilę uważnie go obserwowała, a potem szybko wstała i podeszła do drzwi, zza których przez cały czas trwania ich rozmowy dochodziły ciche, odgłosy. Otworzyła drzwi i zawołała:

- Eninie, czy możesz tu na chwilę przyjść? Głos Enina był stłumiony, ale dość wyraźny:

- Ach, jeejku, mam... jeszcze tylko ten jeden strzał... Mam go! - radosny wrzask i zaraz: - Dobrze, już idę.

Strala wróciła do swojego fotela i usiadła bez słowa. Była bardzo zdenerwowana. Patrzyła wprost przed siebie, a Gosseyn wpatrywał się w nią. Po chwili dał się słyszeć odgłos szybkich kroków, a potem chłopięcy okrzyk radości.

Na szczęście odwrócił się na czas, ponieważ już miał na kolanach rozszalałego dwunastolatka, który obejmował go za szyję.

Zarzucił ich lawiną słów.

- Panie Gosseyn, panie Gosseyn, gdzie pan był? Och, mam, mam, to naprawdę pan Gosseyn!

Gosseyn z radością oddał uścisk podnieconemu chłopcu.

- Masz jakieś kłopoty z tymi... no, lizusami? - zapytał, gdy już się nacieszyli sobą.

- Ani-ani. Po powrocie na okręt zwołałem komisję, potem drugą, już na planecie, gdzie obraduje rząd, i powiedziałem im o wszystkim, o czym rozmawialiśmy wcześniej.

- A jeśli powstaną jakieś trudności, komisja rozpatrzy każdy po kolei... o tej dyskusji mówisz?

- Aha. - Buzia podobna do chochlika rozjaśniła się.- Już nie będę decydował tak, jak

mój ojciec, ani podpiekał wszystkich, którzy mi się nie spodobają!

Jeśli... - pomyślał Gosseyn, słysząc takie słowa wypowiedziane ustami dwunastolatka, który odziedziczył jedno z największych istniejących imperiów - ...jeśli istnieje coś takiego, jak wielkie momenty historyczne, to chyba właśnie taki przeżywam...

Samo serce systemu władzy absolutnej zostało zmienione tak, że uwzględnia procedury demokratyczne...

Enin raz jeszcze uściskał go z całego serca.

- Hej, ale fajnie, że pan tu jest. Teraz już tak zostanie, prawda?

- To zależy wyłącznie od twojej mamy - odparł Gosseyn. Spojrzał na piękną kobietę siedzącą sztywno w złotym fotelu. -No i co, mogę zostać? - zapytał najbardziej niewinnym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

Piękność odezwała się nieco zrezygnowanym tonem:

- Kochanie, idź i pobaw się, a my porozmawiamy z panem Gosseynem o jego przyszłości.

Gosseyn wziął Enina na ręce i zaniósł go do drzwi, z których chłopak wyskoczył kilka minut temu. Postawił go na ziemi i zajrzał do drugiego pomieszczenia. Nie był zaskoczony, widząc przerwana grę wideo. Ekran świecił jasnym światłem.

- Mam nadzieję, że grasz również w edukacyjne gry semantyczne - mruknął.

Pauza, szeroki uśmiech, wreszcie:

- Istnieje pewna możliwość, że gram w te gry mniej więcej tak często, jak mi się wydaje, że pan by chciał; zakładając, że pan jest sobą, a ja sobą.

- No, dobrze, synu - powiedział Gosseyn. - Mamy z twoją mamą kilka spraw do omówienia. Spotkamy się trochę później.

-Och, no jasne!

- Oczywiście wiem, że otrzymałaś drugą ofertę - oznajmił, gdy wrócił do komnaty.

- Tak? - wciąż patrzyła gdzieś w bok.

- Musisz zadbać o siebie - ciągnął. - To też wiem. Kobieta nie na obowiązek przez całe życie kierować się wyłącznie dobrem swoich dzieci.

Odczekał chwilę, nie patrząc na nią. Nastąpiła chwila milczenia, a potem...

- Słuchałam, o czym rozmawialiście z Eninem i... Znowu cisza.

-1 co? - zachęcił ją Gosseyn.

- Jest w tym trochę sensu - wyznała. - Twoja filozofia... -zawahała się- ...semantyka ogólna. Widzę, że dzięki temu, czego go nauczyłeś, Enin stał się bardziej zrównoważony, bardziej normalny. A jeśli chodzi o mnie... - znów szukała słów. -...Wreszcie uświadomiłam

sobie, że jestem kobietą związaną z dworem królewskim, gdzie jedni są żądni władzy, inni okazują się szczerzy, uczciwi i opiekuńczy. Teraz widzę, że w takich warunkach twoja ocena mojej pierwszej propozycji była prawidłowa. - Wciąż jednak uciekała spojrzeniem w bok.

- Jest jeszcze jeden aspekt, który musimy wziąć pod uwagę - ciągnęła. - Wielu dowódców rozumie, jaką rolę odegrałeś w powrocie do naszej galaktyki. Bardzo cię szanują. - Uśmiechnęła się, jakby własne rozumowanie wreszcie ją przekonało, przynosząc wewnętrzną ulgę. - Myślę, że warunki się zmieniły. A ty co o tym sądzisz?

- Mam nadzieję, że rozumiesz, iż jestem jedynym ojcem, jakiego twój syn zaakceptuje - odparł po prostu.

W tym momencie, bez słowa, ta jedwabista, cudowna kobieta wstała i bez słowa podeszła do niego. I tak, jak to powinna uczynić każda matka, szkolona w semantyce ogólnej, czy nie, objęła go ramionami. Pocałunek, jakim ją obdarzył, został przyjęty z pełnym poddaniem.

Zaledwie się rozłączyli, szepnęła:

- Myślę, że powinniśmy pójść do mojej sypialni i dokładnie zamknąć za sobą drzwi. Chyba nie musimy czekać na ceremonię zaślubin.

Oto triumf jednego poziomu rzeczywistości nad drugim -uznał Gosseyn, idąc za nią do fantastycznie wytwornej sypialni.

Skierował jeszcze ostatnią myśl do swojego *alter ego*:

- Panie Gosseyn Drugi, zwróć uwagę w inną stronę!

Odpowiedź, na jednym poziomie rzeczywistości, pochodziła z odległości dwóch milionów lat świetlnych. Jednakże w odniesieniu do poziomu, na którym działał jego drugi mózg, zabrzmiała całkiem blisko - wewnątrz jego głowy.

A brzmiała: Wszystkiego najlepszego dla was obojga... braciszku!

